

AGATA CHRISTIE

**TAJEMNICA
WAWRZYNÓW**

(Tłumacz: AGNIESZKA BIHL)

*Cztery bramy ma miasto Damaszek...
Furtkę Przeznaczenia, Wrota Opuszczenia, Grotę
Kłęski i Przyczółek Strachu...
Nie przechodź nimi, Karawano, nie przechodź
ze śpiewem.
Czy słyszałaś
Tę ciszę, gdy ptaki umilkły, a jednak coś
kwili jak ptak?*

James Elroy Flecker, Bramy Damaszku

KSIEGA I

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dotyczący głównie książek

- Książki! - rzuciła Tuppence.

Powiedziała to jakby z gniewem.

- Co mówisz? - spytał Tommy.

Tuppence spojrzała na niego.

- Powiedziałam "książki" - powtórzyła.

- Doskonale cię rozumiem - stwierdził Tommy.

Przed Tuppence stały trzy olbrzymie pudła. Wyjęto z nich mnóstwo książek, ale jeszcze więcej znajdowało się w środku.

- Aż trudno uwierzyć - powiedziała Tuppence.

- Chodzi ci o to, ile miejsca zajmują?

- Właśnie.

- Chcesz postawić wszystkie na półkach?

- Nie wiem, czego chcę - wyznała Tuppence. - W tym całe nieszczęście. Nikt nie wie dokładnie, co właściwie chce zrobić. Och, mój Boże - westchnęła.

- To zupełnie do ciebie niepodobne - stwierdził jej mąż. - Kłopot z tobą zawsze polegał na tym, że aż za dobrze wiedziałas, czego chcesz.

- Chodzi mi o to, że zaczynamy się starzeć i, spójrzmy prawdzie w oczy, dopada nas reumatyzm, zwłaszcza gdy trzeba się pozginać - sam wiesz, żeby ustawić coś na półce albo z niej ściągnąć, albo klęknąć i zajrzeć na dolną. Potem trochę trudno się wyprostować.

- Tak, tak - przyznał Tommy. - Przedstawiłaś nasze główne dolegliwości. O nich chciałaś porozmawiać?

- Nie. Chciałam powiedzieć, że cieszę się, że było nas stać na nowy dom, że znaleźliśmy właśnie takie miejsce, w jakim chcieliśmy zamieszkać i posiadłość, o jakiej zawsze marzyliśmy - po wprowadzeniu kilku zmian, oczywiście.

- Jak rozwalenie ścian co najmniej dwóch pokoi - uzupełnił Tommy - i dobudowanie tego, co sama nazywasz werandą, a twój budowniczy loggią. Dla mnie to ganek.

- Będzie bardzo ładny - stwierdziła z uporem Tuppence.

- Chciałaś powiedzieć, że nie poznasz go, kiedy skończysz?

- Wcale nie. Kiedy go zobaczysz, będziesz zachwycony i powiesz, że masz mądrą i uzdolnioną plastycznie żonę.

- Dobrze. Zapamiętam, co powinienem powiedzieć.

- Nie musisz. Nie będziesz mógł się powstrzymać.

- A co to ma wspólnego z książkami? - spytał Tommy.

- Przywieźliśmy dwa lub trzy pudła. Sprzedaliśmy wszystkie, na których nam nie zależało. Wzięliśmy tylko te, z którymi naprawdę nie mogliśmy się rozstać. No i oczywiście ci ludzie... nie pamiętam ich nazwiska... ci, którzy sprzedali nam ten dom - nie chcieli zabierać ze sobą wszystkiego i powiedzieli, że jeśli im dopłacimy, zostawią parę mebli i książek, a my obejrzelśmy je...

- I część kupiliśmy - dokończył Tommy.

- Właśnie. Nie tyle, ile chcieli. Część mebli była okropna. Na szczęście nie musieliśmy ich kupować. Ale kiedy zobaczyłam książki, zwłaszcza te dla dzieci w salonie na parterze - znalazłam wśród nich takie, które niegdyś uwielbiałam. Nadal je uwielbiam. Niektóre szczególnie. I pomyślałam, jaka to frajda znów je mieć. Na przykład tę o Androklesie i Lwie. Czytałam ją, kiedy, miałam osiem lat. Napisał ją Andrew Lang.

- Czyżbyś była tak mądra, by czytać w wieku ośmiu lat?

- Tak - potwierdziła Tuppence. - Umiałam czytać, odkąd skończyłam pięć. W tamtych czasach każdy to potrafił. Chyba nikt nawet nie musiał się uczyć. To znaczy, ktoś z dorosłych czytał jakąś historię na głos, a tobie podobała się tak bardzo, że zapamiętywałeś, gdzie odłożono książkę, by potem wyjąć ją i obejrzeć. Wkrótce odkrywałeś, że sam umiesz czytać, nie kłopotując się o ortografię i podobne szczegóły. Później nie byłam już tak mądra, bo nigdy nie nauczyłam się poprawnie pisać. Ale gdyby ktoś wytłumaczył mi zasady pisowni, kiedy miałam cztery lata, byłabym świetna. Ojciec nauczył mnie dodawać, odejmować, no i oczywiście, mnożyć. Twierdził, że tabliczka mnożenia to najbardziej pożyteczna umiejętność w życiu. Nauczył mnie też dzielenia.

- Musiał być mądrym człowiekiem.

- Chyba nie był wyjątkowo mądry. Ale za to bardzo, bardzo sympatyczny.

- Czy nie odbiegamy od tematu?

- No tak - przyznała Tuppence. - Więc jak mówiłam, kiedy pomyślałam, że mogłabym znów czytać o Androklesie i Lwie - to jedna z opowieści o zwierzętach autorstwa Andrew Langa... Uwielbiałam je. I jeszcze opowiadanie *Dzień z mojego życia w Eton* napisane przez ucznia tej szkoły. Nie wiem, czemu chciałam je przeczytać, ale chciałam. To była jedna z moich ulubionych książek. Znalazłam też trochę klasyki i powieści pani Molesworth: *Zegar z kukulką*, *Farmę Czterech Wiatrów*...

- No dobrze - przerwał Tommy. - Nie musisz zdawać mi pełnego sprawozdania z literackich triumfów swojego dzieciństwa.

- Chodzi mi o to, że teraz już nie można tych książek kupić. Czasem wychodzą wznowienia, ale zazwyczaj z uwspółcześnionym tekstem i nowymi obrazkami. Parę dni temu znalazłam *Alicję w Krainie Czarów* i nie mogłam jej rozpoznać. Wyglądała dziwnie. Niektóre książki chciałabym zatrzymać na zawsze. Na przykład powieści pani Molesworth i kilka starych baśni:

Różową, Błękitną i Żółtą Księgę, no i całe mnóstwo tych, które polubiłam później. Stameya Weymana i tak dalej. Tu zostało ich całkiem sporo.

- No tak - rzucił Tommy. - Dałaś się skusić. Czulaś, że zakup się opłaci.

- Właśnie - powiedziała Tuppence. - Ale co miałaś na myśli, mówiąc "zachód"?

- Powiedziałem "zakup".

- Ach. Myślałam, że się nudzisz i wolisz obejrzeć zachód słońca.

- Ależ skąd - zaprzeczył Tommy. - Bardzo mnie, interesuje to, co mówisz. I powiedziałem "zakup".

- Kupiłam je bardzo tanio. I są teraz tu, razem z naszymi własnymi książkami. Tylko że mamy ich tyle, że chyba nie zmieszczą się na półkach, które zrobiliśmy. A twój pokój? Może zostało tam trochę miejsca?

- Nie - powiedział Tommy. - Nie zmieszczą tam nawet własnych książek.

- Och, mój Boże. Zawsze tak z nami jest. Jak sądzisz, może dobudujemy jeszcze jeden pokój?

- Nie. Musimy oszczędzać. Ustaliliśmy to przedwczoraj. Pamiętasz?

- To było przedwczoraj - zauważyła Tuppence. - Czas wszystko zmienia. Teraz zamierzam wstawić na półki te książki, z którymi naprawdę nie mogę się rozstać. A potem... potem przejrzymy pozostałe i... może jest gdzieś jakiś szpital dziecięcy lub instytucja, która potrzebuje książek?

- Możemy je sprzedać - zaproponował Tommy.

- Takich książek nikt chyba nie chciałby kupić. Nie mamy tu żadnych białych kruków.

- A może się nam poszczęści - rzucił Tommy.

- Miejmy nadzieję, że znajdziemy nigdy nie wznawiany egzemplarz, który okaże się spełnieniem marzeń każdego miłośnika książki.

- Tymczasem musimy poustawiać książki na półkach - powiedziała Tuppence - i, oczywiście, sprawdzić, czy pamiętam wszystkie i czy chcę je zatrzymać. Spróbuję je z grubsza posortować. Osobno książki przygodowe, osobno baśnie, książeczki dla dzieci i opowiadania o szkole, w których uczniowie są zawsze bardzo bogaci. Autorstwa L.T. Meade, jak sądzę. I osobno książki, które czytaliśmy Deborze, gdy była mała. Wszyscy kochaliśmy Kubusia Puchatka. Mieliśmy jeszcze Mafii szara kure, ale nie przepadałam za nią za bardzo.

- Chyba się przemęczasz - stwierdził Tommy. - Powinnaś odpocząć.

- Za chwilę. Skończę tylko tę część pokoju, powstawiam tu książki...

- Pomogę ci - zaproponował Tommy. Podszedł do Tuppence, pchnął pudło tak, że zawartość wysypała się na zewnątrz, zebrał kilka książek w stos, podszedł do półki i wrzucił je na nią.

- Ułożę je według, wielkości, będzie wyglądać schludniej - powiedział.

- Och, nie na tym polega segregowanie - zaprotestowała Tuppence.

- Na razie wystarczy. Później zrobimy to dokładniej. Poukładamy je tak, że będzie

naprawdę ładnie. Posegregujemy je któregoś deszczowego dnia, kiedy nie będziemy mieli nic innego do roboty.

- Problem w tym, że zawsze wymyślimy sobie coś innego do roboty.

- Tu zmieści się jeszcze siedem książek. Został mi tylko górny róg. Podaj mi to drewniane krzesło, dobrze? Jak myślisz, ma na tyle mocne nogi, żebym na nim stanął? Ułożyłbym książki na najwyższej półce.

Ostrożnie wspiął się na krzesło. Tuppence podała mu naręczę książek. Uważnie ustawił je na górnej półce. Katastrofa spotkała dopiero trzy ostatnie, które spadły na podłogę, trafiając po drodze Tuppence.

- To boli! - zawołała.

- Nic na to nie poradzę. Podałaś mi za dużo.

- Wygląda cudownie - oceniła Tuppence, cofając się o krok. - Jeśli postawisz te na przedostatniej półce, tam jest jeszcze miejsce, to będzie wszystko z pierwszego pudła. Świetnie. Te, za które zabrałam się rano, nie są nasze. Kupiłam je. Może znajdziemy w nich skarby.

- Może - zgodził się Tommy.

- Na pewno. Czuję, że coś w nich znajdę. Coś wartego mnóstwo pieniędzy.

- I co zrobimy? Sprzedamy znalezisko?

- Pewnie będziemy musieli - powiedziała Tuppence. - Choć, oczywiście, możemy je zatrzymać i pokazywać znajomym. Nie tyle po to, żeby się pochwalić, ale żeby powiedzieć: "Tak, mamy kilka interesujących nabytków". Na pewno coś takiego znajdziemy.

- Co? Starą, ukochaną książkę, o której zapomniałaś?

- Nie całkiem. Coś zaskakującego, zdumiewającego. Coś, co zmieni nasze życie.

- Och, Tuppence, ależ ty masz wyobraźnię - powiedział Tommy. - Najprawdopodobniej znajdziemy coś kompletnie bezwartościowego.

- Bzdura - odparła Tuppence. - Trzeba mieć nadzieję. To wspaniała rzecz: nadzieja. Przecież wiesz. Ja zawsze spodziewam się tego, co najlepsze.

- Wiem - powiedział Tommy. Westchnął. - Często tego żałuję.

ROZDZIAŁ DRUGI

Czarna strzała

Pani Tomaszowa Beresford odłożyła *Zegar z kukułką* pióra pani Molesworth na trzecią półkę od dołu. Stały tam inne książki tej autorki. Wyjęła *Pokój z gobelinem* i spojrzała nań z namysłem. A może przeczyta *Farmę Czterech Wiatrów*? Nie pamiętała jej tak dobrze jak *Zegara z kukułką* czy *Pokoju z gobelinem*. Wyciągnęła rękę... Tommy wróci niedługo.

Praca posuwała się do przodu. Tak, z całą pewnością. Gdyby tylko Tuppence nie zatrzymywała się co trochę, by zdjąć z półki kolejnego starego ulubieńca i poczytać. Bardzo, miłe zajęcie, ale pochłaniało czas. A kiedy Tommy zapytał ją wieczorem, po powrocie do domu, jak idzie sprzątanie, odpowiedziała: "Och, bardzo dobrze". Musiała użyć sporo taktu i finezji, by powstrzymać go przed pójściem na górę i sprawdzeniem, ile książek naprawdę poukładała. Remont zajmował wiele czasu. Tak to już było z przeprowadzką do nowego domu - zawsze trwała dłużej, niż zakładano. A jeszcze ci wszyscy denerwujący fachowcy. Na przykład elektrycy: przychodzili najwyraźniej niezadowoleni z tego, co zrobili dzień wcześniej, rozkładali się na niemal całej podłodze i z radosnym wyrazem twarzy zastawiali coraz to nowe pułapki na nieostrożną panią domu, która szła nie patrząc pod nogi i w ostatniej chwili była ratowana przez nie dostrzeżonego przedtem elektryka, grzebiącego po omacku pod podłogą.

- Czasami naprawdę żałuję; że wyprowadziliśmy się z Bartons Acre - stwierdziła wieczorem Tuppence.

- Przypomnij sobie pokój stołowy i strych. Przypomnij sobie, co stało się z garażem - odparł Tommy. - Wiesz, że prawie zawałił się na samochód.

- Mogliśmy załatać dach.

- Nie. Praktycznie musielibyśmy wybudować nowy garaż albo wyprowadzić się. Pewnego dnia ten dom będzie bardzo ładny. Jestem pewien. A w każdym razie jest tu miejsce na wszystko, czego byśmy chcieli.

- Kiedy mówisz .."wszystko, czego byśmy chcieli" - odparła Tuppence - masz na myśli rzeczy, które chcemy gdzieś ustawić i zatrzymać na zawsze?

- Och, wiem, że mamy ich za dużo. Zgadzam się z tobą całym sercem - powiedział Tommy.

W owej chwili Tuppence zastanowiła się, czy kiedykolwiek będą w stanie zrobić z tym domem cokolwiek - to znaczy cokolwiek poza wprowadzeniem się. Brzmiało prosto, ale okazało się skomplikowane. Częściowo, oczywiście, przez książki.

- Gdybym była miłym, typowym dla dzisiejszych czasów dzieckiem - odezwała się

Tuppence - nie nauczyłam się czytać z taką łatwością. Dzisiejsze cztero-, pięcio- i sześciolatki nie potrafią czytać, zanim nie skończą dziesięciu czy jedenastu lat. Nie rozumiem, dlaczego to było takie proste dla nas. Wszyscy potrafiliśmy czytać. Ja i mój sąsiad Martin, Jennifer, która mieszkała przy tej samej ulicy, Cyril i Winifred. Wszyscy. Nie mówię, że znaleźliśmy zasady ortografii, ale mogliśmy przeczytać wszystko, na co przyszła nam ochota. Nie wiem, jak się tego nauczyliśmy. Pewnie pytając dorosłych. Z plakatów i reklam żółciopędnych pigułek Cartera. Czytaliśmy stojące przy torach ogłoszenia, kiedy pociąg dojeżdżał do Londynu. To było pasjonujące. Zawsze zastanawiałam się, co to za pigułki. Och, mój Boże, powinnam myśleć o tym, co robię.

Wyciągnęła kolejne książki. Minęły trzy kwadransy, kiedy pochłonęła ją najpierw *Alicja po drugiej stronie lustra*, w polem *Nieznane historie Charlotty Yong*. Przerzuciła opasły, podniszczony egzemplarz *Łańcucha stokrotek*.

- Muszę to znowu przeczytać - powiedziała na głos. Pomyśleć tylko, że minęły całe lata, odkąd to ostatni raz czytałam. Och, ależ to było ekscytujące: zastanawiać nie, czy Norman zostanie dopuszczony do konfirmacji. Do tego Ethel i... jak nazywał się ten dom? Coxwell? I kwiatowa Flora. Ciekawe, dlaczego wtedy każdy był światowy i dlaczego tak to krytykowano? A jacy my jesteśmy? Czy sądzisz, że jesteśmy światowi?

- Słucham panią?

- Och. nic takiego - powiedziała Tuppence, oglądając ile na swojego wiernego lokaja, który właśnie stanął w drzwiach.

- Myślałem, że mnie pani wzywała. Dzwoniła pani, prawda?

- Właściwie nie - odparła Tuppence. - Pociągnęłam za sznurek, kiedy wchodziłam na krzesło, żeby sięgnąć po książkę.

- Czy mogę w czymś pomóc?

- Bardzo bym chciała. Wciąż spadam z tych krzeseł. Jedne mają krzywe nogi, inne są śliskie.

- Szuka pani jakiejś szczególnej książki?

- Nie mogę poradzić sobie z trzecią półką. Trzecią od góry. Nie wiem, jakie książki na niej stoją.

Albert wszedł na krzesło i otrząsając książki z kurzu, jaki się na nich zebrał, podawał je kolejno na dół. Tuppence odbierała każdą z zachwytem.

- Och, niemożliwe! Zapomniałam już o nich. O, tutaj jest *Amulet*, a tu *Psamayad*. I jeszcze *Nowi poszukiwacze skarbów*. Uwielbiałam je. Nie, nie odkładaj ich jeszcze na półkę, Albercie. Najpierw muszę je przeczytać. Może choć jedną lub dwie. A to co? Niech sprawdzę *Czerwona kokarda*. A tak, to powieść historyczna. Pasjonująca. A obok *Pod czerwona wstęga*. I mnóstwo Stanleya Weymana. Całe tomy. Oczywiście, czytałam go, kiedy miałam dziesięć czy jedenaście lat. Nie powinnam się dziwić, jeśli natrafię na *Więźnia na zamku Zenda*. - Westchnęła z przyjemności na to wspomnienie. - *Więzień na zamku Zenda*. Wprowadzenie do

powieści historycznej. Miłość księżniczki Flavii. Król Rurytanii. Rudolph Rassendyll, tak się jakoś nazywał śniłam o nim po nocach.

Albert wręczył jej kolejne książki.

- Tak - mówiła Tuppence. - Tak jest o wiele lepiej. A to starsze książki. Muszę je postawić razem. Niech spojrzę. Co my tu mamy? Wyspa skarbów. Miła lektura, ale czytałam ją już parę razy i widziałam chyba dwie wersje filmowe. Nie lubię ich oglądać, nigdy nie wydają się takie, jak powinny. O! A to *Porwany za młodu*. Tak, zawsze lubiłam tę książkę.

Albert wyprostował się. Wziął za dużo tomów i *Katriona* spadła prosto na głowę Tuppence.

- Przepraszam panią. Bardzo mi przykro.

- Wszystko w porządku, nic mi się nie stało. *Katriona*. Tak. Jest tam jeszcze coś Stevensona?

Albert wręczył jej kolejne książki już ostrożniej. Tuppence wyrwał się okrzyk absolutnego zachwytu.

- Niech mnie! *Czarna strzala!* To jedna z pierwszych książek, które czytałam. Ty pewnie jej nie znasz, Albercie. To znaczy wtedy jeszcze się nie urodziłeś, prawda? Niech pomyśle. Niech tylko pomyśle. Czarna strzala. Tak, oczywiście, to ten obraz na ścianie i oczy - prawdziwe oczy - patrzące przez oczy namalowane na płótnie. Wspaniała historia. Przerażająca. Och, tak. Czarna strzala. O czym to było? A, tak: o kocie? Może psie? Nie. "Kot, szczur i pies Lovell trzęsą całą Anglią, a wszyscy siedzą pod wieprzem kanalią". Zgadza się. Wieprz to oczywiście Ryszard III. Dzisiaj wszyscy piszą, że tak naprawdę był wspaniały, że nie był zbrodniarzem. Ale ja w to nie wierzę. Tak jak Szekspir. Przecież swoją sztukę zaczął, wkładając w usta Ryszarda słowa: "Postanowiłem na łotra się zmienić". Tak. Czarna strzala.

- Coś jeszcze, proszę pani?

- Nie, dziękuję ci, Albercie. Jestem już zbyt zmęczona, by dalej to ciągnąć.

- Tak jest. Przy okazji, pan Beresford dzwonił, by przekazać, że spóźni się pół godziny.

- Nic nie szkodzi - powiedziała Tuppence.

Usiadła w fotelu z *Czarna strzałą* w rękę, otworzyła ją i zatopiła się w treści.

- Mój Boże - powiedziała. - Cudowna rzecz. Zapomniałam tyle, że z przyjemnością znów ją przeczytam. Pasjonująca lektura.

Zapadła cisza. Albert wrócił do kuchni. Tuppence odchyliła się na oparcie. Czas płynął. Pani Beresford, skulona w podniszczonym fotelu, odnajdywała przyjemności młodych lat, pochłonięta *Czarna strzałą* Roberta Louisa Stevensona.

Czas mijał również w kuchni. Albert manipulował przy piekarniku. Przed domem zatrzymał się samochód i lokaj wyszedł na zewnątrz kuchennymi drzwiami.

- Mam wstawić go do garażu, proszę pana?

- Nic - odparł Tommy. - Sam to zrobię. Na pewno jesteś zajęty przygotowaniem obiadu. Czy bardzo się spóźniłem?

- Nie, proszę pana. Mniej więcej tyle, ile pan mówił. Nawet jest pan trochę wcześniej.

- Och. - Tommy wysiadł z samochodu i wszedł do kuchni, zacierając dłonie. - Ależ ziąb! Gdzie Tuppence?

- Pani jest na górze, z książkami.

- Co? Dalej te nieszczęsne książki?

- Tak. Dziś zrobiła o wiele więcej, choć większość czasu spędziła czytając.

- O rany - westchnął Tommy. - No dobrze, Albercie. Co dziś jemy?

- Filety z flądry z cytryną, proszę pana. Zaraz skończę.

- Dobrze. Niech będzie za kwadrans. Najpierw chcę się umyć.

Na górze Tuppence nadal siedziała w fotelu, zatopiona w *Czarnej strzale*. Lekko marszczyła czoło. Natrafiła na coś dziwnego. Powiedziałaaby, że ktoś ingerował w treść książki. Strona, do której doszła - rzuciła szybko okiem: sześćdziesiąta czwarta czy pięta? Nie widziała. W każdym razie, ktoś podkreślił niektóre słowa. Ostatni kwadrans spędziła na ich studiowaniu. Nie rozumiała, dlaczego to zrobiono. To nie były słowa z jednego akapitu, tworzące cytat. Najwyraźniej wybrano je na chybił trafił i zaznaczono czerwonym tuszem. Przeczytała szeptem: "Matcham nie mógł powstrzymać okrzyku. Dick drgnął ze zdziwienia i kotew wyslizgnęła mu się z palców. Porwali się na nogi, jęli obluzowywać w pochwach miecze lub sztylety. Ellis podniósł rękę. Białka oczu łysnęły w ogorzalej twarzy. - Chłopcy! - zawołał..."*
- Tuppence potrząsnęła głową. To nie miało sensu. Żadnego sensu.

Podeszła do stołu, na którym trzymała przybory do pisania i wzięła kilka kartek, przysłanych przez firmę papierniczą z prośbą, by wybrali papier, na którym ma pojawić się nadruk z ich nowym adresem: Wawrzyny.

- Głupia nazwa - stwierdziła Tuppence - ale jeśli ją zmienimy, żaden list do nas nie dojdzie.

Spisała wszystkie słowa. Uświadomiła sobie coś, czego nie dostrzegła przedtem.

- To wszystko zmienia - powiedziała. Sprawdziła litery.

- A więc tu jesteś - usłyszała raptem głos Tommy'ego. - Obiad gotowy. Jak tam twoje książki?

- Zdumiewające - rzuciła Tuppence. - Przedziwne.

- Co się stało?

To *Czarna strzala* Stevensona. chciałam ją przeczytać. Wszystko było w porządku, a potem natrafiłam na stronę ze słowami podkreślonymi czerwonym tuszem.

- Przecież tak się czasem, robi - powiedział Tommy. - To znaczy nie zawsze czerwonym tuszem. Ale przecież czasem sami coś podkreślamy, jeśli chcemy zapamiętać jakiś cytat. Na pewno wiesz, o co mi chodzi.

* Fragmenty *Czarnej Strzały* Robert Louis Stevensona w przekładzie Tadeusza Jana Dehnela.

- Wiem, ale to nie tak. To są litery.

- Co to znaczy: litery?

- Podejź tu - poprosiła Tuppence.

Tommy zbliżył się i usiadł na poręczy fotela. Przeczytał; "Matcham nie mógł powstrzymać okrzyku i natychmiast stłumił a nawet drgnął ze zdziwienia i wyslizgnęła mu się z palców dla zgromadzonej na... - nie mogę przeczytać - murawie zgrai była spodziewanym hasłem. Porwali się na nogi jęli dociągać pasów i obluzowywać w pochwach miecze lub sztylety". To bez sensu - stwierdził.

- Tak - zgodziła się Tuppence. - Tak najpierw pomyślałam: bez sensu. Ale to nie jest bezsens, Tommy.

Z dołu dobiegł ich dźwięk dzwonka.

- Obiad na stole.

- Nieważne - powiedziała Tuppence. - Muszę ci to powiedzieć. Za szczegóły zabierzemy się później, ale to naprawdę niezwykle. Muszę ci to natychmiast pokazać.

- No dobrze. Trafiłaś na jakieś bezwartościowe odkrycie?

- Nie. Widzisz, wypisałam wszystkie litery. M z pierwszego słowa: "Matcham". Podkreślono M i A. potem są trzy, trzy lub cztery słowa. Nie po kolei. Wybrano je na chybił trafił, jak sadzę, i podkreślono poszczególne litery. Ktoś potrzebował tylko liter. Widzisz? Tu mamy R z "powstrzymać" i Y z "okrzyku", dalej J ze "zgromadzonej", O z "podniósł", R z "ręki", D z "Daniel" i z tego samego słowa A, N z "komina"...

- Na miłość boską - przerwał jej Tommy. - Przestań!

- Poczekaj. Muszę to odkryć. Widzisz, wszystko sobie spisałam. Rozumiesz, co to jest? Jeśli wybierzesz same litery i spiszesz je po kolei na kartce, widzisz, co tworzą razem z tymi, które zapisałam wcześniej? MARY. Te cztery podkreślono.

- I co to ma znaczyć?

- Mary.

- Dobrze - zgodził się Tommy. - To znaczy Mary. Ktoś nazywał się Mary. Pewnie jakieś dziecko z bujną wyobraźnią, które chciało zaznaczyć, że to jej książka. Ludzie często podpisują książki swoim nazwiskiem.

- Dobrze. Mary. A następane słowo z podkreślonych liter - ciągnęła Tuppence - to JORDAN.

- Sama widzisz: Mary Jordan. To całkiem normalne. Znasz jej nazwisko. Nazywała się Mary Jordan.

- Ale ta książka nie należała do niej. Na pierwszej stronie napisano dziecinnym pismem "Alexander". Chyba Alexander Parkinson.

- Niech będzie. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Oczywiście - powiedziała Tuppence.

- Chodźmy na dół. Jestem głodny.

- Powstrzymaj się jeszcze. Przeczytam ci tylko kolejny fragment, do końca podkreśleń. A w każdym razie do końca podkreśleń na czterech następnych stronach. Liter nie zaznaczano

metodycznie - w wybranych wyrazach nie ma nic szczególnego. Chodzi tylko o pojedyncze litery. Mamy więc Mary Jordan. Dobrze. A wiesz, jakie są cztery następne słowa? "Nie umarła natóralną śmiercią." Powinno być "naturalną", ale pewnie ktoś nie wiedział, że to się pisze przez "u". I co? "Mary Jordan nie umarła naturalną śmiercią". Rozumiesz? A następne zdanie brzmi: "To było jedno z nas i chyba wiem, kto". To wszystko. Nic więcej nie znalazłam. Ale to dość ekscytujące, prawda?

Słuchaj no, Tuppence, nie zamierzasz chyba robić z tego historii, co? - spytał Tommy.

- Co to znaczy "historii"?

- Nie zaczniesz twierdzić, że odkryłaś jakąś tajemnicę

- Dla mnie to jest tajemnica - stwierdziła Tuppence. - "Mary Jordan nie umarła naturalną śmiercią. To było jedno z nas i chyba wiem, kto". Tommy, musisz przyznać, że to bardzo intrygujące.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wizyta na cmentarzu

- Tuppence! - zawołał Tommy, wchodząc do domu. Bez odpowiedzi. Z rozdrażnieniem wbiegł po schodach na górę. Idąc pośpiesznie korytarzem na pierwszym piętrze, niemal wsadził nogę w dziurę ziejącą w podłodze i zaklął.

- Ci przekłęci elektrycy!

Kilka dni wcześniej miał podobny kłopot. Elektrycy zaczęli pracować pełni życzliwego optymizmu, obiecując, że szybko skończą. "Wszystko idzie dobrze - twierdzili. - Wrócimy po południu". Ale nie wrócili. Tommy nie był właściwie zdziwiony. Przywykł już do systemu pracy w branży budowlanej, elektrycznej, gazowej. Fachowcy zjawiali się, sprawiali wrażenie efektywnych, rzucali optymistyczne uwagi i wychodzili, by coś przynieść. Już nie wracali. Tommy dzwonił do nich, ale zawsze dodzwaniał się pod zły numer. A jeśli dodzwonił się pod dobry, okazywało się, że człowiek, o którego pytał, wcale nie pracuje w tej branży, jaka by ona nie była. Pozostawało jedynie zachować ostrożność i omijać dziury, nie skręcać sobie kostek i nie uszkadzać innych części ciała. Tommy bał się o Tuppence. Sam miał więcej doświadczenia. Poza tym uważał, że Tuppence była bardziej niż on narażona na to, że sparzy się czajnikiem lub dotknie rozgrzanego piekarnika. Ale gdzież ona jest? Zawołał ponownie.

- Tuppence! Tuppence!

Martwił się o nią. Należała do osób, o które trzeba się martwić. Wychodząc z domu, dawał jej ostatnie pouczenia, a ona obiecywała, że postąpi dokładnie według udzielanych rad. Nie, nie wyjdzie, chyba tylko po to, żeby kupić pół funta masła, a to przecież nie jest niebezpieczne, prawda?

- Może być niebezpieczne, jeśli to ty kupujesz masło - zauważył Tommy.

- No nie - zaprotestowała. Tuppence. - Nie bądź idiotą.

- Nie jestem. Reaguję jak mądry i uważny mąż, który dba o swoją ulubioną własność. Nie wiem, dlaczego...

- Ponieważ - przerwała mu Tuppence - jestem tak czarująca, śliczna, ponieważ taki dobry ze mnie kompan i tak się o ciebie troszczę.

- To też, możliwe - powiedział Tommy - ale sam ułożyłbym inną listę.

Chyba by mi się nie spodobała - stwierdziła Tuppence. - Raczej nie. Myślę, że nadal masz do mnie parę starych żalów. Ale nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Wystarczy, że zawołasz mnie, kiedy wrócisz do domu.

No i gdzie teraz jest?

- Mała diabliska - mruknął Tommy. - Wyszła gdzieś.

Wszedł do pokoju, w którym znalazł ją poprzedniego dnia. Może czyta następną książkę dla dzieci. I znowu ekscytuje się słowami, które jakieś głupie dziecko podkreśliło czerwonym tuszem. Jest na tropie Mary Jordan, kimkolwiek była. Mary Jordan, która nie zmarła naturalną śmiercią. Nie mógł oprzeć się myślom. Zastanówmy się: ludzie, którzy sprzedali im ten dom, nazywali Jones. Nic mieszkali w nim długo: trzy lub cztery lata. W takim razie dziewczynka z książki Stevensona żyła tu jeszcze wcześniej. Tak czy inaczej, Tuppence nie było w pokoju. Na wierzchu nie leżała żadna książka, która chwilę wcześniej wzbudziła jej zainteresowanie.

- Gdzie, u diabła, ona jest? - pomyślał głośno Tommy.

Zszedł na dół, wołając kilkakrotnie. Bez efektu. Sprawdził wieszak w holu. Ani śladu płaszcza Tuppence. A więc wyszła. Dokąd? I gdzie jest Hannibal? Innym tonem zaczął wołać Hannibala.

- Hannibal! Hannibal! Chodźże, piesku!

Żadnej reakcji.

Cóż, uznał Tommy, w każdym razie zabrała ze sobą Hannibala.

Nie wiedział, czy to lepiej czy gorzej. Na pewno Hannibal nie dopuści, by Tuppence stała się jakaś krzywda. Pytanie brzmiało: czy Hannibal robi jakaś krzywdę innym? Zachowywał się przyjaźnie, gdy zabierano go w gości, lecz ludzie, którzy chcieli odwiedzić Hannibala, którzy przychodzili do domu, w którym mieszkał, automatycznie stawali się podejrzani. Był gotów pójść na największe ryzyko i jednocześnie szczekać i gryźć, gdy tylko uznał to za konieczne. Gdzie się wszyscy podzieli?

Tommy przeszedł kawałek ulicą, ale nie dostrzegł nigdzie małego czarnego psa i kobiety średniego wzrostu w czerwonym płaszczu. Wreszcie, dość zły, wrócił do domu.

Poczuł całkiem smakowity zapach. Poszedł szybko do kuchni. Tuppence odwrócił się od piekarnika i posłała mu powitalny uśmiech.

- Ciągłe się spóźniasz - powiedziała. - To potrawka. Ładnie pachnie, nie sądzisz? Tym razem wrzuciłam kilka nietypowych składników. W ogrodzie rosły jakieś zioła. Mam nadzieję, że to były zioła.

- Jeśli nie zioła, to prawdopodobnie wilcza jagoda i naparstnica udająca coś niewinnego. Gdzieś ty była?

- Zabrałam Hannibala na spacer.

W tej chwili Hannibal dał o sobie znać. Popędził do Tommy'ego i powitał go z takim zapalem, że niemal zwałił go z nóg. Hannibal był małym czarnym psem ze lśniąca sierścią i intrygującymi jaśniejszymi łatami na grzbiecie i po obu stronach pyska. Jako terier z idealnym rodowodem uważał się za o wiele bardziej wyrafinowanego i arystokratycznego niż wszystkie psy, które spotykał.

- O rany! Szukałem was. Gdzie poszliście? Pogoda nie jest zbyt ładna.

- Rzeczywiście. Mgła i wilgoć. Ależ jestem zmęczona.

- Gdzie poszliście? Do sklepu?

- Nie, dziś zamykają wcześniej. Poszłam na cmentarz.

- Brzmi przygnębiająco - ocenił Tommy. - Czemu chciałaś iść na cmentarz?

- Poszłam obejrzyć parę nagrobków.

- Dość przygnębiające zajęcie. Hannibal dobrze się bawił?

- Musiałam go wziąć na smycz. Koło kościoła krążył ktoś wyglądający na kościelnego i pomyślałam, że mógłby nie polubić Hannibala... zresztą nie wiadomo, czy Hannibal polubiłby jego, a ja nie chciałam, by ludzie z miejsca się do nas uprzedzili.

- Czego szukałaś na cmentarzu?

- Chciałam zobaczyć, kim byli pogrzebani tam ludzie. Jest ich całe mnóstwo, to znaczy grobów. Niektóre są bardzo stare, jeszcze z dziewiętnastego wieku, a ze dwa są nawet starsze, choć napis na pomnikach starł się i nie mogłam odczytać dat.

- Nadal nie rozumiem, po co tam poszłaś.

- Żeby przeprowadzić dochodzenie - wyjaśniła Tuppence.

- Dochodzenie? W jakiej sprawie?

- Chciałam sprawdzić, czy na cmentarzu leżą jacyś Jordanowie.

- Dobry Boże! Wciąż ta książka? Szukałaś...

- Mary Jordan zmarła. Mamy książkę, w której napisano, że nie zmarła naturalną śmiercią. Musi być gdzieś pogrzebana, prawda?

- Bezsprzecznie - zgodził się Tommy. - Chyba że pochowano ją w ogrodzie.

- To niezbyt prawdopodobne. Informację zostawiło jakieś dziecko... chłopiec imieniem Alexander. Był dumny ze swojego sprytu, z tego, że odkrył, iż śmierć Mary nie była naturalna. Jeśli tylko on to odkrył... i nikt poza nim... a tak przypuszczam... Chodzi mi o to, że pewnie umarła, pogrzebano ją i nikt nie powiedział...

- Że dokonano morderstwa - podsunął Tommy.

- Mniej więcej. Otruto ją, uderzono w głowę, zepchnięto ze skały lub przejechano samochodem albo... przychodzi mi na myśl tysiąc sposobów.

- Tego jestem pewien - stwierdził Tommy. - Dobrze przynajmniej, że masz dobre serce, Tuppence. Nie mordowałaś ludzi tylko dla zabawy.

- Ale na cmentarzu nie było grobu Mary Jordan. Ani nikogo o tym nazwisku.

- Musiało cię to rozczarować. Czy to, co gotujesz, jest już gotowe? Jestem strasznie głodny. Ładnie pachnie.

- Gotowe pod każdym względem - odparła Tuppence. - Jak tylko się umyjesz, siadamy do stołu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mnóstwo Parkinsonów

- Mnóstwo Parkinsonów - powiedziała Tuppence, gdy jedli. - Pochowano ich dawno temu, ale jest ich zdumiewająco wielu. Starych, młodych i małżeństw. Cmentarz pęka od Parkinsonów. I Cape'ów, Gritffinów, Underwoodów i Overwoodów. Dziwne, że są tu i jedni, i drudzy.

- Miałem przyjaciela nazwiskiem Underwood - odezwał się Tommy.

- Ja też znałam ludzi o tym nazwisku. Ale ani jednego Overwooda.

- To mężczyzna czy kobieta? - spytał lekko zaintrygowany Tommy.

- Chyba dziewczyna. Rose Overwood.

- Rose Overwood - powtórzył Tommy, wsłuchując się w brzmienie nazwiska. - Jakoś nie bardzo mi to pasuje. - Zmienił temat: - Po lunchu muszę zadzwonić po elektryka. Jeśli nie będziesz ostrożna, Tuppence, wsadzisz nogę w dziurę na piętrze.

- Ciekawe, czy byłabym przypadkiem śmiercią naturalną czy nienaturalną?

- Byłabyś przypadkiem śmiercią z ciekawości - stwierdził Tommy. - Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

- Czy ty nigdy nie bywasz ciekawy? - spytała Tuppence.

- Nic widzę ku temu żadnych sensownych powodów. Co mamy na deser?

- Ciasto z syropem.

- Muszę przyznać, że to był pyszny posiłek.

- Cieszę się, że ci smakował.

- Co jest w tej paczce za kuchennymi drzwiami? Może wino, które zamówiliśmy?

- Nie - odparta Tuppence. - To cebulki.

- Ach, tak. Cebulki.

- Tulipanów - wyjaśniła Tuppence. - Pójdę porozmawiać o nich ze starym Izaakiem.

- Gdzie zamierzasz je posadzić?

- Chyba wzdłuż głównej ścieżki w ogrodzie.

- Biedny staruszek. Wygląda, jakby miał lada chwila paść trupem - zauważył Tommy.

- Wcale nie. Jest bardzo silny. Wiesz, odkryłam, że tacy z reguły są ogrodnicy. Jeśli są bardzo dobrzy, swoje najlepsze lata osiągają po osiemdziesiątce. A jeśli trafisz na silnego, umięśnionego mężczyznę, który ma trzydzieści pięć lat i mówi: "Zawsze chciałem pracować w ogrodzie", możesz być pewien, że żaden z niego ogrodnik. Potrafi najwyżej zgrabić liście. Kiedy każesz mu coś zrobić, zawsze odpowie, że to nieodpowiednia pora roku. Ponieważ nigdy nie wiadomo - w każdym razie ja nie wiem - kiedy jest odpowiednia pora, nigdy z nim nie

wygrasz. Lecz Izaak jest cudowny. Wie wszystko. - Po chwili dodała: - Powinniśmy mieć jeszcze kilka krokusów. Ciekawe, czy są w paczce. Pójdę sprawdzić. Izaak przychodzi dzisiaj i wszystko mi powie.

- Dobrze. Zaraz się do was przyłączę.

Tuppence i Izaak powitali się z przyjemnością. Rozpakowali cebulki, przedyskutowali, gdzie będą prezentowały się najlepiej. Najpierw wczesne tulipany, które powinny radować serca pod koniec lutego, potem ładne strzępiaste tulipany papuzie i, o ile Tuppence sobie przypominała, tulipany zwane viridiflora, szczególnie piękne na swoich długich łodygach w maju i na początku czerwca. Ponieważ miały interesujący, pastelowo-zielony odcień, oboje zgodzili się, że należy posadzić je razem w cichej części ogrodu, skąd można by je zrywać i układać w wazonach w salonie. Można też posadzić je blisko domu przy głównej bramie, gdzie wzbudziłyby zawiść i zazdrość gości. Obudziłyby artystyczny smak nawet w chłopcu dostarczającym mięso i nabiał.

O czwartej Tuppence przygotowała w kuchni brązowy czajniczek pełen dobrej, mocnej herbaty, postawiła obok cukiernicę wypełnioną kostkami cukru i dzbanuszek z mlekiem. Zawołała do Izaaka, by odświeżył się przed wyjściem i ruszyła na poszukiwanie Tommy'ego.

Pewnie śpi gdzieś, pomyślała, sprawdzając kolejne pokoje. Z zadowoleniem dostrzegła głowę wystającą ze złowieszczej dziury w podłodze na podeście.

- Już wszystko w porządku, proszę pani - powiedział elektryk - nie trzeba uważać. Wszystko naprawione. - Dodał, że następnego ranka zaczyna pracę w innej części domu.

- Mam szczerą nadzieję, że naprawę pan przyjdzie - odparła Tuppence. - Widział pan może pana Beresforda? - zapytała.

- Znaczy się, pani męża? Taa, Jest chyba na górze. Rzuca czymś, i to dosyć ciężkim. Według mnie książkami.

- Książkami! - wykrzyknęła Tuppence. - Kto by pomyślał!

Elektryk zniknął w swoim podziemnym świecie pod podłogą, a Tuppence weszła na strych, który zamienili w dodatkową bibliotekę, poświęconą książkom dla dzieci.

Tommy siedział na szczycie drabinki. Na podłodze wokół niego leżały książki, a na półkach widać było kilku pustych miejsc.

- Więc tu jesteś - powiedziała Tuppence - i to po tym, jak udawałeś, że wcale cię to nie obchodzi. Przejrzałeś sporo książek, prawda? Narobiłeś bałaganu tam, gdzie wszystko już ładnie poukładałam.

- Bardzo mi przykro - odparł Tommy. - Pomyślałem sobie, że trochę się rozejrzę.

- Znalazłeś następną książkę z literami podkreślonymi czerwonym tuszem?

- Nie. Żadnej.

- A szkoda - stwierdziła Tuppence.

- To musiało być dzieło Alexandra, panicza Alexandra Parkinsona - orzekł Tommy.

- Tak - zgodziła się Tuppence. - Jednego z wielu Parkinsonów.

- Według mnie był leniem, choć oczywiście zadał sobie sporo trudu z podkreślaniem. Ale nie ma więcej informacji w sprawie Jordan.

- Zapytałam starego Izaaka. Zna tu mnóstwo ludzi. Mówił, że nie pamięta żadnych Jordanów.

- Co zamierzasz zrobić z tą mosiężną lampą, którą postawiłaś przy drzwiach? - spytał Tommy, kiedy zszedł na dół.

- Zabieram ją na wyprzedaż rupieci - odparła Tuppence.

- Dlaczego?

- Och, bo nam zawsze przeszkadzała. Kupiliśmy ją gdzieś za granicą, prawda?

- I musieliśmy chyba oszaleć. Nigdy ci się nie podobała. Mówiłaś, że jej nie cierpisz. Zgadzasz się z tobą. Na dodatek jest potwornie ciężka.

- Ale panna Sanderson bardzo się ucieszyła, kiedy powiedziałam, że mogę ją oddać. Zaproponowała, że po nią przyjedzie, ale powiedziałam, że sama ją zawiozę. Dzisiaj właśnie zbieramy wszystkie rzeczy.

- Zawiozę ją, jeśli chcesz.

- Nie, wolę sama pojechać.

- Dobrze - powiedział Tommy. - W takim razie przynajmniej pojedę z tobą i wniosę ją do środka.

- Chyba znajdę kogoś, kto to zrobi - odparła Tuppence.

- Może tak, może nie. Nie próbuj dźwigać jej sama.

- Dobrze - zgodziła się Tuppence.

- Masz jakiś inny powód, by tam pojechać, prawda?

- Pomyślałam sobie, że mogę pogawędzić trochę z mieszkańcami wioski - odparła Tuppence.

- Nigdy nie wiem, co ci chodzi po głowie, ale po błysku w twoim oku rozpoznaję przynajmniej, kiedy się to dzieje.

- Weź Hannibala na spacer. Nie mogę go zabrać na wyprzedaż. Nie chcę, żeby wdał się w bójkę z innymi psami.

- Dobrze. Hannibal, chcesz iść na spacer?

Hannibal, jak to miał w zwyczaju, błyskawicznie odpowiedział twierdząco. Jego potwierdzeń i zaprzeczeń nie można było nie zauważyć. Zakręcił się, pomachał ogonem, podniósł łapę, opuścił, podbiegł do Tommy'ego i mocno potarł łbem o jego nogę.

- Jasne - mówił najwyraźniej. - Po to przecież istniejesz. mój drogi niewolniku. Idziemy na cudowny spacer w dół ulicy. Liczę na mnóstwo zapachów.

- Chodź - powiedział Tommy. - Biorę smycz i nie próbuj wybiegać na jezdnię, jak ostatnio. Jedna z tych okropnych ciężarówek mogłaby oznaczać twój koniec.

Hannibal spojrzał na niego z wyrazem pyska oznaczającym "Jestem bardzo dobrym psem, który zawsze robi dokładnie to, co mu się każe". Mimo że było to twierdzenie absolutnie

falszywe, często nabierali się nań nawet ci, którzy żyli w bliskim kontakcie z Hannibalem.

Tommy wniósł lampę do samochodu, mruczając pod nosem uwagi na temat jej ciężaru. Tuppence siadła za kierownicą i odjechała. Gdy zniknęła za rogiem, Tommy przypiął smycz do obroży Hannibala i ruszył w dół ulicy. Skręcił w drogę biegnącą do kościoła i spuścił psa ze smyczy, ponieważ jeździło wtedy niewiele samochodów. Hannibal przyjął przywilej do wiadomości, prychając i obwąchując kępki trawy zdobiące chodnik przy murze. Gdyby potrafił mówić ludzkim językiem, powiedziałby na pewno: "Wspaniały zapach! Nader bogaty! To był duży pies. Ten okropny owczarek alzacki, jak sądzę - warknął głucho. - Nie lubię owczarków. Jeśli spotkam tego, co mnie ugryzł, zaraz sam go chapnę. Ach! Coś pysznego. Miła mała suczka. Tak. tak. Chciałbym ją poznać. Ciekawe, czy mieszka niedaleko? Może w tym domu? Chciałbym wiedzieć".

- W tej chwili wylaż z bramy! - krzyknął Tommy. - Nie wchodź do domu, który nie należy do ciebie.

Hannibal udawał, że nie słyszy.

- Hannibal!

Hannibal podwoił prędkość i wpadł za róg domu z kuchennymi drzwiami.

- Hannibal! - zawołał Tommy. - Czy ty mnie słyszysz?

- Czy słyszę cię, panie? - spytał Hannibal. - Wołałeś mnie?

Jego uszu dobiegło ostre szczekanie z kuchni. Natychmiast wyskoczył na zewnątrz i wrócił do Tommy'ego. Szedł kilka cali za jego nogą.

- Dobry pies - powiedział Tommy.

- Prawda? - rzucił Hannibal. - Jeśli tylko potrzebujesz obrońcy, jestem tuż za tobą.

Dotarli do bocznej furtki cmentarza. Hannibal, który miał niezwykłą zdolność zmieniania swoich rozmiarów, kiedy tylko nie chciał wyglądać jak odrobinę za tłusty czworonóg o szerokim grzbiecie, potrafił wyciągnąć się w cienką czarną nitkę. Bez trudu przecisnął się przez kratę.

- Wracaj tu! - krzyknął Tommy. - Nie możesz wejść na cmentarz.

Odpowiedź Hannibala, jeśli by jakakolwiek padła, brzmiałaby: "Ale już wszedłem, panie". Gonił radośnie między grobami, jakby wypuszczono go w wyjątkowo przyjemnym ogrodzie.

- Ty wstrętny psie! - powiedział Tommy. Otworzył furtkę i ze smyczą w dłoni zaczął ścigać Hannibala. Pies dotarł do odległego rogu cmentarza i wszystko wskazywało na to, że próbuje przedostać się przez, lekko uchylone drzwi kościoła. Jednakże Tommy zdążył go dopaść i zapiął smycz. Hannibal spojrzał na niego z wyrazem pyska mówiącym, że to właśnie było jego celem. "Zakładasz mi smycz, co? Oczywiście. Wiem, że to oznaka prestiżu. Dowodzi, że jestem bardzo cennym okazem." Pomachał ogonem. Ponieważ nie było widać nikogo, kto mógłby sprzeciwić się temu, że pies chodzi ze swoim panem po cmentarzu, trzymany w dodatku na mocnej smyczy, Tommy ruszył w obchód, idąc być może po

wczorajszych śladach Tuppence.

Spojrzał na zniszczony kamienny nagrobek stojący z tyłu za bocznymi drzwiami kościoła. Pomyślał, że to pewnie jeden z najstarszych grobów. Było tam kilka podobnych, większość z datami z dziewiętnastego wieku, Na jeden patrzył najdłużej.

- Dziwne - mruknął. - Bardzo dziwne.

Hannibal zerknął w górę na swojego pana. Nie rozumiał jego słów. W nagrobku nie było nic ciekawego. Usiadł i utkwiał pytający wzrok w Tommym.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wyprzedaż

Tuppence odkryta z przyjemnym zdziwieniem, że mosiężna lampa, którą razem z Tommym potraktowali z taką niechęcią, została przyjęta nader ciepło.

- Jak miło z pani strony, pani Beresford, że przyniosła pani coś tak ładnego. Bardzo, bardzo interesująca lampa. Na pewno przywieźli ją państwo z jakiejś zagranicznej wycieczki?

- Tak. Kupiliśmy ją w Egipcie - odparta Tuppence.

Ponieważ od tamtej chwili minęło osiem lub dziesięć lat, nie była pewna, gdzie właściwie ją kupiła. Może w Damaszku, choć równie dobrze w Bagdadzie albo Teheranie. Uznała jednak, że Egipt - bardzo ostatnio modny - okaże się bardziej interesujący. Poza tym lampa wyglądała na egipską. Najwyraźniej, nawet jeśli przywiozła ją z innego kraju, pochodziła z okresu, kiedy wszędzie kopiowano egipskie starocie.

- Właściwie jest za duża do naszego domu, więc pomyślałam... - zaczęła.

- Powinniśmy wystawić ją na loterii - stwierdziła panna Little.

Panna Little dowodziła wyprzedażą. Jej miejscowe przezwisko brzmiało "Sonda", głównie dlatego, że była tak świetnie poinformowana o wszystkim, co działo się w parafii. Jej nazwisko wprowadzało w błąd. W rzeczywistości była olbrzymią kobietą o obfitych kształtach. Na imię miała Dorothy, ale zawsze nazywano ją Dotty.

- Mam nadzieję, że przyjdzie pani na wyprzedaż? - zapytała.

Tuppence zapewniła ją, że przyjdzie.

- Nie mogę doczekać się chwili, kiedy będę mogła coś kupić - zaczęła pogawędkę.

- Och, jak się cieszę, że tak to pani odbiera.

- Uważam, że to doskonała rzecz - ciągnęła Tuppence. - Mówię o idei wyprzedaży. Ponieważ naprawdę się sprawdza. To, co dla jednych jest rupieciem, dla drugich może okazać się bezcenną perłą.

- Och, muszę to powiedzieć pastorowi - zawołała pani Price-Ridley, kanciasta dama z mnóstwem zębów. Jestem pewna, że to go rozbawi.

- Na przykład ta miska z *papier-mache* - mówiła Tuppence, podnosząc w górę wspomniany skarb.

- Och, nie, naprawdę pani myśli, że ktoś to kupi?

- Sama to kupię, jeśli będzie tu jeszcze jutro, kiedy przyjdę - odparła Tuppence.

- Ale teraz w sklepach są takie ładne plastikowe miski!

Nie przepadam za plastikiem. Mają tu panie naprawdę dobrą miskę z *papier-mache*. Można do niej włożyć dużo rzeczy, na przykład z porcelany, i nie potłuką się. A tam widzę

staromodny otwieracz do puszek. Takich z głową byka nie można już dzisiaj znaleźć.

- Ale tak trudno go używać. Nie sądzi pani, że elektryczne otwieracze są o wiele lepsze?

Przez jakiś czas rozmowa dotyczyła podobnych tematów, a potem Tuppence zapytała, czy mogłaby w czymś pomóc.

- Och, droga pani Beresford, może ustawiłaby pani stoisko z osobliwościami. Na pewno ma pani zdolności artystyczne.

- Nie mam żadnych - odparła Tuppence - ale z przyjemnością się tym zajmę. Proszę mi tylko powiedzieć, jeśli zacznę coś robić źle - dodała.

- Tak miło mieć dodatkową pomoc. Bardzo się cieszymy, że panią poznaliśmy. Przypuszczam, że już zainstalowali się państwo w nowym domu?

- Sądziłam, że do tej pory zdążymy - odparła Tuppence - ale to chyba jeszcze potrwa. Mam tyle kłopotów z elektrykami, stolarzami i całą resztą. Bez przerwy wracają, by coś dokończyć.

Kilka osób włączyło się do dyskusji o elektrykach i fachowcach z gazowni.

- Ci z gazowni są najgorsi - stwierdziła twardo panna Little - ponieważ, musi pani wiedzieć, przyjeżdżają aż z Lower Stamford. A elektrycy tylko z Wellbank.

Temat zmieniło przybycie pastora, który nadszedł, by pozdrowić i zachęcić ochotników do dalszej pracy. Wyraził również, jak miło mu poznać nową parafiankę, panią Beresford.

- Wszystko o pani wiemy - powiedział. - Naprawdę. I o pani mężu. Przedwczoraj miałem nadzwyczaj interesującą rozmowę o was obojgu. Musieliście prowadzić ekscytujące życie. Oczywiście, nie powinno się o tym mówić, więc już milczę. Chodzi mi o ostatnią wojnę. Dokonała pani wraz z mężem wspaniałej rzeczy.

- Proszę nam o tym opowiedzieć, pastorze - poprosiła jedna z pań, odchodząc od stolika, na którym ustawiała słoiki z dżemem.

- Powiedziano mi o tym w zaufaniu - odparł pastor. - Chyba widziałem panią wczoraj na cmentarzu, pani Beresford.

- Tak - przyznała Tuppence. - Najpierw zajrzałam do kościoła. Znalazłam tam ze dwa bardzo piękne witraże.

- Tak, pochodzą aż z czternastego wieku. To znaczy te w północnej nawie. Pozostałe są przeważnie wiktoriańskie.

- Kiedy spacerowałam po cmentarzu, zauważyłam, że leży tam wielu Parkinsonów.

- Tak, rzeczywiście. W tej części kraju zawsze mieszkało ich wielu, choć osobiście nie znałem żadnego. Pani powinna ich pamiętać, pani Lupton.

Pani Lupton, starsza dama wspierająca się na dwóch laskach, wyglądała na zadowoloną.

- Tak - odparła - pamiętam jeszcze czasy, kiedy żyła pani Parkinson. To znaczy stara pani Parkinson, ta, która mieszkała w Manor House. Wspaniała z niej była staruszka. Naprawdę wspaniała.

- Zauważyłam też groby Somerów i Chattertonów.
- Widzę, że poznała pani naszą miejscową historię.
- I chyba słyszałam coś o kimś nazwiskiem Jordan. Annie albo Mary Jordan.

Tuppence rozejrzała się wokół z pytaniem w oczach. lecz nazwisko Jordan nie wywołało szczególnego zainteresowania.

- Czyjaś kucharka tak się nazywała. Chyba pani Blackwell. Wydaje mi się, że Susan Jordan. Mieszkała tu tylko przez pół roku. Nie była dobrą kucharką.

- Czy to było dawno temu?
- Och, nie. Jakies osiem, dziesięć lat. Nie więcej.
- A czy obecnie mieszkają tu jacyś Parkinsonowie?

- Nie. Wynieśli się wiele lat temu. Jeden z nich poślubił swoją kuzynkę i wyjechał, jak sądzę, do Kenii.

- Zastanawiam się - zaczęła Tuppence, kiedy udało jej się przyłączyć do pani Lupton, która miała coś wspólnego z miejscowym szpitalem pediatrycznym - zastanawiam się, czy nie chciałaby pani paru książek. Starych. Dostałam ich sporo razem z meblami, które kupiliśmy od poprzednich właścicieli.

- To bardzo miło z pani strony, pani Beresford. Oczywiście, mamy wiele bardzo dobrych książek z darowizn. Współczesne wydania. Przecież szkoda, żeby dzieci musiały czytać stare książki.

- Tak pani sądzi? - zdziwiła się Tuppence. - Ja kochałam książki, które dostałam w dzieciństwie. Niektóre należały jeszcze do mojej babki. Te lubiłam chyba najbardziej. Nigdy nie zapomnę *Wyspy skarbów*. *Farmy Czterech Wiatrów* pani Molesworth i niektórych powieści Stanleya Weymana.

Rozejrzała się wokół pytająco, a potem poddała się, spojrzała na zegarek, wykrzyknęła, jak zrobiło się późno i odeszła do samochodu.

Po powrocie wstawiła wóz do garażu i obeszła dom od frontu.

Drzwi były otwarte, więc weszła do środka. Z tylnych pomieszczeń wyłonił się Albert i powitał ją skinieniem głowy.

- Napije się pani herbaty? Na pewno jest pani zmęczona.

- Raczej nie - odparła Tuppence. - Piłam już herbatę. Poczęstowano mnie w Klubie. Mieli całkiem smaczne ciasto, ale okropne bułeczki.

- Trudno je upiec. Niemal tak jak paczki. Ach - westchnął - Amy smażyła pyszne paczki.

- Wiem. Nikt nic potrafił takich zrobić - powiedziała Tuppence.

Amy była żoną Alberta; zmarła przed paru laty. W opinii Tuppence robiła świetne ciasto z syropem, ale nigdy nic wychodziły jej smaczne paczki.

- Uważam, że paczki bardzo trudno usmażyć - powiedziała. - Mnie nigdy nie

wychodziły.

- To wymaga talentu.

- Gdzie jest pan Beresford? Wychodził?

- Nie, jest na górze. W tym pokoju, pani wie. Tym z książkami, jak go tam zwał. Na strychu.

- A cóż on tam robi? - spytała trochę zdziwiona Tuppence.

- Myślę, że ciągle przegląda książki. Pewnie je układa, żeby zakończyć porządku.

- Nadal wydaje mi się to dziwne - stwierdziła Tuppence. - Przecież przez te książki potraktował nas bardzo nieuprzejmie.

- Och. tacy właśnie są mężczyźni - powiedział Albert. - Lubią tylko poważną literaturę. Coś naukowego. w co mogą się dobrze wgryźć.

- Pójdę na górę i wyciągnę go stamtąd - zdecydowała Tuppence. - A gdzie Hannibal?

- Zapewne na górze, razem z panem.

Lecz Hannibal pojawił się w tej samej chwili. Rozszczękał się najpierw z wściekłością, jak przystało na dobrego psa obronnego, ale szybko zrozumiał, że to jego ukochana pani, a nie obcy, który przyszedł ukraść łyżeczki do herbaty albo napaść na jego państwa. Zbiegł ze schodów z wywieszonym różowym językiem, kręcąc całym ciałem i machając ogonem.

- A! Cieszysz się, że widzisz swoją mamę? - spytała Tuppence.

Hannibal odparł, że bardzo się cieszy. Skoczył na nią z taką siłą, że niemal zbił ją z nóg.

- Ostrożnie! - zawołała Tuppence. - Ostrożnie. Chyba nie chcesz mnie zabić?

Hannibal z miejsca wyjaśnił, że jedyną rzeczą, jakiej pragnie, jest zjeść ją, ponieważ tak bardzo ją kocha.

- Gdzie pan? Gdzie tatuś? Na górze?

Hannibal zrozumiał. Popędził na górę i odwracając łeb zaczął czekać, aż Tuppence do niego dołączy.

- Coś takiego! - wykrzyknęła Tuppence, kiedy oddychając szybciej stanęła w drzwiach biblioteki i zobaczyła Tommy'ego na drabince. Przeglądał książki.

- A cóż ty robisz? Przecież miałeś zabrać Hannibala na spacer.

- Byliśmy na spacerze - odparł Tommy. - Poszliśmy na cmentarz.

- Dlaczego, na Boga, zabrałeś Hannibala na cmentarz? Na pewno nie chcą tam psów.

- Był na smyczy. Zresztą i tak nie ja go zabrałem, a on mnie. Najwyraźniej cmentarz mu się spodobał.

- Mam nadzieję, że nie za bardzo - powiedziała Tuppence. - Znasz Hannibala. Łatwo nabiera nawyków. Jeśli przyzwyczai się do codziennego spaceru na cmentarz, będziemy mieli spory problem.

- Zachował się bardzo inteligentnie.

- Kiedy mówisz "inteligentnie", chodzi ci o to, że po prostu robił, co chciał.

Hannibal zwrócił łeb w jej stronę, podszedł i potarł nim o jej łydkę.

- Mówi, że jest bardzo mądrym psem - przetłumaczył Tommy. - Mądrzejszym niż, my.

- Co właściwie masz, na myśli? - spytała Tuppence.

- Dobrze się bawiłaś? - zmienił, temat Tommy.

- Nie nazwałabym tego aż tak. Wszyscy byli dla mnie mili i życzliwi i mam nadzieję, że szybko przestanę ich mylić. Z początku to bardzo trudne. Sam wiesz, jak bardzo ludzie są do siebie podobni, podobnie się ubierają i z początku nie pamiętasz, kto jest kim. Chyba, że poznasz kogoś wyjątkowo pięknego albo brzydkiego. A to nie zdarza się na wsi zbyt często.

- Mówiłem, że byliśmy z Hannibalem bardzo mądrzy.

- Myślałam, że tylko Hannibal?

Tommy wyciągnął rękę i zdjął z półki jakąś książkę.

- Porwany za młodu - przeczytał. - A tak, następny Stevenson. Ktoś go musiał bardzo lubić. *Czarna strzala, Porwany za młodu, Katriona* i jeszcze dwie. Wszystkie podarowała Alexandrowi Parkinsonowi ukochana babka lub hojna ciotka.

- No i co z tego? - spytała Tuppence.

- Znalazłem jego grób - odparł Tommy.

- Co takiego?

- Właściwie Hannibal go znalazł. Stoi w samym rogu cmentarza, obok bocznych drzwi do kościoła. Przypuszczam, że to wejście do salki parafialnej. Napis jest zatarty, a sam pomnik zaniedbany, ale to ten. Miał czternaście lat, kiedy umarł. Alexander Richard Parkinson. Hannibal węszył w pobliżu. Odciągnąłem go i udało mi się odcyfrować inskrypcję, mimo że była bardzo niewyraźna.

- Czternaście lat - powtórzyła Tuppence. - Biedny chłopiec.

- Tak - zgodził się Tommy. - To smutne i...

- Coś ci chodzi po głowie - stwierdziła Tuppence. - Ja nic nie rozumiem.

- Tylko się zastanawiałem. Chyba mnie zaraziłaś. To twoja największa wada. Kiedy coś cię zaciekawi, nie zajmujesz się tym samodzielnie, ale zmuszasz mnie, bym też się zainteresowałem.

- Nie bardzo wiem, o czym mówisz.

- Zastanawiałem się, czy mamy tu przypadek przyczyny i skutku.

- Co masz na myśli?

- Myślałem o Alexandrze Parkinsonie, który zadał sobie wiele trudu, choć bez wątplenia dobrze się przy tym bawił, by zaszyfrować w książce tajną wiadomość. "Mary Jordan nie zmarła naturalną śmiercią". Załóżmy, że to prawda. Przypuśćmy, że Mary Jordan, kimkolwiek była, nie zmarła z przyczyn naturalnych. Bo widzisz, może następną rzeczą, jaka się zdarzyła, była śmierć Alexandra Parkinsona?

- Nie mówisz przecież... chyba nie myślisz...?

- Każdy by się zdziwił - odparł Tommy. - Mnie to zupełnie zaskoczyło: czternaście lat. Nie było wzmianki o przyczynie śmierci. Pewnie nie pisze się takich rzeczy na nagrobku.

Tylko słowa: "W Twojej obecności znajdę radość". Coś w tym stylu. Może wiedział coś, co zagrażało komuś innemu. Tak więc... umarł.

- To znaczy, że został zamordowany? Masz zbyt bujną wyobraźnię.

- Ty to zaczęłaś. Wyobrażanie sobie albo zastanawianie się to mniej więcej to samo, prawda?

- Powinniśmy raczej się zastanawiać. Zresztą i tak nic nie odkryjemy. To stało się bardzo dawno temu - odparła Tuppence.

Popatrzyli na siebie.

- Mniej więcej wtedy, kiedy zajmowaliśmy się śledztwem w sprawie Jane Finn - powiedział Tommy.

Wymienili spojrzenia; myślami cofnęli się w przeszłość.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Problemy

O przeprowadzce najczęściej myśli się jak o przyjemnym zajęciu, przy którym będzie można dobrze się bawić. Rzeczywistość okazuje się jednak zupełnie inna, niż oczekiwano.

Trzeba odnowić, lub nawiązać kontakty z elektrykami, murarzami, stolarzami, malarzami, tapeciarzami, dostawcami lodówek, kuchenek, urządzeń elektrycznych, z tapicerami, producentami zasłon, ludźmi, którzy je wieszają, którzy kładą linoleum i dostarczają dywany. Na każdy dzień przypada nie tylko szereg wyznaczonych zadań, ale zazwyczaj od czterech do dwunastu dodatkowych wizyt - albo długo oczekiwanych, albo takich, o których zupełnie zapomniano.

Bywały też chwile, kiedy Tuppence z westchnieniem ulgi ogłaszała, że jakaś część prac została zakończona.

- Myślę, że nasza kuchnia jest już idealna - powiedziała. - Nie znalazłam jeszcze tylko odpowiedniego pojemnika na mąkę.

- A czy to takie ważne? - zapytał Tommy.

Raczej tak. Często kupuje się mąkę w trzyfuntowych torbach, które nie mieszczą się w typowych pojemnikach. Wszystkie są takie filigranowe! No wiesz, Jeden ma ładną różyczkę, inny słonecznik, ale nie zmieści się w nich więcej niż funt mąki. To bez sensu.

W przerwach Tuppence poruszała inną kwestię.

- Wawrzyny - powiedziała kiedyś. - Idiotyczna nazwa dla domu. Nie rozumiem, dlaczego nasz tak się nazywa. Przecież nie rosną tu żadne wawrzyny. Mogliby go nazwać Platan. Platan są takie ładne.

- Mówiono mi, że wcześniej nazywał się Long Scofield - wtrącił Tommy.

- Przecież to nic nie znaczy.

- Kto to był Scofield i kto wtedy mieszkał w tym domu?

- Chyba Waddingtonowie.

- Wszystko mi się myli - stwierdziła Tuppence. - Waddingtonowie, potem Jonesowie - to oni sprzedali nam dom. A wcześniej chyba Blackmorowie? I kiedyś tam Parkinsonowie. Całe mnóstwo Parkinsonów. Coraz częściej na nich natrafiam.

- Jak?

- Pewnie dlatego, że bez przerwy pytam - wyjaśniła Tuppence. - Gdybym dowiedziała się czegoś o Parkinsonach, byłoby łatwiej rozwiązać nasz... nasz problem.

- Dzisiaj na wszystko mówi się "problem". Myślisz o Mary Jordan?

- Właściwie nie tylko. Mamy problem z Parkinsonami, z Mary Jordan i na pewno

mnóstwo innych. Mary Jordan nie zmarła z przyczyn naturalnych. A następne zdanie brzmiało: "To było jedno z mis". Czy oznacza to kogoś z rodziny Parkinsonów, czy tylko kogoś mieszkającego w ich domu? Załóżmy, że było dwoje lub troje Parkinsonów, do tego dziadkowie i krewni o innych nazwiskach: ciotki, bratanice, siostrzeńcy, poza tym gospodyni i pokojówka, kucharka, może guwernantka... Jedno z nas oznacza wszystkich mieszkańców domu. W tamtych czasach w jednym domu mieszkało o wiele więcej osób niż dzisiaj. Cóż. Mary Jordan mogła być gospodynią, pokojówką, nawet kucharką. Dlaczego ktoś miałby pragnąć jej śmierci? To znaczy nie naturalnej śmierci? Chodzi mi o to, że ktoś musiał chcieć, żeby zmarła, w innym razie jej śmierć byłaby naturalna, prawda? - Po chwili dodała: - Idę dziś na kolejne spotkanie przy kawie.

- Ciągłe na nie chodzisz.

- To bardzo dobry sposób na poznanie naszych sąsiadów i mieszkańców wioski. W końcu nie jest ona zbyt wielka. A ludzie zawsze rozmawiają o swoich starych ciotkach i dawnych znajomych. Spróbuję zacząć od pani Griffin - jest najwyraźniej wybitną osobistością. Rządziła wszystkimi żelazną ręką. Sterroryzowała pastora, lekarza i chyba nawet rejonową pielęgniarkę, nie mówiąc o pozostałych.

- Czy pielęgniarka nie mogłaby ci pomóc?

- Nie sądzę. Nie żyje. To znaczy ta, która pracowała za czasów Parkinsonów już nie żyje, a nowa mieszka tu od niedawna. Nie interesuje się sprawami wioski. Chyba nawet nie znała żadnego Parkinsona.

- Chciałbym, bardzo chciałbym, żebyśmy mogli o nich zapomnieć - westchnął Tommy.

- Bo wtedy nie mielibyśmy problemu?

- O rany! Znowu problem.

- Zupełnie jak Beatrice.

- Co jak Beatrice?

- Ona tak mówi. Choć zaczęło się to od Elizabeth, pamiętasz, naszej poprzedniej służącej. Zawsze podchodziła do mnie ze słowami: "Och, proszę pani, czy możemy chwilkę porozmawiać? Widzi pani, mam problem". Potem Beatrice zaczęła przychodzić do nas w czwartki i musiała to podłapać. Ona też miała problemy. To tylko sposób mówienia - ale zawsze musi pojawić się problem.

- Dobrze - orzekł Tommy. - Możemy się do tego przyznać. Masz problem. Ja mam problem. Oboje mamy problemy.

Westchnął i wycofał się z pokoju.

Tuppence powoli schodziła po schodach, potrząsając głową. Hannibal podbiegł do niej kręcąc tułowiem i machając ogonem w nadziei na prezent.

- Nie, Hannibal - rzuciła Tuppence. - Byłeś już na spacerze. Dziś rano.

Hannibal oznajmił, że jego pani się myli i że wcale nie był na spacerze.

- Jesteś najgorszym kłamcą spośród psów - stwierdziła Tuppence. - Byłeś na spacerze z

tata.

Hannibal spróbował drugiego podejścia, usiłując swoim zachowaniem pokazać, że każdy pies szedłby na spacer po raz drugi, gdyby tylko miał właściciela, który potrafi dostrzec rzeczy w ich prawdziwym świetle. Wreszcie rozczarowany zbiegi po schodach i zaczął głośno szczekać i udawać, że zamierza dotkliwie ugryźć dziewczynę o potarganych włosach, która trzymała odkurzacza. Nie lubił odkurzacza i nie podobało mu się, że Tuppence tak długo rozmawia z Beatrice.

- Och, niech pani nie pozwoli, żeby mnie ugryzł - zawołała Beatrice.

- Nie ugryzie - odparła Tuppence. - Tylko udaje.

- Myślę, że kiedyś naprawdę to zrobi - powiedziała Beatrice. - Chciałabym porozmawiać z panią chwilę.

- Och - wyrwało się Tuppence. - Pewnie masz...

- Widzi pani, mam pewien problem.

- Tak myślałam. Jaki to problem? A przy okazji, znasz może rodzinę lub kogokolwiek, kto tu mieszkał, nazwiskiem Jordan?

- Jordan? Nie, właściwie nie. Oczywiście, byli Johnsonowie i... a tak, jeden konstabl nazywał się Johnson. I listonosz. George Johnson. Chodziłam z nim - zachichotała.

- Nie słyszałaś nigdy o Mary Jordan i jej śmierci?

Beatrice jedynie zdziwiła się i potrząsnęła przecząco głową. Wróciła do swoich własnych żalów.

- Ten mój problem, proszę pani...

- A tak, twój problem.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani, że radzę .się w takiej sprawie, ale znalazłam się w niezręcznej sytuacji i nie chciałabym...

- Spróbuj szybko wyjaśnić, o co ci chodzi - przerwała jej Tuppence. - Muszę wyjść na spotkanie.

- Ach, u pani Barber?

- Tak. A więc z czym masz problem?

- Chodzi o płaszcz. Spodobał mi się. Wisiał na wystawie u Simmondsa, więc poszłam go przymierzyć i bardzo mi pasował. Miał małą plamkę na samym dole, ale mnie to nie przeszkadzało. No i...

- Tak? - spytała Tuppence. - I co?

- No i pomyślałam, że pewnie dlatego jest taki tani. Więc go kupiłam. I wszystko było w porządku. Ale kiedy wróciłam do domu, znalazłam doczepioną do niego metkę, a tam zamiast trzy funty siedemdziesiąt pisało sześć funtów. Wie pani, ja nie chciałam oszukiwać, ale nie wiedziałam, co zrobić. Wróciłam do sklepu i zabrałam ze sobą płaszcz. Pomyślałam, że lepiej go oddam i wyjaśnię, że nie miałam zamiaru go zabierać.- A potem dziewczyna, która mi go sprzedała - to bardzo miła dziewczyna, ma na imię Gladys, tylko nie wiem, jak na nazwisko -

bardzo się zdenerwowała, a ja powiedziałam: "Nic nie szkodzi, dopłacę różnicę". A na to ona: "Nie, nie możesz tego zrobić, bo już go zaksięgowalam". Rozumie pani? Rozumie pani, o co mi chodzi?

- Tak, tak sędzę - odparła Tuppence.

- Więc ona mówi: "Nie możesz tego zrobić, będę miała kłopoty".

- Dlaczego miałyby mieć jakieś kłopoty?

- No, ja to samo czułam. Chciałam powiedzieć, że przecież, kupiłam go za mniej, ale odniosłam i nie rozumiem, dlaczego akurat ona miałyby mieć przez to jakieś kłopoty. A ona na to, że jeśli ktoś pomylił ceny, a właściciel tego nie zauważył, a jak ja kupiłam płaszcz za złą cenę, to mogli ją wylać.

- Nie zrobiliby tego - powiedziała Tuppence. - Postąpiłaś słusznie. Nie wiem, co jeszcze mogłabyś zrobić.

- No właśnie, proszę pani. Ale ona narobiła tyle zamieszania i zaczęła nawet płakać, że zabrałam płaszcz i teraz nie wiem. Czy oszukałam, czy nie. I co mam zrobić?

- Cóż, chyba jestem za stara na to, by wiedzieć, co robi się w takiej sytuacji w dzisiejszych czasach - stwierdziła Tuppence. W sklepach obowiązują dziwaczne zasady. Ceny są dziwne i wszystko wydaje się skomplikowane. Co zrobiłabym na twoim miejscu? Jeśli chcesz dopłacić, może dasz pieniądze tej dziewczynie, tej Gladys. Może je włożyć do kasy.

- Nie wiem, czy chciałabym to zrobić, bo widzi pani, ona może je zatrzymać dla siebie. A jeśli je zatrzyma, co wcale nie byłoby trudne, to byłoby tak, jakbym ja je ukradła, a przecież wcale ich nie ukradłam. To znaczy, wtedy Gladys by je ukradła. O rany.

- Tak, życie bywa trudne. Bardzo mi przykro, Beatrice, ale naprawdę uważam, że powinnaś sama na coś się zdecydować. Jeśli nic ufasz swojej przyjaciółce...

- Och, ona nie jest moja przyjaciółką. Tylko kupuję u niej. I miło się z nią rozmawia. Ale wie pani, ona nie jest moją prawdziwą przyjaciółką. Chyba miała jakieś problemy w poprzednim miejscu pracy. Mówiono, że zatrzymywała część pieniędzy ze sprzedanych towarów.

- W takim razie na twoim miejscu nic bym nie robiła - stwierdziła trochę zdesperowana Tuppence.

Jej głos zabrzmiał tak zdecydowanie, że do rozmowy włączył się Hannibal. Zaszczekał głośno na Beatrice i skoczył na odkurzacz, który uważał za jednego ze swoich głównych wrogów. "Nie ufam temu odkurzaczowi - powiedział. - Chciałbym go ugryźć".

- Och, bądź cicho. Hannibal. Przestań szczeleć. Nie gryź niczego ani nikogo - rzuciła Tuppence. - Okropnie się spóźnię.

Wybiegła z domu.

- Problemy - wymruczała, schodząc ze wzgórza i kierując się w stronę Orchard Road. Kiedy szła ulicą, zaczęła się zastanawiać, jak czyniła to już wcześniej. czy kiedykolwiek przy

którymś z domów rósł sad. Obecnie wydawało się to nieprawdopodobne.

Pani Barber powitała ją z ogromną przyjemnością. Podsunęła Tuppence przepysznie wyglądające eklery.

- Wspaniale - oceniła Tuppence. - Kupiła je pani u Betterby'ego?

Był to miejscowy sklep cukierniczy.

- Och, nie. Upiekła je moja ciotka. Jest cudowna, musi pani wiedzieć. Wspaniale piecze.

- Bardzo trudno zrobić eklery - zauważyła Tuppence.

- Mnie nigdy nie wychodzą.

- Trzeba mieć odpowiednią mąkę. To chyba cały sekret.

Obie panie popijały kawę i rozmawiały o trudach domowych wypieków.

- Pani Bolland wspominała o pani przedwczoraj.

- Tak? - zdziwiła się Tuppence. - Naprawdę? Pani Bolland?

- Mieszka koło prebendy. Jej rodzina osiadła tu dawno temu. Opowiadała, jak przyjeżdżała tu jako dziecko. Zawsze się cieszyła na przyjazd, bo, jak mówiła, w ogrodzie rósł pyszny agrest. I renklody. Dzisiaj już ich pani nie zobaczy - nie te prawdziwe. Są jakieś inne śliwy, ale w smaku ani trochę nie przypominają renklod.

Omówiły problem owoców, które nie smakowały już tak jak dawniej, to znaczy tak, jak zapamiętały z dzieciństwa.

- Mój stryjeczny dziadek miał renklody - powiedziała Tuppence.

- A tak. Czy to ten, który był kanonikiem w Anchester? Kiedyś mieszkał tam kanonik Henderson, razem ze swoją siostrą. To była bardzo smutna historia. Któregoś dnia jadła placek z makiem i jedno ziarenko dostało jej się nie tam, gdzie trzeba. Dławiła się i dławiła, i wreszcie od tego umarła. Takie to smutne, prawda? Bardzo przygnębiające. Moja kuzynka też zadławiła się na śmierć. Baraniną. To się może łatwo przytrafić. A niektórzy duszą się od czkawki, bo nie mogą przestać. Nie znają starej rymowanki - wyjaśniała pani Barber. - "Jeśli masz czkawkę, weź wody kapkę, bo kapka wody wyleczy twą czkawkę". Trzeba to powiedzieć wstrzymując oddech.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kolejne problemy

- Czy mogę zamienić z panią słówko, proszę pani?

- O mój Boże - westchnęła Tuppence. - Chyba nie kolejne problemy?

Wyszła z biblioteki i schodziła po schodach, otrzepując się z kurzu. Miała na sobie swój najlepszy kostium. Zamierzała założyć do niego kapelusz z piór i udać się na herbatkę, na którą zaprosiła ją znajoma poznana na wyprzedaży. Nie był to odpowiedni czas na wysłuchiwanie nowych problemów Beatrice.

- Nie, właściwie nie. To tylko coś, o czym chyba chciałaby pani wiedzieć.

- Och - mimo tego zapewnienia Tuppence nadal podejrzewała, że w grę wchodzi jakiś zakamuflowany problem. Zeszła ostrożnie na dół. - Trochę się śpieszę. Muszę wyjść do znajomej.

- To w związku z osobą, o którą pani pytała. Nabywała się Mary Jordan, prawda? Najpierw myślałyśmy, że może Mary Johnson. Wie pani, na poczcie pracowała Holinda Johnson, tyle że to było dawno temu.

- Tak - powiedziała Tuppence. - Był jeszcze policjant nazwiskiem Johnson, jak ktoś mi mówił.

- No więc ta moja przyjaciółka, Gwenda, pani wie, pracuje w sklepie. Po jednej stronie jest biuro poczty, a po drugiej sprzedają koperty i sprośne kartki, a przed Bożym Narodzeniem nawet porcelanę...

- Wiem - przerwała Tuppence. - Nazywa się "U pani Garrison" albo podobnie.

- Tak, ale teraz nie prowadzi go już żadna pani Garrison, tylko ktoś zupełnie inny. Ta moja koleżanka, Gwenda, pomyślała sobie, że pani chciałaby wiedzieć, że ona słyszała o jakiejś Mary Jordan, co to mieszkała tu bardzo dawno temu. Bardzo, bardzo dawno. Tu mieszkała, znaczy się w tym domu.

- Och, w Wawrzynach?

- Wtedy tak się nie nazywał. Coś słyszała o tej Mary, tak mówiła. I pomyślała, że panią to zainteresuje. Łączyła się z nią jakaś smutna historia, wypadek czy coś. No i zmarła.

- To znaczy, że w chwili śmierci mieszkała w tym domu? Czy należała do rodziny?

- Nie. Ta rodzina nazywała się chyba Parker. Było ich wielu, Parkerów albo Parkinsonów. Ona tu tylko mieszkała przez jakiś czas. Pewnie pani Griffin wie o niej. Zna pani panią Griffin?

- Słabo - odparta Tuppence. - Do niej właśnie wybieram się na herbatę. Przedwczoraj rozmawialiśmy na wyprzedaży. Nie spotkałam jej wcześniej.

- Jest bardzo stara. Starsza, niż wygląda, ale myślę, że ma bardzo dobrą pamięć. Zdaje się, że jeden z chłopców Parkinsonów był jej chrześniakiem.

- Jak miał na imię?

- Chyba Alec. Jakoś podobnie. Alec albo Alex.

- I co się z nim stało? Czy dorósł, wyjechał gdzieś, został żołnierzem albo marynarzem?

- Och, nie. Umarł. Tak, chyba pochowano go na naszym cmentarzu. To była jedna z tych chorób, o których wtedy niewiele wiedziano. Jej nazwa brzmiała tak jak czyjeś imię.

- Mówisz o chorobie czyjegoś imienia?

- Coś jak choroba Hodgkina. Nie, to było imię. Ja tam nie wiem, ale mówią, że krew zmienia kolor. Teraz ponoć wypuszcza się tą złą krew i podaje dobrą. Ale nawet wtedy zazwyczaj się umiera. Pani Billings, ta z cukierni, wie pani, miała córeczkę, która zmarła na to samo. A miała zaledwie siedem lat. Podobno przy tej chorobie umiera się młodo.

- Leukemia?

- O rany! Skąd pani wie? Tak, to na pewno to. Teraz mówią, że pewnego dnia znajdzie się na to lekarstwo. Tak jak dzisiaj mamy szczepionkę na tyfus.

- Cóż. to bardzo interesujące. Biedny chłopczyk.

- Och, on nie był już taki mały. Myślę, że chodził do szkoły. Musiał mieć trzynaście albo czternaście lat.

- Cóż - powtórzyła Tuppence - to bardzo smutna historia. - Umilkła, a po chwili zawołała: - Mój Boże, ależ się spóźni! Muszę pędzić..

- Jestem pewna, że pani Griffin może sporo opowiedzieć. Nie mówię o tym, co pamięta, ale wychowała wic tu od dziecka i wiele słyszała. Często opowiada o ludziach, którzy tu wcześniej mieszkali. Niektóre historie są skandaliczne. Wie pani, postępki niektórych ludzi. To było, oczywiście, w edwardiańskich, jak to mówią, albo wiktoriańskich czasach. Nie wiem dokładnie. Pani będzie wiedzieć. Myślę, że w wiktoriańskich, bo stara królowa jeszcze wtedy żyła. No więc w wiktoriańskich. Nazywają je czasami edwardiańskimi albo czasami "domu Marlborough". To jakieś wyższe sfery, prawda?

- Tak - przytaknęła Tuppence. - Wyższe sfery.

- I te ich postępki - dodała Beatrice z zapalem.

- Całe mnóstwo postępków - potwierdziła Tuppence.

- Młode dziewczęta zachowywały się niewłaściwie - ciągnęła Beatrice, niechętna rozstaniu z chlebodawczynią właśnie wtedy, gdy mogło paść jakieś interesujące stwierdzenie.

- Nie - powiedziała Tuppence. - Myślę, że ówczesne dziewczęta prowadziły bardzo spokojne i przyzwoite życie i młodo wychodziły za mąż, choć często za parów.

- O rany, jak fajnie. Pewnie miały mnóstwo ładnych ubrań, chodziły na wyścigi konne, tańce i bale.

- Tak - potwierdziła Tuppence. - Często chodziły na bale.

- Znałam kiedyś taką dziewczynę, jej babka była pokojówką w bardzo wytwornym

domu, wie pani. Przychodzili do nich goście, sam książę Walii, to znaczy ówczesny książę Walii, potem został Edwardem VII. Był bardzo sympatyczny. Miły dla służby. A kiedy ta babka odchodziła stamtąd, zabrała kostkę mydła, którym mył ręce, i zatrzymała na zawsze. Kiedyś pokazała ją nam, jak jeszcze byliśmy dziećmi.

- To musiało być ekscytujące - zauważyła Tuppence. - W ogóle tamte czasy wydają się pasjonujące. Może zatrzymał się w Wawrzynach?

- Nie, nigdy o tym nie słyszałam, a słyszałabym, gdyby tak było. Nie, tu mieszkali tylko Parkinsonowie. Żadnych hrabin ani markiz, żadnych lordów ani dam. Zdaje się, że Parkinsonowie zajmowali się handlem. Byli bardzo bogaci, ale przecież w handlu nie ma nic podniecającego, prawda?

- To zależy - odparła Tuppence, i dodała: - Chyba muszę już...

- Tak, powinna pani już iść.

- Tak. Cóż, bardzo ci dziękuję. Chyba nie powinnam zakładać od razu kapelusza. Mam okropnie rozczochrane włosy.

- Wsadziła pani głowę w ten róg, gdzie wisi pajęczyna. Zdejmę ją, żeby to się nie powtórzyło.

Tuppence zbiegła po schodach.

- Biegał tędy Alexander - powiedziała do siebie. - Wiele razy. I wiedział, że to było "jedno z nich". Zastanawia mnie to coraz bardziej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Pani Griffin

- Cieszę się, że tu zamieszkaliście - i pani, i pani mąż - powiedziała pani Griffin, nalewając herbatę. - Cukier? Mleko?

Podsunała talerz z kanapkami i Tuppence wzięła jedną.

- Na wsi to wielka różnica, jeśli ma się miłych sąsiadów, z którymi cos nas łączy. Czy znała pani wcześniej ten zakątek kraju?

- Nie - odparła Tuppence - wcale. Obejrzelismy wiele domów. Agenci biura nieruchomości przysyłali nam ulotki ze zdjęciami. Oczywiście, większość willi była okropna. Jedna nazywała się Urok Starego Świata.

- Wyobrażam sobie - przytaknęła pani Griffin. - Urok starego świata oznacza zwykle konieczność wymiany dachu i wilgoć. A "zmodernizowany" - cóż, dobrze to wiemy. Mnóstwo zupełnie niepotrzebnych urządzeń i odrażający budynek z okropnym widokiem. Ale Wawrzyny są ładne. Chociaż na pewno musieli państwo wiele zmienić, jak zresztą każdy w takim wypadku.

- Chyba mieszkało tam dużo różnych rodzin - zauważyła Tuppence.

- O tak. Dziś nikt nie osiada na długo w jednym miejscu, prawda? W Wawrzynach mieszkali Cuthbertsonowie, Redlandowie, a wcześniej Seymourowie. Po nich państwo Jones.

- Zastanawialiśmy się, dlaczego nazwano go Wawrzyny?

- Po prostu ludzie lubili nadawać podobne nazwy swoim domom. Oczywiście, jeśli cofnie się pani dostatecznie daleko w przeszłość, prawdopodobnie do czasów Parkinsonów, natrafi pani na wawrzyny. Rosły przy podjeździe, tuż za zakrętem. Zwyczajne i plamiste. Nigdy ich nie lubiłam.

- Ani ja - zgodziła się Tuppence. - Najwyraźniej mieszkała tu liczna rodzina Parkinsonów - dodała.

- O tak. I to dłużej niż ktokolwiek.

- Nikt nie jest w stanie powiedzieć mi o nich zbyt wiele.

- Cóż, musi pani zrozumieć, że to dawne czasy. A po... po tamtej historii ludzie uprzedzili się do nich i nie dziwię się, że Parkinsonowie sprzedali dom.

- Miał złą sławę? - podsunała Tuppence, wykorzystując okazję. - Uważano, że dom jest niezdrowy?

- Nie, nie chodziło o dom. Tak naprawdę poszło o jego mieszkańców. Oczywiście była ta... nieprzyjemna sprawa, podczas pierwszej wojny. Nikt nie mógł uwierzyć. Opowiadała mi o tym babka, wspominała, że miało to jakiś związek z tajemnicą wojskową, coś o nowej łodzi

podwodnej. U Parkinsonów mieszkała dziewczyna, która podobno była w to zamieszana.

- Czy nazywała się Mary Jordan?

- Tak, ma pani rację. Później mówiono, że to nie było jej prawdziwe nazwisko. Ktoś podejrzewał ją od jakiegoś czasu. Chyba chłopiec Parkinsonów, Alexander. Miły dzieciak. I całkiem bystry.

KSIEGA II

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dawno, dawno temu

Tuppence wybierała kartki urodzinowe. Przez całe popołudnie padało i na poczcie było pusto. Ludzie wrzucali listy do skrzynki na zewnątrz, a czasem w pośpiechu kupowali znaczki. Potem odchodzili, by jak najszybciej dotrzeć do domu. Nie przypominało to w niczym zwykłego, zatłoczonego klientami dnia. Tuppence uznała, że wybrała idealną porę.

Gwenda, którą łatwo rozpoznała z opisu Beatrice, ucieszyła się ogromnie, że może jej pomóc. Dziewczyna pracowała w handlowej części urzędu pocztowego. Nad sprawami rządowymi Królewskiej Poczty czuwała starsza, siwowłosa kobieta. Gadatliwa Gwenda, zawsze ciekawa nowoprzybyłych, spędzała szczęśliwie czas pośród kartek bożonarodzeniowych, urodzinowych, walentynek, śmiesznych pocztówek, notesów, papieru listowego, czekoladek i porcelany. Zdążyły się już zaprzyjaźnić z Tuppence.

- Tak się cieszę, że dom jest znowu otwarty. Mówię o Książęcym Dworku.

- Myślałam, że nazywa się Wawrzyny.

- Ależ skąd. Chyba nigdy się tak nie nazywał. Choć domy często zmieniają u nas nazwy. Ludzie lubią nazywać je po swojemu.

- Najwyraźniej - zgodziła się Tuppence z namysłem. - Nawet my zastanawialiśmy się nad zmianą. A przy okazji, Beatrice powiedziała mi, że znałaś kiedyś dziewczynę nazwiskiem Mary Jordan.

- Nie znałam jej, ale słyszałam o niej. To było w czasie wojny, nie tej ostatniej. Tej sprzed wielu lat, kiedy latały jeszcze zeppelin.

- Słyszałam o zeppelinach - zauważyła Tuppence.

- W tysiąc dziewięćset piętnastym albo szesnastym latały nad Londynem.

- Pamiętam, że pewnego dnia poszłam z cioteczną babką do sklepu wojskowego, kiedy zaczęły wyc syreny.

- Nadlatywały nocą, prawda? To musiało być przerażające.

- Właściwie nie - odparta Tuppence. - Ludzie bardzo się nimi ekscytowali. Sterówce nie były tak groźne jak bomby w czasie ostatniej wojny. Wydawało się, że wybuchną dokładnie tam, gdzie właśnie jesteś.

- Nocowało się wtedy w metrze, prawda? Miałam przyjaciółkę w Londynie. Wszystkie noce spędzała na stacji kolejki podziemnej. Chyba przy Warren Street. Każdy miał wyznaczoną własną stację.

- Nie byłam w Londynie podczas ostatniej wojny - powiedziała Tuppence. - Chyba nie chciałabym spędzać każdej nocy w metrze.

- A ta moja koleżanka, Jenny jej było, ona to dopiero uwielbiała metro. Mówiła, że to świetna zabawa. Bo wie pani, każdy miał swój własny schodek. Inni go trzymali dla pani, tam się spało, jadło kanapki. Wszyscy dobrze się bawili, dużo rozmawiali. To trwało przez całą noc, bez przerwy. Cudowne. Pociągi jeździły do samego rana. Mówiła mi, że nie mogła wytrzymać, kiedy wojna się skończyła i musiała wrócić do domu. To było takie nudne.

- W każdym razie, w tysiąc dziewięćset czternastym nie było bomb - zauważyła Tuppence. - Tylko zeppelin.

Dla Gwendy najwyraźniej przestały być interesujące.

- Pytałam cię o Mary Jordan - Tuppence powróciła do tematu. - Beatrice przekazała mi, że coś o niej wiesz.

- Właściwie nie, tylko ktoś wspominał przy mnie jej nazwisko, ale całe wieki temu. Miała piękne złote włosy, tak mówiła moja babka. Była Niemką, jedną z tych frołajns, jak je nazywano. Opiekowała się dziećmi, tak jak niania. Mieszkała u jakiejś wojskowej rodziny. Chyba gdzieś w Szkocji. Potem przyjechała tutaj. Pracowała u Parksów albo Perkinsów. Miała wolne raz w tygodniu i jeździła wtedy do Londynu. Tam zajmowała się tym, czym się zajmowała.

- To znaczy czym?

- Nie wiem. Nikt o tym wiele nie mówił. Pewnie sprzedawała ukradzione rzeczy.

- Czy przyłapano ją?

- Nie, raczej nie. Podejrzewano ją, ale ona rozchorowała się i zmarła.

- Na co? Umarła tutaj? Zapewne przewieziono ją do szpitala?

- Nie, wtedy chyba nie można było pojechać do szpitala. Nie istniała służba zdrowia. Ktoś mówił mi, że kucharka popełniła jakiś głupi błąd. Przyniosła do domu naparstnicę, którą wzięła za szpinak, a może za sałatę. To chyba nie był nikt spoza domu. Ktoś mi opowiadał, że chodziło o wilcze jagody, ale nawet na chwilę w to nie uwierzyłam, bo przecież każdy wie, że są trujące, no i w końcu to jagody. Tak, myślę, że przez pomyłkę przyniesiono naparstnicę. Naparstnica to digox albo digit-coś tam, to brzmi jak jakieś leśne zwierzę. Ma w sobie jakąś śmiertelną truciznę. Przyjechał lekarz i robił, co mógł, ale pewnie było za późno.

- Czy w domu było wiele osób, kiedy to się stało?

- Pewnie tak, bo tam zawsze zatrzymywało się sporo ludzi, tak słyszałam. Dzieci, goście zjeżdżający na weekend, piastunka, guwernantka i cała reszta. Niech pani pamięta, że nie widziałam tego sama. Wszystko opowiadała mi babka. A czasem stary pan Bodlicott coś powie. Wie pani, stary ogrodnik, który od czasu do czasu coś naprawia. Wtedy pracował w Wawrzynach i najpierw jego oskarżano, że przysłał do kuchni złe zioła, ale to nie on. To był ktoś z mieszkańców. Wyszedł do ogrodu, bo chciał pomóc; pozrywał jarzyny z ogródka i zaniósł kucharce. Wie pani, szpinak, sałatę i tak dalej. Pewnie nie wiedział wiele o roślinach. Na rozprawie powiedziano, zdaje się, że każdy mógł popełnić taki błąd, bo szpinak albo szczaw rosły obok digi... digita-coś tam. Pewnie wziął cały pęk jednego i drugiego, i to w jedną rękę.

To była smutna historia. Babka mówiła, że z Mary była bardzo ładna dziewczyna, z tymi włosami jak złoto i całą resztą.

- Co tydzień jeździła do Londynu? Oczywiście musiała mieć cały dzień wolny?

- Tak. Podobno miała tam przyjaciół. Nie była Angielką. Babcia mówiła, że ktoś powiedział, że była niemieckim szpiegiem.

- A była?

- Nie sądzę. Panowie ją lubili. No wie pani, oficerowie ze statku i ci z wojskowego obozu w Shelton. Miała tam ze dwóch przyjaciół. To był obóz wojskowy.

- Czy naprawdę była szpiegiem?

- Ja tak nie myślę. Babcia mówiła, że ludzie ją podejrzewali. To nie działo się w czasie ostatniej wojny, ale całe wieki wcześniej.

- Śmieszne, jak łatwo obie wojny się mylą - zauważyła Tuppence. - Znałam pewnego staruszka, którego przyjaciel walczył pod Waterloo.

- No nie. Całe lata przed tysiąc dziewięćset czteremastym. Wtedy ludzie często zatrudniali obce piastunki, madmoiselly i frollajny. Tak mówiła mi babcia. A tę dziewczynę każdy lubił, wszystkim się podobała.

- Mieszkała wtedy tutaj, w Wawrzynach?

- Dom nazywał się inaczej, tak mi się w każdym razie zdaje. Mieszkała u Parkinsonów albo Perkinsów. Dzisiaj takie dziewczyny nazywa się opiekunkami do dzieci. Pochodziła z tego samego miejsca, co paszteciki, wie pani, można je kupić u Fortnuma & Masona. Drogie paszteciki na przyjęcia. Ktoś mi mówił, że to takie miasto - w połowie francuskie, a w połowie niemieckie.

- Strasburg? - podsunęła Tuppence.

- Tak, właśnie tak. Malowała obrazki. Zrobiła portret mojej ciotecznej babki. Ciotka Farny mówiła, że bardzo ją postarzał. I namalowała jednego z chłopców Parkinsonów. Ma go jeszcze pani Griffin. Myślę, że ten chłopak coś odkrył, ten, któremu namalowała portret, znaczy się. Chyba był chrześniakiem pani Griffin.

- Czy może chodzi ci o Alexandra Parkinsona?

- Tak, to ten. Pochowano go koło kościoła.

ROZDZIAŁ DRUGI

Poznajemy Matyldę, Ukochanego i KK

Następnego ranka Tuppence wyruszyła na poszukiwanie dobrze znanej w wiosce osobistości, zwanej zwykle starym Izaakiem lub, przy bardziej formalnych okazjach, panem Bodlicott - o ile ktokolwiek pamiętał jego nazwisko. Izaak Bodlicott należał do lokalnych "znakomitości". Był sławny z powodu wieku - twierdził, że ma dziewięćdziesiąt lat (w co nikt nie wierzył) i ponieważ potrafił naprawić niemal wszystko. Jeśli próba dodzwonienia się do hydraulika spełzała na niczym, szło się do starego Izaaka. Pan Bodlicott, choć nie miał odpowiednich kwalifikacji, przez długie lata swojego życia dobrze zaznajomił się z każdym problemem kanalizacyjnym: wannami, piecami gazowymi i, przy okazji, z różnorodnymi niesprawnymi urządzeniami elektrycznymi. Pod względem finansowym jego usługi przedstawiały się korzystnie w porównaniu z wykwalifikowanym hydraulikiem, a dokonywane naprawy często były zaskakująco udane. Zajmował się stolarką, zamkami, wieszał obrazy (choć czasem dość krzywo), znał się na sprężynach starych foteli. Główną wadą jego usług była gadatliwość. Swoje przemowy przerywał jedynie po to, by poprawić sztuczną szczękę tak, by jego wymowa na powrót stała się zrozumiała. Jego wspomnienia dotyczące dawnych mieszkańców okolicy wydawały się nie mieć kresu. W sumie jednak trudno było odkryć, na ile można mu wierzyć. Pan Bodlicott nie należał do ludzi, którzy cofnęliby się przed przyjemnością, jaką daje powtarzanie niektórych naprawę dobrych historyjek sprzed lat. Te porywy wyobraźni, przedstawiane jako własne wspomnienia, zaczynał zwykle tym samym wstępem.

- Zdziwiłaby się pani, i to mocno, gdybym opowiedział, co wiem. Naprawdę. Wszyscy myśleli, że znają prawdę, ale mylili się. Kompletnie się mylili. To była starsza siostra. Naprawdę. A wyglądała na taką miłą dziewczynę. Na ślad naprowadził ich pies rzeźnika. Pobiegł za nią do domu. To nie był jej własny dom. Jak można by pomyśleć. Ech, ja mógłbym sporo o tym opowiedzieć. No a stara pani Atkins? Nikt nie wiedział, że trzymała w domu rewolwer - oprócz mnie. Dowiedziałem się, kiedy wezwała mnie, żebym naprawił jej komodę. Tak nazywa się te wielkie skrzynie, nie? No właśnie. Komody. Zgadza się. Ona miała siedemdziesiąt pięć lat, a w szufladzie, znaczy się w szufladzie komody, do której mnie wezwała, leżał rewolwer. Zawinięty w płócienne pantofle. Rozmiar numer trzy. Chociaż może dwa. Z białego atlasu. Na małej stopę. Mówiła, że to ślubne pantofle jej prababki. Może. Ale gdzieś słyszałem, że kupiła je w sklepie z osobliwościami, choć ja tego nie widziałem. I zawinęła w nie broń. Tak. Mówiono, że przywiózł go jej syn. Ze Wschodniej Afryki. Wyjechał tam polować na słonie. A kiedy wrócił do domu, przywiózł ze sobą ten rewolwer. I wie pani, co

ta staruszka robiła? Syn nauczył ją strzelać. Siadała przy oknie w saloniku i kiedy na podjeździe pojawiali się jacyś ludzie, strzelała do nich, celując po obu stronach nieszczęśnika. Tak. Każdy bał się śmiertelnie i zwiewał. Mówiła, że nie pozwoli, aby ludzie przychodzili ot, tak i straszili ptaki. Bardzo je lubiła. Niech pani weźmie pod uwagę, że nigdy nie strzeliła do ptaka. Tego by nie zrobiła. No a historia z panią Letherby? Prawie ją przyłapali. Tak, kradła towary ze sklepu. Była bardzo sprytna, jak mówiono. I jeszcze bogatsza, niż przypuszczano.

Namówiwszy pana Bodlicotta, by wymienił szybę w świetliku w łazience, Tuppence zastanawiała się, jak skierować jego przemowę na wspomnienia z przeszłości przydatne jej i Tommy'emu w odkryciu tajemniczego schowka ze skarbami lub interesującego sekretu, o którym nie mieli jeszcze pojęcia.

Stary Izaak nie miał nic przeciwko wykonywaniu napraw dla nowych lokatorów. Jedną z głównych przyjemności w jego życiu było poznawanie tylu nowych mieszkańców wioski, ile tylko można. Nic lada wydarzeniem było dla niego spotkanie ludzi, którzy jeszcze nie słyszeli o jego wspaniałej pamięci i intrygujących wspomnieniach. Ci, którzy go znali, nieczęsto zachęcali go do powtarzania opowieści. Ale nowa publiczność! To było zawsze mile wydarzenie. Podobnie jak pokazywanie, ilu łachów nabył, wykonując rozliczne usługi dla miejscowej społeczności. Nie odmawiał sobie komentarza.

- To szczęście, że stary Joe się nie zaciął. Mógł sobie rozkwasić twarz.

- Rzeczywiście.

- Na podłodze leży jeszcze trochę szkła.

- Wiem - odparła Tuppence. - Nie mieliśmy czasu posprzątać.

- No, ale ze szkłem nie można ryzykować. Wie pani, co to szkło. Mały odłamek może wyrządzić wiele krzywdy. Można nawet umrzeć, jeśli dostanie się do żył. Pamiętam pannę Lavinie Shotacomb. Nie uwierzyłaby pani...

Tuppence nie dała się skusić na historię panny Lavinii. Wspominali jej o tym inni mieszkańcy wioski. Najwyraźniej miała siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt lat, była głucha i niemal całkiem ślepa.

- Przypuszczam - wtrąciła się, zanim Izaak zaczął wspominać Lavinie Shotacomb - że zna pan wielu ludzi i mnóstwo historii, które wydarzyły się tu w przeszłości.

- No, nie jestem już tak młody jak dawniej. Mam ponad osiemdziesiąt pięć lat. Dobijam do dziewięćdziesiątki. Zawsze miałem dobrą pamięć. Wie pani, pewnych rzeczy się nie zapomina. Nie ważne, jak dawno to było, coś pani przypomni całą sprawę i wszystko wraca. Nie uwierzyłaby pani, co mógłbym opowiedzieć.

- To naprawdę cudowne pomyśleć, ile pan musi wiedzieć o różnych ludziach.

- Z ludźmi nigdy nic nie wiadomo. Na przykład wcale nie są tymi, za których się podają. W pewne rzeczy wprost nie można uwierzyć.

- Na przykład w to, że są szpiegami - podsunęła Tuppence - albo kryminalistami.

Zerknęła na niego z nadzieją... Stary Izaak schylił się i podniósł odłamek szkła.

- No proszę - powiedział. - Jakby się pani czuła, gdyby to wbiło się pani w stopę?

Tuppence nabierała przekonania, że naprawa świetlika nie skłoni starego Izaaka do żadnych ekscytujących wspomnień. Zauważyła, że tak zwana oranżeria przy ścianie domu obok okna jadalni również wymaga nowego oszklenia. Czy warto ją naprawiać, czy lepiej rozebrać? Izaak z przyjemnością zajął się nowym problemem. Zeszli na dół i obeszlili dom, aż dotarli do wspomnianej budowli.

- A, o to pani chodzi?

Tuppence odparła, że właśnie o to.

- Ka-Ka - rzucił Izaak.

Tuppence spojrzała na niego. Dwie litery takie jak KK nic dla niej nie znaczyły.

- Co pan powiedział? - KK. Tak nazywano oranżerię za czasów pani Lottie Jones.

- Dlaczego ją tak nazwała?

- Nie wiem. Takie nazwy nadawano, tak sobie myślę, w tamtych czasach. Ta oranżeria jest malutka, nie to, co przy większych domach. Tam w doniczkach hodowali paprocie.

- Tak - potwierdziła Tuppence; sama pamiętała podobne oranżerie.

- I zasługiwały na swoją nazwę. Ale to tutaj stara pani Lottie nazywała KK. Nie wiem, czemu.

- Rosły tu paprocie?

- Nie, nie hodowano tu roślin. Dzieci trzymały tu zabawki. A jeśli o nich mowa, pewnie stoją tu dalej, jeśli nikt ich nie wyrzucił. Budynek niemal się rozpadł. prawda? Podreperowano trochę ściany, podłatano dach, ale chyba nikt go nie będzie używał. Przynosili tu popsute zabawki, połamane krzesła i tak dalej. A w rogu od dawna stał koń na biegunach i Ukochany.

- Możemy wejść do środka? - spytała Tuppence, próbując dojrzeć coś przez zabrudzone okno. - Musi tam być sporo dziwnych przedmiotów.

- Jest klucz - odparł Izaak. - Pewnie wisi w tym samym miejscu.

- To znaczy gdzie?

- W szopie za rogiem.

Poszli biegnącą obok ścieżką. Szopa ledwo zasługiwała na swoje miano. Izaak kopnięciem otworzył drzwi. usunął stos gałęzi, kopnął kilka gnijących jabłek, odsunął wiszącą na ścianie matę, odsłaniając trzy lub cztery zawieszony na gwoździu zardzewiałe klucze.

- To klucze Lindopa - wyjaśnił. - To byt przedostatni ogrodnik, jaki tu mieszkał. Wcześniej wyplatał kosze. Nie było z niego pożytku.. Chce pani wejść do KK?

- O tak - odparła z nadzieją Tuppence. - Bardzo. Jak to się pisze? To znaczy KK? Czy to po prostu dwie litery?

- Nie, raczej nie. To chyba obce słowo. Wydaje mi się, że KAI i jeszcze raz KAI Albo Kay-Kay, a może nawet Key-key. To chyba po japońsku.

- Mieszkali tu jacyś Japończycy?

- Nie, nie. Skąd. Obcokrajowcy, ale nie aż Japończycy.

Izaak przetał odrobiną oleju najbardziej zardzewiały z kluczy, co najwyraźniej poskutkowało, włożył go do zamka i przekręcił ze zgrzytem, a potem pchnięciem otworzył drzwi. Tuppence weszła do środka zaraz za swoim przewodnikiem.

- No i proszę - rzucił Izaak, nie okazując żadnej dumy z tego. co było w środku. - Same stare śmieci, nie?

- Ten koń wygląda wspaniale - zauważyła Tuppence.

- To Mackild - wyjaśnił Izaak.

- Słucham? - spytała z wahaniem Tuppence.

- To imię żeńskie. Jakiejś królowej. Ktoś mówił mi, że była żoną Wilhelma Zdobywcy, ale chyba się tylko wymądrzał. Koń jest z Ameryki. Jakiś Amerykanin przywiózł go swojemu chrześniakowi.

- Chrześniakowi?

- Jednemu z młodych Bassingtonów. Mieszkali tu dawno temu. Zresztą nie wiem. Pewnie zżarły go korniki.

Matylda była wspaniale wyglądającym koniem, nawet teraz. Miała rozmiary prawdziwego konia lub klaczy. Z tego, co niegdyś musiało być wspaniałą grzywą, zostało tylko kilka włosków. Jedno ucho było ułamane. Kiedyś pomalowano ją na szary kolor. Przednie nogi popękały, podobnie jak tylne. Ogon zwiotczał.

- Nie porusza się tak jak konie, które widziałam wcześniej - stwierdziła Tuppence.

- Prawda? Zwykle kołyszą się do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu. Ale ten tutaj jakby skakał w przód. Najpierw przednie nogi - hop! Potem tylne. Dobrze to działa. Gdybym wsiadł na niego i pokazał pani...

- Proszę uważać. Może pan nadzieć się na gwóźdź albo spaść.

- E tam. Jeździłem na Matyldzie jakieś pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt lat temu, ale jeszcze to pamiętam. Nawet dzisiaj jest całkiem solidna. Wcale nie rozpada się ze starości.

. Nagłym, niemal akrobatycznym ruchem wskoczył na konia, a ten ruszył najpierw w przód, a potem w tył.

- Dobrze się kołysze, nie?

- Tak, bardzo dobrze - odparła Tuppence.

- Oni to uwielbiali. Panna Jenny jeździła na niej dzień w dzień.

- Kim była panna Jenny?

- Była z nich najstarsza. I to jej ojciec chrzestny przysłał konia. Oraz Ukochanego - dodał.

Tuppence spojrzała na niego pytająco. Nazwa nie pasowała to żadnej z rzeczy znajdujących się w Kay-Kay.

- No wie pani, tak się nazywa ta zabawka. Konik i wóz, o tam, w rogu. Panna Pamela zjeżdżała w nim ze wzgórza. Bardzo poważna z niej była pannica. Wciągała go na górkę, nogi stawiała o, tutaj, na pedałach, teraz już nie działają, tak więc wciągała go na pagórek, a potem

zjeżdżała w dół i wciskała stopami hamulce. Często kończyła w araukarii.

- Musiało to być dosyć bolesne - zauważyła Tuppence.

- Potrafiła zatrzymać wóz chwilę przedtem. Poważnie do tego podchodziła. Robiła to godzinami - sam obserwowałem ją przez trzy, cztery godziny z rzędu. Często przycinałem kłomby różane i trawę i widziałem, jak zjeżdża. Nie rozmawiałem z nią, bo tego nie lubiła. Wołała zajmować się tym, co robiła albo myślała, że robi.

- A co myślała? - zapytała Tuppence, nagle bardziej zainteresowana panną Pamelą niż Jenny.

- Nie wiem. Czasem mówiła, że jest księżniczką i ucieka, albo że jest Marią królową... nie pamiętam, Irlandii czy Szkocji?

- Królową Szkotów - podpowiedziała Tuppence.

- Zgadza się. Wyjeżdżała albo uciekała. Jechała do zamku. Nad jakimś jeziorem. To nie było prawdziwe jezioro, tylko stawek.

- Rozumiem. Więc Pamela uważała, że jest Marią królową Szkotów i ucieka przed swoimi wrogami?

- Zgadza się. Chciała wyjechać do Anglii i zdać się na miłosierdzie królowej Elżbiety - tak mówiła, ale według mnie ta królowa Elżbieta nie była zbyt miłosierna.

- Cóż - zaczęła Tuppence, maskując odczuwane rozczarowanie - bardzo to wszystko interesujące. A kim byli jej rodzice?

- Nazywali się Listerowie.

- A znał pan może Mary Jordan?

- Wiem. o kim pani mówi. Nie, ona mieszkała tu przede mną. Chodzi pani o tego niemieckiego szpiega?

- Chyba wszyscy tu o niej słyszeli - powiedziała Tuppence.

- Tak. Mówili na nią frołajn. Brzmi trochę jak wrona.

- Tak, trochę tak.

Izaak roześmiał się raptem.

- Cha, cha. cha. Gdyby to była wrona, to nie zaleciała daleko, prawda? - Znowu się zaśmiał.

- Wspaniały żart - powiedziała uprzejmie Tuppence.

Izaak jeszcze chichotał.

- Chyba już czas, żeby pomyślała pani o posadzeniu jakichś warzyw - powiedział w końcu. - Jeśli chce pani mieć fasolę o czasie, powinna pani już ją wysiać. A może i wczesną sałatę? Na przykład tomcia palucha? To wspaniała sałata, mała, ale krucha.

- Zrobił pan wiele dla tego ogrodu. Nie tylko zresztą w tym domu.

- A tak, sporo się pracowało. Dawniej przychodziłem do większości domów. Ogrodnicy, jakich tam mieli, byli do niczego i ja zazwyczaj przychodziłem pomóc. Zdarzył się tu kiedyś wypadek. Ktoś pomylił warzywa. Zanim ja tu nastąpiłem, ale słyszałem co nieco.

- To była napastrnica, prawda? - spytała Tuppence.

- Dziwne, że już pani o tym słyszała. To było dawno temu. Kilka osób się rozchorowało. Jedna zmarła. Tak przynajmniej słyszałem. Taka tam plotka. Opowiadał mi stary znajomy.

- To była, zdaje się, frołajn.

- Co, frołajn zmarła? O tym nie słyszałem.

- Może się mylę. Mógłby pan wziąć Ukochanego, czy jak ta zabawka się nazywa i wciągnąć na wzgórze. tam, gdzie ta dziewczynka, Pamela, ją wciągała? Oczywiście, jeśli górka nadal istnieje.

- Jasne, że istnieje. Co pani sobie myśli? Dalej rośnie tam trawa, ale trzeba uważać. Nie wiem, czy Ukochany nie zardzewiał. Najpierw go trochę podczyszczę, dobrze?

- Dobrze - zgodziła się Tuppence. - A potem proszę pomyśleć nad listą warzyw, za które powinniśmy się zabrać.

- Dopilnuję, żeby nie posadziła pani napastrnicy i szpinaku obok siebie. Nie chciałbym dowiedzieć się, że stało się pani coś złego zaraz potem, jak się wprowadziliście do nowego domu. Będzie z niego miłe miejsce, jeśli tylko włożycie trochę grosza.

- Bardzo dziękuję - powiedziała Tuppence.

- I zajmę się tym tam Ukochanym, żeby nie złamał się pod panią. Jest bardzo stary, ale zdziwiłaby się pani, jak dobrze takie starocie się sprawują. Na przykład dwa dni temu spotkałem kuzyna. Wyciągnął stary motor. Nie uwierzyłaby pani, że ruszy; nikt nie jeździł nim od jakichś czterdziestu lat. Ale zaskoczył na kropli oleju. Kropelka smaru może działać cuda.

ROZDZIAŁ TRZECI

Sześć niemożliwych rzeczy przed śniadaniem

- Co u licha! - wykrzyknął Tommy.

Przywykł, że wróciwszy do domu znajduje Tuppence w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, lecz tym razem był bardziej zaskoczony niż zwykle.

Nie było jej nigdzie, choć na dworze popadywał deszcz. Przyszło mu do głowy, że może pochłonęła ją praca w jakimś zakątku ogrodu, więc wyszedł to sprawdzić. I wtedy właśnie zawołał: "Co u licha!".

- Cześć, Tommy - powiedziała Tuppence. - Jesteś ciut wcześniej niż myślałam.

- Co to jest?

- Pytasz o Ukochanego?

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałam "Ukochany" - powtórzyła Tuppence. - Tak się to nazywa.

- Chcesz się tym przejechać? Dla ciebie jest o wiele za mały.

- Oczywiście, że jest za mały. To dziecięca zabawka. Dostawało się ją jeszcze przed trójkołowym rowerkiem.

- Nie jeździ sam, prawda?

- Niezupełnie - odparła Tuppence. - Ale można go wciągnąć na górkę. Kola obracają się i zjeżdża się w dół.

- A kończy się to kraksą. Tym się zajmowałaś?

- Wcale nie. Hamuje się nogami. Chcesz, żebym ci to pokazała?

- Lepiej nie - odparł Tommy. - Pada coraz mocniej. Chciałem tylko wiedzieć, po co... po co to robisz. Bo przecież nie może cię to bawić?

- Raczej mnie przeraża. Ale chciałam coś sprawdzić...

- A sprawdziłaś te krzewy? Właściwie co to jest? Araukaria?

- Tak - przytaknęła Tuppence. - Jaki ty jesteś mądry.

- To oczywiście. I znam nawet ich drugą nazwę.

- Ja też. Popatrzeli na siebie.

- Tylko w tej chwili zapomniałem - zaczął Tommy. - To jest arti...

- Mniej więcej - powiedziała Tuppence. - Wystarczy nam jedna nazwa, prawda?

- Co robisz w tych cierniach?

- No cóż, to dlatego, że kiedy zjedziesz z górki do końca, to znaczy nie zahamujesz wcześniej, lądujesz w arti...

- Mówisz o arti... Chyba w urticarii? Nie, to pokrzywy. No cóż, każdy może bawić się,

jak chce - zakończył Tommy.

- Prowadziłam tylko małe śledztwo w sprawie naszego ostatniego problemu.

- Twojego czy mojego?

- Nie wiem - odparła Tuppence. - Chyba obu.

- Ale nie w sprawie problemu Beatrice?

- Och, nie. Zastanawiałam się, co jeszcze może być ukryte w tym domu, więc poszłam obejrzeć zabawki, które poskładano w starej oranżerii chyba całe lata temu. Tam znalazłam to dziwactwo i Matyldę, to znaczy konia na biegunach z dziurą w brzuchu.

- Z dziurą w brzuchu?

- No tak. To był taki skład rupieci. Bawiły się w nim dzieci. Znalazłam też stopy starych liści, brudne kartki, szmatki do kurzu i sporo zatłuszczonej flaneli. Pewnie używano jej do czyszczenia zabawek.

- Chodź, wracamy do domu - zarządził Tommy.

- Wiesz, Tommy - powiedziała Tuppence, kiedy wyciągnęła stopy przy ogniu, który rozpałała w kominku przed powrotem męża - czas już, żebyś powiedział, czym sam się zajmowałeś. Pojechałeś do galerii hotelu Ritz, żeby obejrzeć wystawę?

- Nie. Nie miałem czasu.

- Jak to nie miałeś czasu? Myślałam, że po to właśnie pojechałeś?

- Nie zawsze robi się to, po co się przyjechało.

- Musiałeś przecież gdzieś pójść i coś zrobić?

- Znalazłem nowe miejsce do parkowania samochodu.

- To się zawsze przyda - oceniła Tuppence. - Gdzie?

- Koło Hounslow.

- Po co, u licha, pojechałeś do Hounslow?

- Właściwie nie tam pojechałem. Tam jest parking samochodowy i stacja metra.

- Pojechałeś do Londynu?

- Tak. Wydawało się, że to najprostszy sposób.

- Wyglądasz, jakbyś czuł się winny - zauważyła Tuppence. - Nie powiesz mi chyba, że w Hounslow mieszka moja rywalka?

- Nie - odparł Tommy. - Powinno ucieszyć cię to, co zrobiłem.

- Och. Czyżbyś kupił mi prezent?

- Nie, nie. Niestety. Właściwie nigdy nie wiem, co ci kupić.

- Czasami udaje ci się bardzo dobrze zgadnąć - powiedziała z nadzieją Tuppence. - Co naprawdę robiłeś, Tommy, i dlaczego mam się z tego cieszyć?

- Bo ja też prowadziłem śledztwo.

- Dziś każdy to robi - stwierdziła Tuppence. - Wszystkie nastolatki, siostrzeńcy, kuzyni, dzieci znajomych - wszyscy prowadzą jakieś śledztwo. Nie wiem dokładnie, co śledzą, ale później już nigdy tego nie robią. Mają swoje dochodzenie, świetnie się przy tym bawią i bardzo

są z siebie zadowoleni, a potem... właściwie nie wiem. czym zajmują się potem.

- Betty, nasza adoptowana córka, wyjechała do Wschodniej Afryki - przypomniał jej Tommy. - Miałaś od niej jakieś wieści?

- Tak, bardzo jej się tam podoba. Uwielbia wtykać nos w sprawy afrykańskich rodzin i pisać o tym artykuły.

- Myślisz, że te rodziny doceniają jej zainteresowanie? - spytał Tommy.

- Raczej nie. Pamiętam, że w parafii mojego ojca nikt nie lubił gości z okręgu. Nazywano ich Wścibskimi Facetami.

- Coś w tym jest. Właśnie takie trudności napotkałem zajmując się tym, czym próbowałem się zająć.

- Dochodzeniem w sprawie...? Mam nadzieję, że nie kosiarek do trawy?

- Nie wiem, dlaczego akurat o nich wspominasz.

- Bo zawsze oglądasz katalogi z kosiarkami - odparła Tuppence. - Marzysz o tym. żeby kupić kosiarkę.

- W tym domu zajmujemy się dochodzeniem historycznym: zbrodnią i wydarzeniami, które miały miejsce co najmniej sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt lat temu.

- No dobrze. Powiedz mi coś więcej o swoich badaniach.

- Pojechałem do Londynu - zaczął Tommy - i uruchomiłem parę spraw.

- Tak? Uruchomiłeś śledztwo? W pewnym sensie robiłam to samo, choć moje metody są inne. I zajmuję się o wiele dawniejszą przeszłością.

- To znaczy, że naprawdę zainteresowałaś się Mary Jordan? Więc to mamy teraz w programie. Sprawa nabrała kształtu, prawda? Tajemnica lub problem Mary Jordan.

- Miała takie zwyczajne nazwisko. Nie mogło być jej prawdziwym, jeśli pochodziła z Niemiec - zauważyła Tuppence. - A mówiono, że była niemieckim szpiegiem. Oczywiście, mogła urodzić się w Anglii.

- Według mnie, historia o niemieckim szpiegu jest tylko legendą.

- Mów dalej, Tommy. Coś trzymasz w zanadrzu.

- No więc ustaliłem pewne... pewne... pewne...

- Przestań mówić "pewne". Naprawdę nic z tego nie rozumiem.

- Czasami trudno coś wyjaśnić. Chodzi mi o to, że jest kilka sposobów prowadzenia śledztwa.

- Mówisz o badaniu przeszłości?

- Tak. W pewnym sensie. To znaczy, pewnych rzeczy możesz się dowiedzieć. Możesz uzyskać o nich informacje. I to nie bawiąc się starymi zabawkami ani nie pytając starszych pań czy przepytując ogrodnika, któremu najpewniej wszystko się pomieszało, ani nie idąc na pocztę i denerwując pracowników, prosząc jakieś smarkule, by przypomniły sobie, co opowiadały im ich cioteczne prababki.

- Ale wszystko to coś mi dało - powiedziała Tuppence.

- Nie więcej niż moje metody - stwierdził Tommy.

- Prowadziłeś dochodzenie? Komu zadawałeś pytania?

- To nie całkiem tak. Musisz pamiętać, że stykałem się w życiu z ludźmi, którzy wiedzą, jak zająć się taką sprawą. No wiesz, płacisz im pewną sumę pieniędzy, a oni sprawdzają coś dla ciebie fachowo, więc informacje, jakie otrzymujesz, są prawdziwe.

- A co sprawdzają?

- No wiesz, różne rzeczy. Na początek - możesz zatrudnić kogoś, by przejrzał akty zgonu, narodzin i ślubów.

- Pewnie wysłałeś kogoś do Somerset House. Można tam sprawdzić śluby oprócz zgonów?

- I narodziny. Nie trzeba iść samemu, można kogoś wysłać. Żeby sprawdził datę śmierci, przeczytał testament, przejrzał listę ślubów kościelnych i akty urodzenia. Wszystko to można obejrzeć.

- Dużo pieniędzy wydałeś? Myślałam, że skoro opłacimy koszty przeprowadzki, zaczniemy oszczędzać?

- Uznałem, że biorąc pod uwagę twoje zainteresowanie tą sprawą, pieniądze zostały wydane dobrze.

- Dowiedziałeś się czegoś?

- Nie tak szybko. Musisz poczekać, aż moi wysłannicy zakończą dochodzenie. Potem, jeśli zdobędą jakieś informacje...

- Ktoś przyjedzie tu i powie nam, że osoba nazwiskiem Mary Jordan urodziła się na przykład w Little Shiefield-on-the-Wold, a potem ty pojedziesz tam i będziesz sprawdzał dalej. O to ci chodzi?

- Niezupełnie. Można jeszcze dotrzeć do spisów ludności, aktów zgonu z podaną przyczyną śmierci i całego mnóstwa innych rzeczy.

- Cóż - rzuciła Tuppence - w każdym razie brzmi to ciekawie, a to już coś.

- Można też przeczytać roczniki starych gazet w archiwach prasowych.

- Mówisz o artykułach o morderstwach i sprawach sądowych?

- Niekoniecznie. Czasami spotykasz pewnych ludzi, ludzi, którzy się na tym znają. Można do nich dotrzeć, zadać kilka pytań, odnowić znajomość. Na przykład z czasów, kiedy prowadziliśmy biuro detektywistyczne w Londynie. Na pewno są ludzie, którzy mogą przekazać nam pewne informacje lub skierować do kogoś. To, kogo znasz, ma naprawdę duże znaczenie.

- Tak - przyznała Tuppence - to prawda. Wiem to z własnego doświadczenia.

- Nie mamy tych samych metod. Twoje są zapewne równie dobre jak moje. Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy przyjechałem do tego pensjonatu, Sans Souci. Pierwszą osobą, jaką ujrzałem, byłaś ty. Siedziałaś tam robiąc coś na drutach i przedstawiałaś się wszystkim jako pani Blenkinsop.

- Wszystko dlatego, że nie zatrudniłam nikogo, by za mnie prowadził śledztwo - powiedziała Tuppence.

- Rzeczywiście - odparł Tommy. - Po prostu weszłaś do szafy w pokoju obok tego, w którym mnie przepytowano i wiedziałaś dokładnie, gdzie mnie wysyłają i z jaką misją, i dotarłaś tam pierwsza. Podśluchiwałaś. Ni mniej, ni więcej. Bardzo nieuczciwie.

- Ze świetnym rezultatem - zauważyła Tuppence.

- Tak - przyznał Tommy. - Potrafisz wygrywać. Najwyraźniej przypadkiem.

- Pewnego dnia odkryjemy tutejszą tajemnicę, mimo że jest tak stara. Jakoś nie mogę uwierzyć, że w naszym domu ukryto coś ważnego albo że coś ważnego należało do jednego z mieszkańców, że w ogóle sam dom albo ludzie, do których niegdyś należał są ważni. Jakoś w to nie wierzę. No cóż, wiem, co powinniśmy teraz zrobić.

- Co? - spytał Tommy.

- Uwierzyć w sześć niemożliwych rzeczy przed śniadaniem, oczywiście - odparła Tuppence. - Jest za piętnaście jedenasta i chcę iść spać. Jestem zmęczona, śpiąca i okropnie brudna po tych zakurzonych antycznych zabawkach. Pewnie jeszcze więcej rzeczy można znaleźć w oranżerii. A właśnie, dlaczego ona nazywa się Kay Kay?

- Nie wiem. Jak to się pisze?

- Nie mam pojęcia. Może k-a-i. Nie po prostu KK.

- Bo tak brzmi bardziej tajemniczo?

- Bo brzmi po japońsku - wyjaśniła niepewnie Tuppence.

- Nie rozumiem, dlaczego miałoby brzmieć akurat po japońsku. Dla mnie wcale tak nie brzmi. Przypomina, coś do jedzenia. Na przykład gatunek ryżu.

- Idę wykopać się, ściągnąć z siebie pajęczyny i do łóżka - oznajmiła Tuppence.

- Pamiętaj: sześć niemożliwych rzeczy przed śniadaniem.

- Myślę, że będę w tym lepsza od ciebie - rzuciła Tuppence.

- Czasami jesteś nieprzewidywalna - zauważył Tommy.

- Ty częściej masz rację niż ja - powiedziała Tuppence. - To bardzo irytujące. Cóż, zesłano to na nas, by nas wypróbować. Kto nam to powtarzał? I to często?

- Nieważne - powiedział Tommy. - Idź i zmyj z siebie kurz minionych lat. Czy Izaak przydaje się do czegoś w ogrodzie?

- Tak sądzi - odparła Tuppence. - Możemy poeksperymentować...

- Na nieszczęście sami nie znamy się na ogrodnictwie. Kolejny problem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wyprawa Ukochanym; Oksford i Cambridge

- Rzeczywiście sześć niemożliwych rzeczy przed śniadaniem - powiedziała Tuppence. Wypiła filiżankę kawy i patrzyła na stojący na kredensie talerz ze smażonym jajkiem oflankowanym dwoma apetycznie wyglądającymi nerkami. - Śniadanie warte jest więcej niż rozmyślania nad rzeczami niemożliwymi. To Tommy zaczął ich szukać. To jego śledztwo! Ciekawe, czy czegokolwiek się dowie.

Zajęła się jajkiem i nerkami.

- Jak miło - powiedziała na głos - zjeść inne śniadanie niż zwykle.

Od dłuższego już czasu wystarczała jej rankiem filiżanka kawy i sok pomarańczowy względnie grapefruit. Takie śniadanie miało tylko jedną zaletę: znikaly problemy z nadwagą, jednak trudno było je cenić. Na zasadzie kontrastu gorące dania na kredensie ożywiły soki w jej żołądku.

- Zapewne takie śniadania jadali Parkinsonowie - powiedziała Tuppence. - Jajka smażone lub w koszulkach, bekon i może - cofnęła się pamięcią do czytanych dawno temu powieści - może jeszcze kuropatwa na zimno. Coś pysznego! Tak, pamiętam, jak to smakowicie brzmiało. Oczywiście, dzieci były wtedy tak mało ważne, że podawano im tylko udka. Ale z drugiej strony udka są bardzo dobre, bo można je ogryzać - umilkła, przełykając ostatni kęs nerki.

Zza drzwi dobiegł ją dziwny dźwięk.

- Ciekawe. To brzmi, jakby ktoś nie udał się koncert - oceniła Tuppence.

Znow umilkła z tostem w ręku. Podniosła wzrok, gdy w pokoju pojawił się Albert.

- Co się dzieje. Albercie? - zapytała. - Nie mów mi, że nasi robotnicy grają na harmonijce?

- To ten pan, co przyszedł do fortepianu - wyjaśnił Albert.

- A po co?

- Żeby go nastroić. Mówiła pani, abym wezwał stroiciela.

- Dobry Boże! Już to zrobiłeś? Jesteś wspaniały, Albercie.

Albert wyglądał, jakby mu to pochlebiło, choć równocześnie nie miał powodu wątpić, że naprawdę błyskawicznie spełnia nadzwyczajne polecenia, jakie stawiają mu a to Tuppence. a to Tommy.

- Mówi, że fortepian od dawna wymagał strojenia - powiedział.

- Z całą pewnością - przytaknęła Tuppence. Opróżniła filiżankę do połowy i przeszła do

saloniku.

Przy fortepianie, otwartym i ujawniającym światu swoje wnętrze, pracował młody człowiek.

- Dzień dobry pani - powiedział.

- Dzień dobry - odparła Tuppence. - Cieszę się, że mógł pan przyjść.

- Trzeba było je nastroić już dawno temu.

- Wiem. Ale widzi pan, dopiero co się wprowadziliśmy, a przeprowadzka nie działa dobrze na fortepiany. I nie stroiliśmy go od lat.

- Zaraz to zauważyłem - odparł młody człowiek. Nacisnął po kolei trzy akordy, dwa majorowe i jeden melancholijny minorowy.

- Piękny instrument, proszę pani, jeśli mogę zauważyć.

- Tak - zgodziła się Tuppence. - To Erard.

- Taki fortepian niełatwo dziś kupić.

- Przeszedł swoje. Na przykład naloty na Londyn. W nasz dom uderzyła bomba. Na szczęście nas tam nie było, a zniszczone zostało przede wszystkim otoczenie budynku.

- Sam instrument jest świetnej roboty i nie wymaga napraw.

Potoczyła się miła rozmowa. Młody człowiek zagrał początkowe takty Preludium Chopina i przeszedł do Nad pięknym modrym Dunajem. Wreszcie oznajmił, że skończył pracę.

- Nie zostawiałbym go na długo - ostrzegł. - Chciałbym wrócić tu wkrótce, bo nigdy nie wiadomo, kiedy może... nie wiem, jak to wyrazić... z powrotem się zepsuć. Wie pani. mogłem nie zauważyć jakiejś drobnostki albo nie dałem rady się do niej dostać.

Rozstali się, wymieniając zachwyty nad muzyką jako taką, a muzyką fortepianową w szczególności, żegnając się jak dwoje ludzi, którzy jednakowo cenią sobie przyjemność. jaką daje muzyka.

- Dom wymaga sporo napraw - zauważył młody człowiek, rozglądając się wokół.

- Przypuszczam, że przez pewien czas przed naszą przeprowadzką stał nie zamieszkały.

- Tak. Często zmieniał właścicieli.

- Ma swoją historię, prawda? - podsunęła Tuppence.

- Mieszkało w nim wielu różnych ludzi i działy się dziwne rzeczy.

- Chyba mówi pani o bardzo odległych czasach. Nie wiem, czy chodzi o ostatnią wojnę, czy tę wcześniejszą.

- Ta sprawa związana była z tajemnicą wojskową - rzuciła z nadzieją Tuppence.

- Możliwe. Słyszałem, że sporo się o tym mówiło, ale sam, oczywiście, nic nie wiem.

- Nie urodził się pan jeszcze - powiedziała Tuppence, z uznaniem patrząc na jego młodą twarz.

Kiedy wyszedł, usiadła do fortepianu.

- Zagram Deszczowy sonatę - powiedziała Tuppence. Stroiciel przypomniał jej o

Chopinie. Zagrała parę akordów, po czym przerzuciła się na piosenkę, którą z początku nuciła, a potem zaczęła śpiewać.

*Gdzie powędrował mój ukochany?
Dokąd on odszedł i zostawił mnie?
Gdzieś w lesie ptaki śpiewają tęsknie.
Kiedy mój ukochany wróci do mnie?*

- Gram w złej tonacji - stwierdziła Tuppence - ale fortepian jest już dobry. Jak miło znów na nim zagrać. "Gdzie, powędrował mój ukochany" - zanuciła. - ..Kiedy mój ukochany..." Ukochany - powtórzyła z namysłem. - Ukochany? Może to znak? Lepiej wyjdę i zajmę się Ukochanym.

Założyła sweter i ciepłe buty i wyszła do ogrodu. Ukochany został wciągnięty nie do poprzedniego schronienia w KK, lecz do pustej stajni. Tuppence wyciągnęła go, zaciągnęła na szczyt trawiastego wzgórza, z grubsza przetała zabraną szmatką, usuwając wciąż doczepione do niego pajęczyny, wsiadła, umieściła stopy na pedałach i wprawiła pojazd w ruch - taki, do jakiego był zdolny mimo swojego stanu i lat.

- No, mój kochany - powiedziała - jazda z górki, ale nie za szybko.

Zdjęta nogi z pedałów i ułożyła tak, by mogła nimi zahamować, gdyby to było konieczne.

Ukochany nie poruszał się z początku zbyt szybko, chociaż sam ciężar pchał go w dół zbocza. Nagle górka stała się stroma. Ukochany przyspieszył, Tuppence ostro zahamowała nogami i razem z Ukochanym wylądowała w bardziej kolczastej części krzaków niż poprzednio.

- Bardzo to bolesne - stwierdziła, wydostając się na zewnątrz.

Wyplątała się z ciernistych gałęzi araukarii, otrzepała i rozejrzała wokół. Znajdowała się w gęstych zaroślach biegnących w przeciwnym kierunku w górę zbocza. Rosły tu rododendrony i hortensje. Pomyślała, że za kilka miesięcy będą wyglądały ślicznie. W tej chwili nie było w nich śladu piękna - tworzyły po prostu splątany gąszcz. Jednak dostrzegła ścieżkę, która biegła niegdyś pomiędzy krzewami i zaroślami. Rośliny pozostały się, lecz wciąż widać było kierunek, w którym zmierzała. Tuppence odłamała kilka gałęzi, precyzyjnie się przez pierwsze krzaki i ruszyła w górę. Ścieżka wspinała się zakrętami. Było jasne, że nikt nie oczyszczał jej ani nie wędrował nią od lat.

- Ciekawe, dokąd biegnie - powiedziała Tuppence. - Musi dokądś prowadzić.

Gdy dróżka kilkakrotnie skręciła ostro w przeciwnych kierunkach, pozostawiając ślad zygzaka. Tuppence uznała, że wie dokładnie, co Alicja w Krainie Czarów miała na myśli mówiąc, że ścieżka otrząsnęła się i zmieniła bieg. Rosło tu mniej krzaków, zastąpiły je wawrzyny (może od nich właśnie pochodziła nazwa domu), a między nimi wiła się kamienista,

trudna i wąska ścieżynka. Skończyła się raptownie przy czterech pokrytych mchem stopniach wiodących do niszy, wykonanej niegdyś z metalu, a potem zrekonstruowanej z butelek. Jakaś kapliczka z piedestałem na środku. Na cokole stała kamienna figurka, bardzo zniszczona. Przedstawiała chłopca z koszem na głowie. Tuppence ogarnęło wrażenie, że skądś go zna.

- Dla takich rzeczy odwiedzało się to miejsce - powiedziała. - Podobną rzeźbę miała w ogrodzie ciotka Sarah. Również hodowała wawrzyny.

Cofnęła się pamięcią do ciotki Sarah, którą odwiedzała w dzieciństwie. Bawiła się w grę nazywaną Rzeczne Konie. Dla nich wyciągała swoją obręcz. Warto tu zauważyć, że Tuppence miała wtedy sześć lat. Jej obręcz przedstawiała konie - białe konie z grzywami i długimi ogonami. Wyobrażała sobie, że powozi koźmi przez zieloną, gęstą trawę, potem wokół klombu obsadzonego trawą pampasową z falującymi na wietrze pióropuszcami, a wreszcie ścieżką. Między bukami stała podobna do tej altanka z rzeźbą chłopca z koszem. Tuppence, jadąc na swoich zwycięskich rumakach, zawsze zabierała podarunek, który kładła do kosza. Mówiła, że to dar i wypowiadała życzenie. Pamiętała, że niemal zawsze się spełniało.

- Lecz działo się tak, ponieważ oszukiwałam - stwierdziła, siadając raptownie na górnym schodku. - To znaczy życzyłam sobie czegoś, co prawie na pewno miało się stać i mogłam wierzyć, że moje życzenie naprawdę się spełniło i że to była magia. Zupełnie jakbym składała dary prawdziwemu antycznemu bóstwu. Chociaż to nie było żadne bóstwo, a tylko pękata, mała figurka. Ależ to zabawne - wszystkie te rzeczy, które wymyślałam, w które wierzyłam i bawiłam się.

Westchnęła, zeszła w dół zbocza i poszła do oranżerii o tajemniczej nazwie.

W KK panował ten sam bałagan co zawsze. Matylda wciąż wyglądała na zapomnianą i opuszczoną, lecz uwagę Tuppence przyciągnęły dwa inne przedmioty. Były to dwa stołeczki z porcelany, z figurkami białych łabędzi wokół siedzisk. Jeden stółek był ciemnoniebieski, drugi bladobłękitny.

- No jasne, widziałam takie rzeczy wcześniej, gdy byłam młoda - powiedziała Tuppence. - Tak jest, stały na werandzie. Jedna z moich ciotek miała coś takiego. Nazywaliśmy je Oksford i Cambridge. Były bardzo podobne. Tylko ozdobiono je kaczkami... nie, łabędziami. A w siedzeniu była podobnie dziwaczna dziura w kształcie litery S. Można tam było wkładać różne rzeczy. Tak, poproszę Izaaka, żeby wyjął stąd oba stołeczki i dobrze je obmył. Postawimy je w loggii albo na ganku, jak on upiera się to nazywać, choć dla mnie to po prostu weranda. Postawimy je i będziemy się nimi cieszyć, gdy nadejdzie ładna pogoda.

Odwróciła się i pobiegła w stronę drzwi. Potknęła się o biegun Matyldy...

- O Boże! Co ja narobiłam! - zawołała. Narobiła tyle, że potraciła nogą porcelanowy stołek, a on przewrócił się i rozpadł na dwie części.

- Mój Boże, teraz zabiłam Oksford. Będzie musiał nam wystarczyć Cambridge. Pewnie nie da się skleić Oksfordu. Oba kawałki są zbyt skomplikowane.

Westchnęła i zastanowiła się, co robi Tommy.

Tommy wymieniał wspomnienia z dawnymi przyjaciółmi.

- Świat zdziwaczał - stwierdził pułkownik Atkinson. - Podobno ty i twoja żona, jak jej na imię... Prudencja, a nie, ty mówisz do niej Tuppence, tak jest. Więc podobno zamieszkaliście na wsi. Gdzieś koło Hollowquay. Ciekawe, co was tam zagnało. Coś szczególnego?

- Znaleźliśmy tani dom - odparł Tommy.

- Aha. To szczęście, prawda? Jak się nazywa? Musisz zostawić mi adres.

- Może nazwiemy go Pod Cedrem, bo rośnie tam ładny cedr. Przedtem nazywał się Wawrzyny, ale to zbyt wiktoriańskie, prawda?

- Wawrzyny. Wawrzyny w Hollowquay. Ejże, do czego zmierzasz? Co knujesz?

Tommy spojrzał na pomarszczone oblicze z obfitymi białymi wąsami.

- Knujesz coś przecież, prawda? - spytał pułkownik Atkinson. - Znów jesteś w branży?

- Na to jestem za stary - odparł Tommy. - Przeszedłem na emeryturę.

- Ciekawe. Może i mówisz prawdę. A może tak, kazali ci mówić. Sam wiesz, że w tamtej sprawie wielu rzeczy nie wyjaśniono do końca.

- W jakiej sprawie?

- Musiałeś o tym czytać albo przynajmniej słyszeć. Skandal w Cardington. Wiesz, zdarzył się po tamtej wcześniejszej aferze z czyimiś listami i interesami Emlyna Johnsona związanymi z łodziami podwodnymi.

- Ach tak, coś sobie przypominam - powiedział Tommy.

- Tak naprawdę nie chodziło o łodzie podwodne, ale one przyciągnęły uwagę do całej sprawy. No i listy. Dzięki nim cała afera polityczna wyszła na jaw. Tak. Listy. Gdyby można je było odnaleźć, wszystko byłoby łatwiejsze. Skierowałyby uwagę na parę osób, które wówczas cieszyły się najwyższym zaufaniem w rządzie. Ciekawe, jak często coś takiego się zdarza. No wiesz, zdrajca jest w samym centrum, cieszy się zaufaniem, jest świetnym facetem i ostatnim, jakiego można by podejrzewać, a przez cały czas... Cóż, wiele z tego nigdy nie ujrzy dziennego światła. - Mrugnął okiem. - Może wysłano cię na wieś, żebyś się rozejrzał? Co, mój chłopcze?

- Rozejrzał gdzie? - spytał Tommy.

- Ten twój dom. Wawrzyny, mówiłeś? Krążyły dość głupie dowcipy o Wawrzynach. Weź pod uwagę, że ludzie z wywiadu dobrze się rozejrzeli. Przypuszczali, że gdzieś w domu ukryto cenne dowody. Sądono, że wysłano je za granicę, na przykład do Włoch, tuż zanim powstało zamieszanie. Według innych dalej leżą ukryte gdzieś w twojej okolicy. Wiesz, taki dom ma ruchome płyty w piwnicach. Dalej, chłopcze, czuję, że znów na coś polujesz.

- Zapewniam cię, że niczym takim się nie zajmuję.

- Tak właśnie można by pomyśleć na początku ostatniej wojny. Kiedy ścigałeś tego Niemca. Jego i tę kobietę z książką z wierszykami. Tak. To była świetna robota. A teraz pewnie wysłali cię na inny trop.

- Bzdura. Nie powinieneś wbijać sobie takich pomysłów do głowy. Teraz jestem

staruszką - powiedział Tommy.

- Jesteś przebiegłym stałym psem. Założę się, że lepszym od wielu młodych. Tak. Siedzisz sobie i wyglądasz niewinnie, a w rzeczywistości... Cóż, nie wolno mi zadawać pytań. Nie mogę prosić, byś zdradził tajemnice stanu, co? W każdym razie uważaj na swoją panią. Wiesz, że zawsze za bardzo pcha się do przodu. Cudem udało jej się wyjść cało ostatnim razem, w sprawie N czy M.

- Och, Tuppence po prostu interesuje się przeszłością domu - powiedział Tommy. - Ludźmi, którzy tam mieszkali. Portretami dawnych mieszkańców. No i planowaniem ogrodu. Tylko tym zajmujemy się obecnie: ogrodami. Ogrodami i katalogami cebulek.

- Może i w to uwierzę, jeżeli minie rok i nic ekscytującego się nie zdarzy. Ale znam ciebie, Beresford, i znam naszą panią Beresford. Wy razem tworzycie wspaniałą parę i założę się, że coś odkryjecie. Mówię ci, jeśli te dokumenty kiedykolwiek ujrzą światło dzienne, wywrą ogromny wpływ na życie polityczne naszego kraju i na kilku ludzi, którym nie sprawi to przyjemności. A tych ludzi uważa się obecnie za filary prawości. Niektórzy jednak sądzą, że są niebezpieczni. Pamiętaj o tym. Oni są niebezpieczni, a ci, którzy nie są, mają kontakt z tymi, którzy są. Bądź ostrożny i pilnuj, by twoja pani też była ostrożna.

- Te twoje pomysły! - rzucił Tommy. - Czuję się podekscytowany.

- I czuj się tak dalej, ale uważaj na panią Tuppence. Lubię ją. To miła dziewczyna, zawsze taka była i będzie.

- Już nie dziewczyna - zauważył Tommy.

- Nie mów tak o swojej żonie. Nie wpadnij w nawyk. Jest jedna na tysiąc. Żał mi każdego, na czyj trop wpadła. Pewnie i dziś poluje.

- Nie sądzę. Bardziej prawdopodobne, że poszła na herbatkę do jakiejś starszej damy.

- Starsze panie posiadają niekiedy bardzo interesujące informacje. Starsze panie i pięcioletnie dzieci. Ludzie, których wcale byś nie podejrzewał, że mogą znać prawdę, o której nikt nawet nie śnił. Mógłbym opowiedzieć ci...

- Na pewno, pułkowniku.

- Cóż, nie wolno zdradzać sekretów.

Pułkownik Atkinson potrząsnął głową.

W drodze do domu Tommy wyglądał przez okno pociągu i obserwował uciekający krajobraz.

- Ciekawe - powiedział do siebie - naprawdę ciekawe. Ten starzec zwykle wie, co jest grane. Zna się na rzeczy. Ale co takiego mogło zdarzyć się przed laty, że ma znaczenie nawet dziś? Wszystko to przeszłość, to znaczy nic nie pozostało, nie mogło pozostać po tamtej wojnie. Nie do dziś. - Potem zamyślił się, a do głowy przyszła mu nowa idea, idea Wspólnego Rynku. Gdzieś w jego podświadomości raczej niż świadomości. Żyli przecież wnukowie i bratankowie, nowe pokolenia, młodszy członkowie rodzin, które zawsze miały znaczenie,

pociągały za sznurki, wywierały wpływ z racji swego urodzenia. Gdyby przypadkiem oni nie byli lojalni, można byłoby ich podejść, nakłonić, by uwierzyli w nowe idee albo odnowione stare, jakkolwiek o tym myśleć. Anglia miała inną pozycję niż dawniej. A może nie? Zawsze pod gładką powierzchnią kryło się błoto. Nie czysta woda do samego dna, do kamieni i muszli leżących na dnie morza. Coś poruszało się w głębinach, na razie jeszcze ospale, lecz trzeba to było znaleźć i zdławić. Ale przecież nie w takim miejscu jak Hollowquay. Hollowquay już się przeżyło, jeśli kiedykolwiek miało swój okres świetności. Najpierw było rybacką wioską, potem stało się angielską Rivierą, a teraz letnim uzdrowiskiem, zatłoczonym tylko w sierpniu. Większość ludzi wolała wyjeżdżać za granicę.

- Dobrze się bawiłeś? - spytała Tuppence tego wieczoru. wstając od stołu i przechodząc do drugiego pokoju na kawę. - Jak tam starzy kumple?

- Bardzo staro - odparł Tommy. - A jak twoja starsza pani?

- Przyszedł stroiciel do fortepianu, a po południu padało, więc w końcu nie poszłam. Trochę szkoda, mogła opowiedzieć mi parę interesujących rzeczy.

- Mój stary kumpel to zrobił - powiedział Tommy. - Zaskoczył mnie. Co ty naprawdę sądzisz o tym miejscu, Tuppence?

- Chodzi ci o dom?

- Nie, nie mówię o domu. Chodzi mi o całe Hollowquay.

- Myślę, że to miła miejscowość.

- Co znaczy "miła"?

- To naprawdę dobre słowo. Zwykle się nim gardzi, ale nie wiem dlaczego. Według mnie miłe miejsce to takie, w którym nic się nie dzieje i nikt nie chce, żeby się działo. Wszyscy są zadowoleni ze spokoju.

- To pewnie dlatego, że jesteśmy już starzy.

- Nie sądzę. Po prostu miło wiedzieć, że istnieją miejsca, w których nic się nie dzieje. Choć muszę przyznać, że dziś niemal coś się stało.

- Co masz na myśli mówiąc "niemal"? Czy zrobiłaś coś głupiego, Tuppence?

- Oczywiście, że nie.

- Więc co masz na myśli?

- Górna szyba w oranżerii, wiesz, parę dni temu trochę się oblużowała. Więc właściwie spadła mi na głowę. Mogła mnie pociąć na kawałki.

- Najwyraźniej nie pocięła - zauważył Tommy, spoglądając na nią.

- Miałam szczęście. Mimo to zdenerwowałam się.

- Będziemy musieli wezwać naszego starego przyjaciela, jak mu na imię... Izaak, nieprawdaż? Przy okazji sprawdzi pozostałe szyby. Nie chcemy przecież, żeby ktoś cię wykończył.

- Kiedy kupuje się stary dom, zawsze coś z nim jest nie tak.

- Czy sądzisz, że coś jest nie tak z naszym domem?

- Co, u licha, masz na myśli?
- Dzisiaj usłyszałem coś dziwnego o naszym domu.
- O naszym domu?
- Tak.
- Tommy, to brzmi zupełnie nieprawdopodobnie.
- A to dlaczego? Ponieważ dom wygląda tak miło i niewinnie? Pomalowany i odnowiony?
- To, że jest pomalowany i odnowiony, to dzięki nam. Kiedy go kupiliśmy, wyglądał podle i chylił się ku upadkowi.
- Dlatego właśnie był tani.
- Dziwnie wyglądasz, Tommy. Co się stało?
- To przez starego Monty Wąsacza.
- Ach, nasz drogi staruszek. Czy przesłał mi pozdrowienia?
- Tak. Powiedział, że mam na ciebie uważać i zmusić cię, żebyś sama też na siebie uważała.
- Zawsze tak mówi. Choć nie wiem, dlaczego miałabym na siebie uważać akurat tutaj?
- Najwyraźniej mieszkamy w takim miejscu, w którym trzeba na siebie uważać.
- Co ty wygadujesz, Tommy?
- Co byś czuła, Tuppence, gdybym powiedział ci, że on sugerował lub podejrzewał -jak wolisz to określić - że jesteśmy tu nie jako emeryci; ale agenci specjalni? Że ponownie, jak w czasach N czy M. jesteśmy na służbie? Wysłani przez wywiad, by coś odkryć. By odkryć, co dzieje się nie tak.
- Nie wiem. czy to ty śnisz, Tommy, czy Monty Wąsacz, jeśli to on podsunął ci podobne brednie.
- On. Był przekonany, że wysłano nas tu w misji i że mamy coś odnaleźć.
- Odnaleźć? A co takiego?
- Coś, co ukryto w tym domu.
- Coś, co ukryto w tym domu! Tommy, czy to ty oszalałeś, czy on?
- Pomyślałbym, że raczej on, ale nie jestem taki pewny.
- Co moglibyśmy znaleźć w tym domu?
- Coś, co prawdopodobnie kiedyś tu ukryto.
- Zakopany skarb? Carskie klejnoty koronne zakopane w piwnicy?
- Nie, to nie skarb. Coś, co może okazać się dla kogoś niebezpieczne.
- Bardzo dziwne - oceniła Tuppence.
- A co, znalazłaś coś?
- Oczywiście, że nie. Ale najwyraźniej z tym miejscem związany jest jakiś skandal sprzed Bóg wie ilu lat. Właściwie nikt go nie pamięta, to coś, o czym mogła opowiedzieć ci babka albo coś, o czym plotkuje służba. Beatrice ma przyjaciółkę, która coś o tym wie. I Mary

Jordan była w to zamieszana. Wszystko wyciszono.

- Czyżby poniosła cię wyobraźnia. Tuppence? Powróciłaś do wspaniałych dni naszej młodości, do czasu, kiedy to ktoś przekazał młodej dziewczynie na *Lusitanni* coś tajemniczego, kiedy mieliśmy mnóstwo przygód i ścigaliśmy tajemniczego pana Browna?

- Ależ to było dawno, Tommy. Nazywaliśmy się Młodymi Poszukiwaczami Przygód. Teraz nie wydaje się to rzeczywiste, prawda?

- Nie, ani trochę. Ale to była rzeczywistość. Mnóstwo rzeczy jest prawdziwe, mimo że trudno w nie uwierzyć. To musiało zdarzyć się przynajmniej sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat temu. A nawet dawniej.

- Co właściwie powiedział Monty?

- Chodziło o listy lub dokumenty - zaczął Tommy.

- Coś, co mogłoby doprowadzić albo doprowadziło do politycznych zamieszek. Ktoś miał władzę, a nie powinien jej mieć. Pewne listy lub dokumenty zniszczyłyby go, gdyby ujrzały światło dzienne. Intrygi, które miały miejsce lata temu.

- Za czasów Mary Jordan? Brzmi mało prawdopodobnie - oceniła Tuppence. - Chyba zasnąłeś w pociągu, Tommy, i wszystko to ci się przyśniło.

- Być może - przyznał Tommy. - Rzeczywiście nie wygląda to prawdopodobnie.

- Ale równie dobrze możemy się trochę rozejrzeć, skoro już tu mieszkamy - powiedziała Tuppence.

Omiotła wzrokiem pokój.

- Chyba nic nie schowano tutaj, co, Tommy? - spytała.

- Nasz dom nie wygląda na taki, w którym można by cokolwiek ukryć. Od tamtych czasów mieszkało w nim wielu ludzi.

- Tak. O ile rozumiem, rodzina po rodzinie. Może coś ukryto na strychu albo w piwnicy. Lub zakopano pod podłogą letniego domku. Czy gdziekolwiek. W każdym razie - ciągnęła Tuppence - będziemy mieli trochę rozrywki. Gdy nie będzie nic innego do roboty, a plecy rozbolą nas od sadzenia cebulek tulipanów, możemy się rozejrzeć. Tak tylko, dla zastanowienia się. Zaczynając od kwestii: gdybym chciała coś ukryć, jakie miejsce bym wybrała i gdzie to coś pozostałoby nie odkryte?

- Nie sądzę, by mogło tu zostać coś nie odkrytego - stwierdził Tommy. - Biorąc pod uwagę ogrodników, robotników rozbierających każdą ścianę, rodziny, które tu mieszkały, agentów handlu nieruchomościami i wszystkich innych.

- Nigdy nic nie wiadomo. Może coś leży schowane w czajniczku do herbaty.

Tuppence wsiadła, podeszła do półki nad kominkiem, stanęła na stołku i wzięła do ręki chiński czajniczek. Zdjęła pokrywkę i zajrzała do środka.

- Tu nic nie ma - oznajmiła.

- Wybrałaś zupełnie nieprawdopodobną skrytkę - powiedział Tommy.

- Czy myślisz - zaczęła Tuppence tonem, w którym było więcej nadziei niż

zniechęcenia - że ktoś usiłował mnie ukatrupić i obluzował szybę w dachu oranżerii, żeby na mnie spadła?

- Mało prawdopodobne - odparł Tommy. - Pewnie miała spaść na starego Izaaka.

- Jestem rozczarowana. Chciałabym czuć, że o włos uniknęłam śmierci.

- Lepiej uważaj na siebie. Sam też będę cię pilnował.

- Zawsze panikujesz nade mną.

- I jest to bardzo miłe z mojej strony - powiedział Tommy. - Powinno ci być przyjemnie, że twój mąż przejmuje się tobą.

- Nikt nie próbował cię zastrzelić w pociągu albo wykoleić wagon? - spytała Tuppence.

- Nie - odparł Tommy. - Ale sprawdźmy lepiej hamulce w samochodzie, zanim gdzieś pojedziemy. Choć oczywiście to wszystko jest kompletną bzdurą - dodał.

- Oczywiście - zgodziła się Tuppence. - To zupełna bzdura. Mimo to...

- Mimo to co?

- Po prostu to zabawne tak o tym myśleć.

- Myślisz, że Alexander zginął, ponieważ coś wiedział?

- Wiedział coś o mordercy Mary Jordan. "To było jedno z nas..." - Twarz Tuppence pojaśniała. - NAS -powtórzyła z naciskiem. - Będziemy musieli dowiedzieć się wszystkiego o NAS. "Nas" z przeszłości. Musimy odkryć zbrodnię. Gdzie i kiedy do niej doszło. Tego jeszcze nigdy nie próbowaliśmy zrobić.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Metody badań

- Gdzie byłaś, Tuppence? - spytał jej mąż następnego ranka, wróciwszy do rodzinnej posiadłości.

- Ostatnio w piwnicy - odparta Tuppence.

- To widać - stwierdził Tommy. - Tak... Wiesz, że we włosach masz pełno pajęczyn?

- To oczywiste. Jest ich mnóstwo w piwnicy. Ale i tak niczego nie znalazłam. Poza kilkoma butelkami brylantyny.

- Brylantyny? - powtórzył Tommy. - To bardzo interesujące.

- Naprawdę? Czy to coś do czyszczenia brylantów? Brzmi podobnie.

- Chyba używano tego do włosów - powiedział Tommy. - To znaczy tylko mężczyźni, nie kobiety.

- Pewnie masz rację. Pamiętam, że mój wuj... tak, jeden z moich wujów używał brylantyny. Przyjaciel przywoził mu ją z Ameryki.

- Naprawdę? Ciekawe - powiedział Tommy.

- Dla mnie nieszczególnie - stwierdziła Tuppence. - W każdym razie, nam w niczym to nie pomoże. Nie można niczego ukryć w butelce brylantyny.

- Ach, więc tym się zajmowałaś.

- Od czegoś przecież trzeba zacząć. Może rzeczywiście coś ukryto w tym domu, skoro tak mówił ci twój znajomy. Choć trudno wyobrazić sobie, co i gdzie. Gdy posiadłość zostaje wystawiona na sprzedaż, bo właściciel wyprowadza się czy umiera, opróżnia się wszystkie pokoje, prawda? Każdy, kto dziedziczy dom, sprzedaje meble, a jeśli je nawet zostawi, sprzedaje je następny właściciel. Tak więc to, co pozostało do dziś, mogło należeć najwyżej do przedostatnich mieszkańców.

- Dlaczego więc ktoś próbowałby zranić ciebie czy mnie albo usiłował zmusić nas, byśmy wynieśli się z domu? Jeśli nie ma tu nic, czego nie powinniśmy znaleźć?

- To tylko twój pomysł - powiedziała Tuppence. - Możesz nie mieć racji. Dzień, w każdym razie, nie poszedł całkiem na marne. Coś znalazłam.

- Coś w związku z Mary Jordan?

- Raczej nie. Piwnica nie przydała się na wiele, jak mówiłam. Jest tam trochę rzeczy wyglądających na sprzęt do robienia zdjęć. Lampa do wywoływania filmów lub coś podobnego, czego używano dawniej, z czerwonym szkiełkiem, no i brylantyna. Nie było, niestety, kamiennych płyt, które można by przesunąć w poszukiwaniu tajnej skrytki. Kilka zniszczonych skrzyń, blaszanych puszek i starych walizek, lecz nic nie nadaje się już do

użytku. Rozpadłyby się na kawałki, gdyby je kopnąć. Same rupiecie.

- Przykro mi - powiedział Tommy. - Więc zero satysfakcji.

- Znalazłam kilka interesujących rzeczy. Powiedziałam sobie... czasem przecież trzeba sobie coś powiedzieć... Może pójde na górę i zdejmę z siebie pajęczyny, zanim porozmawiamy dłużej.

- Tak będzie lepiej - przyznał Tommy. - Będę patrzył na ciebie z większą przyjemnością.

- Jeśli chcesz zachować uczucie, jakim darzyli się Darby i Joan, powinieneś zawsze patrzeć na mnie myśląc, że twoja żona, nieważne, ile ma lat, wciąż wygląda ślicznie.

- Najdroższa, wyglądasz prześlicznie. A nitka pajęczyny, która zwisa ci z lewego ucha, wydaje mi się nadzwyczaj atrakcyjna. Przypomina loczek cesarzowej Eugonii, jakim czasem obdarzano ją na portretach. Wiesz, opadający na szyję. W twoim jest nawet pajak.

- Och, to mi się nie podoba.

Usunęła pajęczynę machnięciem ręki. Zaraz potem poszła na górę. Kiedy wróciła do Tommy'ego, czekał na nią kieliszek. Spojrzała na niego niepewnie.

- Nie próbujesz wmusić we mnie brylantyny? - spytała.

- Nie. Sam chyba nie bardzo miałbym ochotę ją wypić.

- Więc, jeśli mogę kontynuować...

- Tego właśnie pragnę - powiedział Tommy. - I tak to zrobisz, ale wolałbym myśleć, że ja cię do tego nakłoniłem.

- Powiedziałam więc sobie: "Gdybym chciała ukryć coś w tym domu tak, żeby nikt tego nic znalazł, to jakie miejsce bym wybrała?"

- Bardzo logicznie.

- Zastanowiłam się, gdzie można by coś ukryć. Na pewno w brzuchu Matyldy.

- Słucham?

- W brzuchu Matyldy. Konia na biegunach. Mówiłam ci o nim. To amerykański koń.

- Najwyraźniej sporo rzeczy pochodzi z Ameryki - zauważył Tommy. - Mówiłaś o brylantynie.

- No tak. W każdym razie, ten koń na biegunach ma dziurę w brzuchu. Powiedział mi o tym stary Izaak. W tej dziurze było mnóstwo starych papierów, zupełnie bezwartościowych. Choć można było tam coś ukryć, prawda?

- To całkiem możliwe.

- No i Ukochany. Obejrzałam go jeszcze raz. Ma stare, zniszczone siedzenie pokryte nieprzemakalnym materiałem. ale pod spodem nic nie było. Żadnych rzeczy osobistych. Znow zaczęłam się zastanawiać. Zostały mi jeszcze półki na książki i same książki. Ludzie lubią chować coś w książkach. A my nie skończyliśmy przecież porządkować biblioteki na górze, prawda?

- Myślałem, że tak - powiedział z nadzieją Tommy.

- Nie. Została jeszcze dolna półka.

- To żadna robota. Nie trzeba wchodzić na drabinę i zdejmować niczego z samej góry.

- Więc poszłam na strych i usiadłam na podłodze, żeby przejrzeć dolną półkę. Stały na niej prawie same kazania. Z dawnych czasów, spisane chyba przez jakiegoś metodystę. Nic były interesujące i nic w nich nie znalazłam. Wyjęłam wszystkie książki na podłogę, i wtedy coś odkryłam. Poniżej półki ktoś wybił dziurę i powpychał w nią najprzeróżniejsze rzeczy, głównie podarte książki. Jedna była dość duża. Miała okładkę z brązowego papieru. Wyciągnęłam ją. Przecież nigdy nic nie wiadomo, prawda? I. jak sądzisz, co to było?

- Nie mam pojęcia. Pierwsze wydanie "Robinsona Cruzoa" lub coś równie cennego?

- Nie. To był sztambuch.

- Sztambuch. A co to takiego?

- Dawniej były bardzo popularne. Ten pochodził sprzed wielu lat, myślę, że z czasów Parkinsonów. A może jeszcze wcześniej. Bardzo zniszczony i podarty. Nie warto było go trzymać i chyba nikt tego nie chciał. Ale był stary, więc pomyślałam, że mogę coś w nim znaleźć.

- Rozumiem. Ktoś mógł włożyć coś między kartki.

- Właśnie. Ale oczywiście nikt tego nie zrobił. To byłoby za proste. Nadał go przeglądam. Nie doszłam jeszcze do końca. Może zawierać interesujące nazwiska, dzięki którym czegoś się dowiemy.

- Też tak sądzę - powiedział sceptycznie Tommy.

- Więc to pierwsza sprawa. Jedyna interesująca rzecz, na jaką natrafiłam, jeśli mowa o książkach. Poza tym niczego już nie znalazłam. Teraz, oczywiście, powinniśmy przejrzeć szafy.

- A co z resztą mebli? - spytał Tommy. - Mówię o szufladach z podwójnym dnem i tak dalej?

- Nie, Tommy, źle na to patrzysz. Wszystkie meble, jakie stoją teraz w pokojach, są nasze. Wprowadziliśmy się do pustego mieszkania i przywieźliśmy własne meble. Jedyną rzeczą z dawnych czasów są te śmieci w KK: popsute zabawki i krzesła ogrodowe. W domu nie ma żadnych antycznych przedmiotów. Ktokolwiek mieszkał tu ostatni, zabrał je albo wystawił na sprzedaż. Mnóstwo ludzi przewinęło się przez to miejsce od czasów Parkinsonów i nie zostało nic, co do nich należało. Lecz mimo to coś znalazłam. Nie jestem pewna, ale może się przydać.

- Co to jest?

- Karta dań.

- Karta dań?

- Tak. W tym starym kredensie, którego nie potrafiliśmy otworzyć. Tym obok spiżarni. Pamiętasz, zgubił się klucz do niego. A ja go znalazłam. W starym pudełku, które leżało w KK. Wlałam trochę smaru do dziurki od klucza i otworzyłam drzwiczki. W środku nic nie było.

Brudne półki z kawałkami potłuczonej porcelany. Pewnie po ostatnich mieszkańcach Wawrzynów. Na górnej półce leżał stos wiktoriańskich kart dań podawanych na przyjęciach. To, co wówczas jadano, jest wprost fascynujące. Przepyszne. Przeczytam ci, jak skończymy obiad. To niesamowite. Dwie zupy: czysta i na mięsnym wywarze, dwa rodzaje ryby, dwa *entree*, sałatka. Następnie pieczone, a potem... nie jestem pewna, co podawano potem. Chyba sorbet, to krem lodowy, prawda? Dalej... sałatka z homarów! Czy możesz w to uwierzyć?

- Spokojnie, Tuppence - powiedział Tommy. - Nie dam rady znieść więcej.

- Pomyślałam sobie, że to może być interesujące. Menu pochodzi sprzed lat. Właściwie sprzed bardzo wielu lat.

- I czego spodziewasz się po tych znaleziskach?

- Jediną rzeczą, która rokuje jakieś nadzieje, jest sztambuch. Znalazłam w nim Winifred Morrison.

- I co z tego?

- To było, jak sędzę, panińskie nazwisko starej pani Griffin. To ta, do której poszłam dwa dni temu na herbatę. Należy do najstarszych mieszkańców naszej wioski, pamięta sporo i wie o tym, co się tu wydarzyło, jeszcze zanim się urodziła. Myślę, że może pamiętać albo znać z opowiadań kilka innych osób wymienionych w pamiętniku. To może nam się przydać.

- Może - Tommy wciąż miał wątpliwości - choć nadal sędzę...

- Nadal sądzisz, że co? - spytała Tuppence.

- Nie wiem - odparł Tommy. - Chodźmy spać. Nie uważasz, że powinniśmy dać sobie spokój z tą sprawą? Po co nam wiedzieć, kto zabił Mary Jordan?

- Nie chcesz wiedzieć?

- Nie - odparł Tommy. - A przynajmniej... no dobrze, poddaję się. Przyznaję, że teraz już chcę.

- A ty nic nie odkryłeś?

- Nie miałem dziś czasu. Lecz zdobyłem kolejnych informatorów. Zatrudniłem tę kobietę, o której ci mówiłem. Wiesz, tę, która naprawdę potrafi prowadzić poszukiwania.

- Och, miejmy nadzieję na najlepsze. Wszystko to wygląda bez sensu, ale może będziemy mieli dobrą zabawę.

- Nie jestem pewny, czy tak dobrą, jak przypuszczasz - powiedział Tommy.

- Nieważne - stwierdziła Tuppence. - Postaramy się.

- Nie staraj się sama. To właśnie martwi mnie najbardziej: że nie zawsze jestem przy tobie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pan Robinson

- Ciekawe, co teraz robi Tuppence - powiedział Tommy, wzdychając.

- Słucham? Nie dosłyszałam, co pan mówi. Tommy odwrócił głowę i przyjrzał się pannie Collodon. Była to chuda, wymizerowana kobieta z siwymi włosami, wracającymi powoli do siebie po utleniaczu, który miał sprawić, że panna Collodon będzie wyglądała młodziej (co się nie udało). Obecnie wypróbowała odcienie artystycznej siwizny, przydymionego błękitu i stali, odpowiednie dla pani w wieku między sześćdziesiąt a sześćdziesiąt pięć lat, całkowicie poświęconej swojej pracy. Jej twarz wyrażała ascetyczne poczucie wyższości i ostateczną wiarę we własne osiągnięcia.

- Nic takiego, panno Collodon - powiedział Tommy. - Zastanawiałem się nad czymś. Zamyśliłem się.

Czym zajmuje się dzisiaj? - myślał Thomas, pilnując się, by tym razem nie wypowiedzieć słów na głos. Pewnie czymś głupim. Ryzykuje życie bawiąc się tym dziwnym, starym dziecięcym wózkiem, który może rozlecieć się właśnie wtedy, kiedy będzie zjeżdżała z górki. W końcu coś sobie złamie. Pewnie kość biodrową, jak najwyraźniej wszyscy w dzisiejszych czasach, choć nie rozumiem, dlaczego akurat kość biodrowa miałaby być słabsza niż inne. W tej chwili Tuppence zajmuje się czymś głupim, czymś idiotycznym, a jeśli nie, to czymś bardzo niebezpiecznym. Tak jest, niebezpiecznym. Zawsze trudno utrzymać ją z dala od niebezpieczeństwa. - Cofnął się myślami do zdarzeń z przeszłości. Przypomniał sobie pewien cytat i powiedział na głos: - "Furtka Przeznaczenia..."

Nie przechodź nimi. Karawano, nie przechodź ze śpiewem.

Czy słyszałaś

Tę ciszę, gdy ptaki umilkły, a jednak coś

kwili jak ptak?"

Panna Collodon zareagowała natychmiast, kompletnie zaskakując Tommy'ego.

- To Flecker - powiedziała. - Flecker. To idzie tak:

"Karawana Śmierci... Grota Klęski, Przyczółek Strachu."

Tommy spojrział na nią ze zdumieniem, a potem uświadomił sobie, że panna Collodon uznała, iż przedstawia jej kolejny problem i prosi o informacje, skąd pochodzi cytat i jak nazywa się poeta. Kłopot z panną Collodon polegał na tym, że specjalizowała się w tak wielu dziedzinach.

- Myślałem o mojej żonie - wyjaśnił przepaszająco.

- Ach tak - odparta panna Collodon.

Popatrzyła na Tommy'ego z innym wyrazem oczu. Wydedukowała, że ma kłopoty osobiste. Była gotowa podsunąć mu adres poradni małżeńskiej, gdzie Tommy mógłby poszukać rozwiązania swoich rodzinnych problemów.

Tommy spytał pośpiesznie:

- Czy udało się pani odkryć coś w sprawie, o której mówiłem przedwczoraj?

- O tak. Nie miałam z tym wiele zachodu. W podobnych sytuacjach bardzo pomocny jest Somerset House. Prawdopodobnie nie ma tu nic szczególnie pana interesującego, lecz spisałam nazwiska i adresy z aktów urodzeń, ślubów i zgonów.

- Wszystkie dotyczą Mary Jordan?

- Jordan. Mary, Marii i Polly, a także Mollie. Nie wiem, czy którakolwiek jest tą, której pan szuka. Zechce to pan wziąć?

Podowała mu zapisaną na maszynie niewielką kartkę.

- Dziękuję. Bardzo pani dziękuję.

- Jest tam też kilka adresów, o które pan prosił. Nie dałam rady odszukać adresu majora Darlymple. Dzisiaj ludzie wciąż się przeprowadzają. Powinam zdobyć tę informację w ciągu dwóch dni. A tu jest adres doktora Heseltine'a. Obecnie mieszka w Surbiton.

- Bardzo dziękuję - powtórzył Tommy. - Chyba od niego zacznę.

- Ma pan jeszcze jakieś pytania?

- Tak. Na tej liście jest sześć. Niektóre mogą wykraczać poza pani branżę.

- Och nie - powiedziała panna Collodon z absolutną pewnością. - Widzi pan. wszystko musi należeć do mojej branży. Przede wszystkim trzeba zgromadzić informacje o tym, gdzie szukać informacji, jeśli mogą to tak ująć. To wszystko wyjaśnia. Spory szmat czasu temu, kiedy zaczynałam pracę, odkryłam, jak użyteczne jest biuro doradcze Selfridge'a. Można było postawić im najdziwniejsze pytania dotyczące najbardziej niezwykłych spraw, a oni zawsze potrafili udzielić informacji lub wskazać, gdzie je można uzyskać. Dziś, oczywiście, już się tym nie zajmują. Dzisiaj większość poszukiwań dotyczy... na przykład, ktoś chce popełnić samobójstwo i nie zna numeru telefonu zaufania. Albo ma wątpliwości związane z testamentem, czy też jest pisarzem i szuka potrzebnych mu szczegółów. Do tego możliwości pracy za granicą i problemy imigracyjne. Tak, zajmuję się bardzo szeroką branżą.

- Jestem pewien - powiedział Tommy.

- Lub pomaganie alkoholikom. Jest wiele specjalistycznych stowarzyszeń. Lepszych i gorszych. Mam sporą listę najbardziej godnych zaufania...

- Będę o tym pamiętał - przerwał Tommy - gdybym miał kiedyś taki problem. To zależy od tego, jak daleko zajdę dzisiaj.

- Och, panie Beresford, nie widzę w panu żadnych oznak alkoholizmu.

- Nie mam czerwonego nosa?

- Musi pan wiedzieć, że z kobietami jest dużo gorzej - powiedziała panna Collodon. - Trudniej je z tego wyciągnąć. Mężczyźni wpadają w nałóg, lecz nie aż tak głęboko. Bywa, że

kobieta już z niego wyszła i wystarcza jej picie potwornych ilości lemoniady, a potem, pewnego wieczoru, w samym środku przyjęcia wszystko zaczyna się od nowa. Spojrzała na zegarek.

- Och. powinnam pędzić na następne spotkanie. Muszę dostać się na Upper Grosvenor Street.

- Dziękuję za wszystko, co pani dla mnie zrobiła - powiedział Tommy.

Otworzył drzwi, pomógł panie Collodon założyć płaszcz, wrócił do pokoju i rzucił na głos:

- Będę musiał powiedzieć Tuppence wieczorem, że jak dotąd moje poszukiwania doprowadziły do tego, iż prowadząca dla mnie badania kobieta podejrzewa, że moja żona pije i nasze małżeństwo się rozpada. Ciekawe, co będzie dalej!

Dalej było spotkanie w niedrogiej restauracji w sąsiedztwie Tottenham Court Road.

- No coś takiego! - wykrzyknął starszy mężczyzna, podnosząc się pośpiesznie z krzesła.

- Marchewkowy Tom, niech mnie! Nie rozpoznałbym cię!

- To prawda - odrzekł Tommy. - Niewiele zostało we mnie z marchewki. Teraz jestem siwowłosym Tommym.

- Jak my wszyscy. Jak twoje zdrowie?

- Właściwie jak zawsze. Rozpadam się. Wiesz, stopniowy rozkład.

- Od jak dawna się nie widzieliśmy? Dwa lata? Osiem? Jedenaście?

- Przesadzasz. Spotkaliśmy się zeszłej jesieni na obiedzie w klubie Maltańskich Kotów, nie pamiętasz?

- A, rzeczywiście. Szkoda, że klub się rozpadł. Choć zawsze byłem tego pewien. Miłe miejsce, ale okropne żarcie. Co porabiasz obecnie, mój stary? Wciąż zajmujesz się szpiegostwem?

- Nie - odparł Tommy - nic mam nic wspólnego ze szpiegostwem.

- A niech mnie! Toż to strata talentu.

- A co u ciebie. Baranino?

- O, jestem za stary, by nadal służyć ojczyźnie.

- Żadnej pracy dla agentów wywiadu?

- Pewnie sporo. Prawdopodobnie trzymają ją dla bystrych chłopców. Takich, którzy kończą uniwersytety i bardzo potrzebują jakiejś posady. Gdzie teraz mieszkasz? Wysłałem ci kartkę na Boże Narodzenie. Właściwie wrzuciłem ją do skrzynki dopiero w styczniu, ale i tak wróciła do mnie z nadrukiem: "Adresat nieznany".

- Przenieśliśmy się na wieś. Niedaleko wybrzeża. Do Hollowquay.

- Hollowquay. Hollowquay? Coś mi to przypomina. Kiedyś działo się tam coś z twojej branży, prawda?

- Nie za moich czasów - odparł Tommy. - Usłyszałem o tym dopiero, gdy tam

zamieszkaliśmy. Legendy z przeszłości. Sprzed co najmniej sześćdziesięciu lat.

- Coś związanego z łodzią podwodną, nieprawdaż? Sprzedano komuś plany okrętu. Zapomniałem już, komu sprzedawało się informacje w tamtych czasach. Japończykom, a może Rosjanom? Zawsze można było spotkać agenta obcego wywiadu w Regent's Park. Sam wiesz, trzeciego sekretarza ambasady na przykład. Nie było tylu pięknych kobiet szpiegów, jak to pisywano niegdyś w powieściach.

- Chciałem zapytać cię o kilka spraw. Baranino.

- Tak? Pytaj. Niewiele działo się w moim życiu. Margery... Pamiętasz Margery?

- Tak, oczywiście, że pamiętam. Prawie że bytem na twoim ślubie.

- Wiem. Nie zdążyłeś czy też wsiadłeś nie do tego pociągu, o ile sobie przypominam. Pociągu, który jechał do Szkocji, zamiast do Southall. Ale niczego nie przegapiłeś. Nic z tego nie wyszło.

- Nie ożeniłeś się?

- Ależ tak, ożeniłem się. Lecz tak się złożyło, że nie układało nam się dobrze. Po półtora roku nadszedł koniec. Ona wyszła powtórnie za mąż. Ja nie, ale wiedzie mi się dobrze. Mieszkam w Linie Pollon. Mają tam przyzwoite tereny golfowe. Mieszka ze mną siostra. Jest wdową, zostało jej trochę grosza i dobrze nam razem. Jest trochę przygłucha i nie słyszy, co do niej mówię, ale oznacza to jedynie, że muszę trochę pokrzyczeć.

- Mówiłeś, że słyszałeś coś o Hollowquay. Czy ta historia naprawdę dotyczyła szpiegostwa?

- Mówiąc prawdę, staruszkule, to było tak dawno temu, że niewiele pamiętam. Wówczas sprawa wywołała sporo zamieszania. Wiesz, wspaniały młody oficer marynarki poza wszelkim podejrzeniem, w dziewięćdziesięciu procentach Brytyjczyk, pod względem odpowiedzialności oceniany na sto pięć procent, a w rzeczywistości ktoś zupełnie inny. Na żołdzie... nie przypominam sobie w tej chwili, czym. Pewnie Niemców. To było przed wojną z tysiąc dziewięćset czternastego. Tak, tak mi się wydaje.

- Zdaje się, że była w to zamieszana jeszcze jakaś kobieta - podsunął Tommy.

- Chyba słyszałem coś o Mary Jordan, tak chyba się nazywała. Weź jednak pod uwagę, że niezbyt pamiętam tę historię. Przedostała się do gazet. Chyba była jego żoną, mówię o oficerze marynarki, którego nikt nie podejrzewał. To ona skontaktowała się z Rosjanami i... nie, to zdarzyło się dużo później. Łatwo pomylić wydarzenia, wszystkie wydają się podobne. Żona uznała, że mąż nie zarabia dość dużo, co jak sądzę oznaczało, że nie dawał jej dość pieniędzy. Tak więc... A właściwie dlaczego chcesz rozgrzebywać tę starą historię? Co ma wspólnego z tobą - po tylu latach? Wiem, że niegdyś łączyło cię coś z osobą, która płynęła na *Lusitaniu* albo utonęła razem ze statkiem, prawda? Jeśli cofniemy się aż tak daleko. Byłeś w to zamieszany, ty albo twoja żona.

- Oboje - powiedział Tommy - a działo się to tak dawno, że dziś nic już nie pamiętam.

- Związana była z tym pewna kobieta, prawda? Nazwiskiem Jane Fish, a może Jane

Whale?

- Jane Firm - odparł Tommy.**

- Gdzie jest teraz?

- Wyszła za Amerykanina.

- Ach tak. Cóż, dobrze się to skończyło. Takie spotkanie jak nasze zawsze sprowadza się do rozmowy o starych znajomych i ich losach. Kiedy ich wspominasz, okazuje się, że albo już nie żyją, co ogromnie cię dziwi, bo przez myśl nie przeszła ci podobna możliwość, albo żyją nadal, co dziwi cię jeszcze bardziej. Skomplikowany jest ten nasz świat.

Tommy przytaknął i w tej samej chwili nadszedł kelner. Na co mieliby ochotę...? Dalsza rozmowa dotyczyła gastronomii.

Po południu Tommy umówił się na kolejne spotkanie. Tym razem jego interlokutorem był smutny, siwowłosy mężczyzna oczekujący Tommy'ego w swoim biurze i najwyraźniej żałujący czasu, który dla niego zarezerwował.

- Doprawdy, trudno mi powiedzieć, choć wiem z grubsza, o czym mówisz. W swoim czasie sprawa wywołała wiele dyskusji, a nawet polityczną awanturę. lecz ja nie mam żadnych informacji. Takie historie nie mają długiego życia, prawda? Wylatują z pamięci, jak tylko prasa zajmie się następnym skandalem.

Stał się trochę bardziej otwarty, opisując kilka interesujących fragmentów własnego życia, kiedy to na światło dzienne wyszło coś, czego nigdy nie podejrzewał lub kiedy jakieś osobliwe zdarzenie wzbudziło w nim nieufność.

- Jedno mogłoby ci pomóc - powiedział. - Mam tu pewien adres. Umówiłem cię z pewnym człowiekiem. Ciekawa postać. Wie wszystko. Jest na samej górze, na samym szczycie. Jedna z moich córek jest jego chrześniaczką. Dlatego darzy mnie sympatią i jeśli może, wyświadcza mi przysługi. Zapytałem go, czy spotkałby się z tobą. Wyjaśniłem, że chciałbyś uzyskać informacje odnośnie do kilku ściśle tajnych spraw, dodałem, jaki z ciebie był zawsze miły gość, a on zgodził się mówiąc, że słyszał już o tobie. Zna cię. Powiedział: "Ależ tak, niech przyjdzie". O trzeciej czterdzieści pięć. Tu jest adres. To biuro w City. Spotkałeś go kiedyś?

- Nie sędzę - odparł Tommy, spoglądając na wizytówkę z adresem. - Nie.

- Patrząc na niego nie powiedziałabyś, że wie wszystko. Jest duży i żółty.

- Tak? Duży i żółty?

To stwierdzenie nie mówiło Tommy'emu wiele.

- Siedzi na samej górze - powtórzył siwowłosy znajomy Tommy'ego - na samej górze. Idź tam zaraz. Na pewno coś ci powie. Powodzenia, stary.

* Baraninie nazwisko myli się nie bez powodu: ang. fish to ryba, whate - wieloryb, fin - płetwa.

Tommy, dotarłszy szczęśliwie do wspomnianego biura, został powitany przez mężczyznę w wieku między trzydzieści pięć a czterdzieści lat, który spojrzał na niego wzrokiem-człowieka zdecydowanego odpowiedzieć na każdy przejaw agresji. Tommy poczuł, że podejrzewa się go o wiele rzeczy, na przykład o to, że przyniósł bombę w niewinnie wyglądającym pojemniku albo że szykuje się, aby porwać kogoś lub sterroryzować rewolwerem cały personel. Zrobił się nerwowy.

- Jest pan umówiony z panem Robinsonem? O której. mówił pan. godzinie? Ach, trzeciej czterdzieści pięć -sprawdził w rejestrze. - Pan Thomas Beresford, czy tak?

- Tak - przyznał Tommy.

- Proszę się tu podpisać.

Tommy złożył podpis we wskazanym miejscu.

- Johnson!

Nerwowy młodzieniec w wieku dwudziestu trzech lat niczym zjawa wyłonił się zza oddzielnego szybą biurka.

- Słucham, proszę pana?

- Zabierz pana Beresforda na czwarte piętro do biura pana Robinsona.

- Tak jest.

Zaprowadził Tommy'ego do windy - jednej z tych, które mają własne pojęcie na temat tego, jak traktować wchodzących do środka ludzi. Drzwi otworzyły się. Tommy wszedł, przy czym drzwi niemal go przycięły i zatrzasnęły się o milimetr od jego pleców.

- Zimne popołudnie - zauważył Johnson, okazując przyjacielski stosunek komuś, kogo dopuszczono do osobistości wielkiej wśród największych.

- Tak - zgodził się Tommy - zawsze jest zimno po południu.

- Niektórzy mówią, że to wina zanieczyszczeń albo gazu wydobywanego z Morza Północnego - powiedział Johnson.

- Nie słyszałem o tym - odparł Tommy.

- Mnie nie wydaje się to prawdopodobne - powiedział Johnson.

Minęli piętro drugie, trzecie i wreszcie dotarli na czwarte. Johnson poprowadził korytarzem Tommy'ego, który znów o włos uciekł przed zamykającymi się drzwiami. Zapukał, usłyszał "wejść", przytrzymał otwarte drzwi, przepuścił Tommy'ego przez próg i rzucił:

- Pan Beresford, proszę pana. Był umówiony. Wszedł, zamykając za sobą drzwi. Tommy zbliżył się. Pokój zajmowało przede wszystkim ogromne biurko. Za nim siedział człowiek równie ogromny - zarówno pod względem wagi, jak i wzrostu. Miał, o czym uprzedził Tommy'ego znajomy, dużą, żółtą twarz. Tommy nie potrafił odgadnąć jego narodowości. Podejrzewał, że nie jest Anglikiem. Może Niemcem? Lub Austriakiem? A nawet Japończykiem. A może jednak Anglikiem.

- A tak, pan Beresford.

Pan Robinson wstał i uścisnął dłoń Tommy'ego.

- Przepraszam, jeśli zajmuję pana czas - zaczął Tommy.

Miał wrażenie, że widział już kiedyś pana Robinsona, czy też że ktoś mu go wskazał. Jakkolwiek wyglądało ich pierwsze spotkanie, Tommy musiał być bardzo onieśmielony, gdyż pan Robinson należał do ważnych osobistości i wówczas, i - jak Tommy odgadł (albo raczej natychmiast odczuł) - również teraz.

- Jak rozumiem, pragnie pan czegoś się dowiedzieć. Pański przyjaciel, jakkolwiek ma na nazwisko, przedstawił mi pokrótce sprawę.

- Nie jestem pewien... to znaczy, być może, nie powinienem zwracać panu tym głowy. Cała rzecz nie ma zbyt wielkiego znaczenia. To tylko... tylko...

- Tylko taki pomysł?

- Częściowo mojej żony.

- Słyszałem o pańskiej żonie. I o panu także. Ostatnim razem chodziło o M czy N, prawda? Albo N czy M. Hmm. Pamiętam. Pamiętam wszystkie fakty i zdarzenia. Dopadł pan tamtego kapitana, prawda? Miał być oficerem brytyjskiej marynarki, a okazał się bardzo ważnym Hunem. Widzi pan, czasem jeszcze nazywam ich Hunami. Wiem oczywiście, że wszystko zmieniło się, odkąd mamy Wspólny Rynek. Można by rzec: jesteśmy w tym samym przedszkolu. Wiem. Wykonał pan wtedy dobrą robotę. Naprawdę dobrą. Podobnie jak pańska żona. Ma pan na to moje słowo. Te książki dla dzieci. Pamiętam. To była *Gaska Gęsiarka*. prawda? To dzięki niej cała sprawa się wydała. ..Gasko, gasko, gęsiarko, dokąd bierzysz tak szparko? Ach, przebieram łapkami do pokoju mej pani".

- Aż dziw, że pan to jeszcze pamięta - powiedział z uznaniem Tommy.

- Tak, wiem. Zawsze dziwimy się, jeśli coś nam się przypomni. A to przypomniało mi się tuż przed chwilą. Rymowanka jest tak głupia, że nikt nie podejrzewał, iż ma jakieś ukryte znaczenie.

- Tak, to była ciekawa sprawa.

- A o co chodzi tym razem? Czego pan szuka?

- Niczego ważnego - odparł Tommy. - Tylko...

- Proszę, niech pan przedstawi to własnymi słowami. Nie ma potrzeby układać elaboratu. Proszę po prostu przedstawić mi sprawę. Niechże pan siada i ujmie nogom ciężaru. Nie wie pan - choć pewnie dowie się pan o tym za parę lat - jakie to ważne, by dać odpocząć stopom.

- Chyba jestem już na to wystarczająco stary - powiedział Tommy. - Nie czeka mnie wiele, prócz trumny w stosownym czasie.

- Och, wcale bym tak nie powiedział. Mówię panu. kiedy przekroczy się pewien wiek, można żyć wiecznie. Więc o co chodzi?

- Mówiąc krótko, wprowadziliśmy się z żoną do nowego domu, przeszliśmy przez całe zamieszanie związane z przeprowadzką...

- Rozumiem - wtrącił pan Robinson - dobrze rozumiem. o czym pan mówi. Elektrycy na

każdym skrawku podłogi. Wycinają otwory, w które każdy wpada...

- Poprzedni właściciele chcieli sprzedać trochę książek. Sporo dziecięcych. Wie pan, książeczki takie jak *Henry* i tym podobne.

- Pamiętam tę książkę z własnej młodości.

- W jednej, którą moja żona czytała, znaleźliśmy podkreślony fragment. Zaznaczone litery tworzyły zdania. To, co teraz powiem, zabrzmiałoby głupio...

- Miejmy nadzieję - powiedział pan Robinson. - Jeśli coś brzmi głupio, zawsze chcę to usłyszeć.

- Więc to brzmiało: "Mary Jordan nie zmarła naturalną śmiercią. To musiało być jedno z nas".

- Bardzo, bardzo interesujące - ocenił pan Robinson.

- Nie spotkałem się jak dotąd z niczym podobnym. Tak napisano? Mary Jordan nie zmarła naturalną śmiercią. Kto to napisał? Odnaleźliście autora?

- Najwyraźniej był nim chłopiec w wieku szkolnym. Należał do rodziny nazwiskiem Parkinson. Mieszkali w tym domu, a on był ich synem, jak sądzimy. Nazywał się Alexander Parkinson. Przynajmniej taka osoba została pochowana na miejscowym cmentarzu.

- Parkinson - powtórzył pan Robinson. - Proszę chwilę poczekać. Niech pomyślę. Parkinson... tak, wie pan, że to nazwisko łączono z pewną sprawą, choć trudno przypomnieć sobie, z czym konkretnie.

- Bardzo chcielibyśmy dowiedzieć się, kim była Mary Jordan.

- Ponieważ nie zmarła naturalną śmiercią. Tak, to pasuje do wydarzeń w tamtej części kraju. Lecz wygląda dziwnie. Czego się pan o niej dowiedział?

- Niczego - odparł Tommy. - Nikt z mieszkańców nie pamiętał jej, ani nie miał nic ciekawego do powiedzenia. Ktoś wspomniał, że była guwernantką lub osobą, którą dzisiaj nazywamy opiekunką do dzieci. Nie pamiętali. Może Mamselle. może Frołajn. To bardzo trudna sprawa.

- Umarła. Czy wiadomo, na co?

- Ktoś przez pomyłkę przyniósł z ogrodu naparstnicę razem ze szpinakiem. Wszyscy ją jedli, ale taka ilość nie mogła nikogo zabić.

- Tak, stanowczo była zbyt mała. Lecz gdyby potem wlać silną dawkę wyciągu z naparstnicy do kawy i dopilnować, by Mary Jordan ją wypła - ją lub doprawionego w ten sam sposób drinka... wówczas, jak pan powiedział, winę zrzucano by na liście naparstnicy i całą sprawę uznano za przypadek. Lecz Alexander Parker czy jak brzmiało nazwisko chłopca okazał się zbyt sprytny. Był innego zdania, prawda? Ma pan jeszcze jakieś informacje, panie Beresford? Kiedy to się stało? W czasie drugiej wojny, pierwszej czy wcześniej?

- Wcześniej. Według plotek krążących wśród przodków obecnych mieszkańców. Mary była niemieckim szpiegiem.

- Pamiętam tę sprawę, wywołała sporo zamieszania. Każdy Niemiec pracujący w Anglii

przed tysiąc dziewięćset czternastym był oskarżany o szpiegostwo. Zamieszany w to angielski oficer pozostawał "poza podejrzeniem". Nigdy nie podobają mi się ludzie "poza podejrzeniem". Działo się to dawno, nie sądzę, by pisano o tej sprawie w ostatnich latach. Choć niektóre rzeczy odgrzebuje się, ujawniając akta, by zainteresować czytelników.

- Tak, lecz znamy tylko ogólny zarys tej historii.

- Tyle z niej pozostało. Rzecz łączyła się, oczywiście, z tajną dokumentacją łodzi podwodnych, którą wówczas skradziono. Wraz z nowinkami dotyczącymi lotnictwa. To właśnie przyciągnęło uwagę publiczną. Lecz liczy się nie tylko to. Istniał jeszcze polityczny aspekt całej sprawy. Chodziło o naszych wybitnych polityków. Wic pan, ludzi, o których mówi się "uczciwy do gruntu". W przypadku ludzi w służbie kraju prawdziwa uczciwość jest równie niebezpieczna, jak stanie "poza podejrzeniem". Prawdziwa uczciwość to mój konik. Pamiętam ostatnią wojnę. Pewni ludzie nie byli tak uczciwi, jak sądzono. Jeden facet mieszkał tu, niedaleko. Miał chyba domek na plaży. Zdobył wielu uczniów, wychwalając Hitlera. Twierdził, że jedyną szansą dla nas jest stanąć po jego stronie. A wydawał się bardzo prawy. Miał wspaniałe pomysły. Pragnął zlikwidować nędzę i niesprawiedliwość. Tak. Dał w faszystowską trąbkę, nie nazywając jej faszystowską. Do tego Hiszpania. Walczył po stronie Franco. No i razem z drogim starym Mussolinim. Tak, wiele drózek wiedzie do wojny. Sprawy, które nigdy nie wyszły na jaw, o których nikt nie wiedział.

- Pan chyba wie wszystko - powiedział Tommy.

- Przepraszam. Niezbyt to uprzejme z mojej strony. Ale to naprawdę ekscytujące spotkać człowieka, który zdaje się wiedzieć wszystko.

- Często wsadzałem palec między drzwi, można by rzec. Docierałem do spraw toczących się z boku lub daleko od centrum. Wiele można usłyszeć. Również od starych kumpli, którzy siedzieli w bagnie po szyję i sami sporo wiedzieli. Zaczyna pan to odkrywać, jak sądzę?

- Tak - przyznał Tommy - to prawda. Spotykam starych znajomych, ci z kolei spotykają się z innymi, a przecież i ja, i oni wiemy sporo. Nie widzieliśmy się od dawna, lecz gdy teraz rozmawiamy, dowiaduję się bardzo interesujących rzeczy.

- Widzę, dokąd pan zmierza, gdzie chce pan dotrzeć - powiedział pan Robinson. - Ciekawe, że akurat pan natrafił na tę sprawę.

- Problem w tym, że tak naprawdę nie wiem... może zachowujemy się głupio. To znaczy kupiliśmy dom. i to taki, jakiego szukaliśmy. Wyremontowaliśmy go - tak, jak chcieliśmy, próbujemy nadać jakiś kształt ogrodowi. Nie chcę ponownie zamieszać się w jakąś aferę. Z naszej strony to czysta ciekawość. Coś wydarzyło się dawno temu i trudno oprzeć się myślom: co się stało i dlaczego. Lecz takie rozmyślania nie mają sensu. Nie przyniosą nikomu pożytku.

- Wiem. Po prostu chcecie wiedzieć. Tak już skonstruowany jest człowiek. To zmusza nas do badania świata, oceanów, lotów na księżyc, szukania ropy w Morzu Północnym i źródła tlenu w morzu, a nie w lasach. Bez przerwy dokonuje się nowych odkryć - przez czystą

ciekawość. Zapewne bez niej człowiek nie różniłby się od żółwia. Taki żółw ma bardzo wygodne życie. Śpi przez całą zimę i nie je nic prócz trawy, o ile wiem, by przetrwać lato. Nie brzmi to może interesująco, lecz za to spokojnie. Z drugiej strony...

- Z drugiej strony człowiek bardziej przypomina mangustę.

- Świetnie, czytuje pan Kiplinga. Cieszę się. Obecnie nie ceni się go tak wysoko, jak powinno. Był wybitnym człowiekiem. Wspaniale się go dzisiaj czyta. Jego opowiadania są zdumiewająco dobre. Nie sądzę, by dostatecznie to sobie uświadamiano.

- Nie chciałbym wyjść na głupca. Nie chcę mieszać się w sprawy, z którymi nic mam nic wspólnego. Powiniennem właściwie powiedzieć: z którymi już nikt nie ma nic wspólnego.

- Tego nigdy nie wiemy - zauważył pan Robinson.

- Chodzi mi o to - tłumaczył Tommy, którego w tej chwili zupełnie przytłoczyło poczucie winy, że zajmuje czas naprawdę ważnej osobistości - że nie próbuję jedynie czegoś odkryć.

- Przypuszczam, że musi pan to robić, by zadowolić żonę. Słyszałem o niej. Nigdy nie miałem przyjemności jej spotkać. Musi być wspaniałą osobą.

- Tak uważam - powiedział Tommy.

- Dobrze to słyszeć. Lubię ludzi, którzy trzymają się razem i wciąż cieszą się swoim małżeństwem.

- Chyba sam jestem jak żółw. Chodzi mi o to, że jesteśmy starzy i zmęczeni, i choć na swój wiek zdrowi, nie chcemy się do niczego mieszać. Nic próbujemy się wtrącać. Tylko...

- Wiem, wiem - powiedział pan Robinson. - Niech pan przestanie przeproszać. Chce pan wiedzieć. Tak jak mangusta. Pani Beresford też chce wiedzieć. Co więcej, z tego, co o niej słyszałem, wnoszę, że w końcu się dowie.

- Uważa pan, że zrobi to szybciej niż ja?

- Być może nie jest pan tak bardzo jak ona zaangażowany w poszukiwania, lecz według mnie może pan odkryć tajemnicę równie szybko, gdyż jest pan dobry w wynajdywaniu źródeł informacji. Niełatwo je odszukać w przypadku tak dawnej historii.

- Dlatego czuję się okropnie, że zawracam panu głowę. Sam bym się na to nie zdecydował. To przez Baranię. To znaczy...

- Wiem, o kim pan mówi. Miał bokobrody niczym baran i niegdyś był z nich bardzo dumny. Dlatego tak go przezwano. Miły człowiek. Wykonał dobrą robotę w swoim czasie. Tak. Przysłał pana do mnie, ponieważ wiedział, że interesują mnie właśnie takie rzeczy. Zająłem się tym dość dawno. Mówię o wścibianiu nosa w cudze sprawy i odkrywaniu prawdy.

- A teraz jest pan na samym szczycie - dokończył Tommy.

- A któż to panu powiedział? - zaprotestował pan Robinson. - To kompletna bzdura.

- Nie sądzę.

- Cóż, niektórzy sami dostają się na szczyt, a innych się tam wpycha. To drugie odnosi się do mnie. Wmuszono mi kilka spraw nadzwyczajnej wagi.

- Jak ta związana z... Frankfurtem?

- Doszły do pana plotki, co? Proszę o nich zapomnieć. Nikt nie powinien o nich wiedzieć. Niech pan nie sądzi, że obruszę się na pana, ponieważ przyszedł pan do mnie ze swoimi pytaniami. Prawdopodobnie na kilka mogę odpowiedzieć. Jeśli powiem, że wiele lat temu zdarzyło się coś, co może zaowocować czymś interesującym również dzisiaj, kilkoma szczegółami dotyczącymi spraw toczących się obecnie - będzie to prawdą. Nie wymienię żadnego nazwiska ani faktu. Nie wiem, co wolno mi panu powiedzieć. To kwestia zastanowienia się, dotarcia do pewnych ludzi, odkrycia tego, co możliwe, o minionych latach. Jeśli znajdzie pan coś, co mogłoby mnie zainteresować, proszę do mnie zadzwonić. Znajdziemy jakiś szyfr. Po to, żeby znów odczuć stare podniecenie, żeby znów poczuć się kimś ważnym. Jak się panu podoba "galaretka z dzikich jabłek"? Zadzwoni pan i powie, że żona zrobiła kilka słoików galaretki i pyta, czy chciałbym jeden. Będę wiedział, o co naprawdę chodzi.

- To znaczy, że mogę odkryć coś w związku z Mary Jordan? Ale wydaje mi się, że nie ma sensu tego ciągnąć. Przecież i tak nie żyje.

- Tak, lecz czasem mamy błędną opinię o ludziach, opartą na tym, co ktoś powiedział. Lub napisał.

- To znaczy, że mylimy się co do Mary Jordan? Że wcale nie była ważna?

- Ależ była bardzo ważna - pan Robinson zerknął na zegarek. - Musimy się pożegnać. Za dziesięć minut przychodzi do mnie pewien człowiek. Okropny nudziarz. ale stoi wysoko w kołach rządowych, a zna pan życie. Wszędzie rząd i rząd - wciąż trzeba go znosić. W biurze. w domu. w supermarkecie, w telewizji. Prywatne życie - tego wszyscy pragniemy. Te małe przyjemności, którymi zajmuje się pan z żoną, dotyczą waszego prywatnego życia i z tego punktu odniesienia możecie na nie patrzeć. Kto wie, może i coś odkryjecie. Coś, co okaże się interesujące. Tak. Może tak, a może nie. Nie mogę powiedzieć nic więcej. Znam kilka faktów, których nie zna nikt poza mną i w swoim czasie przekażę je panu. Lecz ponieważ cała sprawa dawno została zamknięta, nie ma to większego znaczenia. Jedno może pomóc w waszym śledztwie. Czytał pan pewnie o oskarżeniu kapitana... nie przypominam sobie w tej chwili jego nazwiska... sądzono go za szpiegostwo, otrzymał wyrok, na który bardzo sobie zasłużył. Zdradził swój kraj. Natomiast Mary Jordan...

- Tak?

- Chce pan dowiedzieć się czegoś o niej. Otóż powiem panu jedno, co, jak wspominałem, może pomóc właściwie ją ocenić. Mary Jordan była... może pan powiedzieć: szpiegiem, ale nie niemieckim. Nie była szpiegiem wrogiego kraju. Niech pan posłucha, mój chłopcze. Nie powinienem pana tak nazywać.

Pan Robinson ściszył głos i pochylając się nad biurkiem szepnął:

- Była jedną z nas.

KSIEGA III

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mary Jordan

- Ależ to wszystko zmienia! - wykrzyknęła Tuppence.
- Tak - zgodził się Tommy. - To był... to był spory szok.
- Dlaczego ci o tym powiedział?
- Nie wiem - odparł Tommy. - Pomyślałem sobie o kilku możliwościach.
- Czy on... jaki on jest? Nic mi nie powiedziałeś.
- Cóż, jest żółty - zaczął Tommy. - Żółty, duży i tłusty i bardzo, bardzo zwyczajny, lecz jednocześnie zupełnie niezwykły, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Jest... jest taki, jak powiedział mój znajomy: dotarł na sam szczyt.
- Zabrzmiało to, jakbyś mówił o piosenkarzu.
- Łatwo przywyknąć do takich określeń.
- No dobrze, ale dlaczego to zrobił? Przecież ujawnił coś, czego nie zamierzał ujawniać.
- Widzisz, to wydarzyło się dawno temu. Skończyło się. Dziś pewnie nie ma znaczenia. Spójrz tylko na wszystkie sprawy, które publikuje się obecnie. Rzeczy nieoficjalne. Niczego się nie wycisza. Wszystko, co się naprawdę wydarzyło, może ujrzeć światło dzienne. To, co ktoś napisał, powiedział, o co się pokłócono, jak coś zatuszowano z przyczyn, których nie, znałaś wcześniej.
- Kiedy tak mówisz, wszystko mi się miesza - powiedziała Tuppence. - I wszystko wydaje się złe.
- Jak to: złe?
- Żle na to patrzyliśmy. Chodzi mi o to... O co właściwie mi chodzi?
- Mów dalej - zachęcił ją Tommy. - Na pewno wiesz, o co ci chodzi.
- Przecież powiedziałam: wszystko jest złe. Znaleźliśmy wiadomość w *Czarnej strzale*, która wydawała się dość jasna. Napisał ją prawdopodobnie Alexander. Oznaczała, że ktoś, według chłopca jedno z nas - to znaczy on napisał "nas", myśląc o kimś z rodziny lub mieszkańców domu - doprowadził do śmierci Mary Jordan. Nie wiedzieliśmy, kim była Mary Jordan, co uniemożliwiało rozwiązanie problemu.
- Bóg wie, jak bardzo - przytaknął Tommy.
- Tobie nie sprawiło to tylu kłopotów, ile mnie. Mnie kompletnie zbiło z tropu. Nie dowiedziałam się o niej niczego. Przynajmniej...
- Dowiedziałas się, że była niemieckim szpiegiem.
- Takie było powszechne przekonanie, a ja uznałam, że jest słuszne. Natomiast teraz...
- Tak. teraz wiemy, że nie. Była przeciwieństwem niemieckiego szpiega.

- Czyli angielskim szpiegiem.

- Musiała pracować dla wywiadu albo służb bezpieczeństwa. Przyjechała tutaj, by coś odkryć. Żeby dowiedzieć się czegoś o... o... jakże on się nazywał? Chciałbym mieć lepszą pamięć do nazwisk. Mówię o oficerze marynarki czy armii, kimkolwiek był. Tym, co sprzedał tajną dokumentację łodzi podwodnej. Pewnie było tu kilku niemieckich szpiegów, tak jak w N czy M, zajętych wiadomymi sprawami.

- Na to wygląda.

- A ją przypuszczalnie przysłano tu, by odkryła całą aferę.

- Tak.

- Więc "jedno z nas" nie oznacza tego, co sądziliśmy. To musiał być ktoś z sąsiedztwa. Ktoś, kto był w jakiś sposób związany z tym domem lub znalazł się w nim z jakiejś szczególnej okazji. Nie zmarła z przyczyn naturalnych, gdyż ktoś domyślił się, czym się zajmowała. A to z kolei odkrył Alexander.

- Może udawała szpiega - podsunęła Tuppence - niemieckiego, oczywiście. Zaprzyjaźniła się z kapitanem.

- Nazywaj go kapitanem X, jeśli nie pamiętasz jego nazwiska - zaproponował Tommy. - Mieszkał tu również agent obcego wywiadu. Szef wielkiej organizacji. W domku bliżej zatoki, jak sądzę. Pisał propagandowe ulotki i twierdził, że najlepszym planem dla nas byłoby przyłączenie się do Niemiec.

- Wszystko mi się myli - powiedziała Tuppence. - Plany, tajne dokumenty, spiski i szpiegdy - to wszystko mi się miesza. Cóż, w każdym razie szukaliśmy w niewłaściwych miejscach.

- Niezupełnie - zaprzeczył Tommy. - Wcale tak nie uważam.

- A to dlaczego?

- Ponieważ jeśli Mary Jordan przyjechała tu, by coś odkryć i jeżeli rzeczywiście dowiedziała się czegoś, wówczas oni - mówię o kapitanie X i innych, bo musieli być jeszcze jacyś inni - odkrywszy, co takiego ona odkryła...

- Przestań mi mieszać w głowie - przerwała mu Tuppence. - Kiedy mówisz w ten sposób, wszystko mi się myli. No dobrze, co dalej?

- Kiedy dowiedzieli się, że ona odkryła ich tajemnicę, musieli...

- Ją uciszyć - dokończyła Tuppence.

- Teraz to brzmi jak Phillips Oppenheim, a on żył przed tysiąc dziewięćset czternastym - zauważył Tommy.

- Musieli uciszyć Mary Jordan, zanim powie, co odkryła.

- Na pewno chodziło o coś więcej. Może dotarła do czegoś ważnego. Jakichś papierów czy dokumentów. Listów, które należało komuś przesłać pocztą lub przekazać osobiście.

- Tak. Rozumiem. Musimy rozejrzeć się wśród najróżniejszych ludzi. Jeśli jednak ona jedna umarła, ponieważ ktoś pomylił warzywa, nie rozumiem, dlaczego Alexander napisał

“jedno z nas”. To nie mógł być nikt z jego rodziny.

- Właśnie że mógł - nie zgodził się Tommy. - To wcale nie musiał być mieszkaniec domu. Łatwo wybrać liście wyglądające podobnie, zebrać je w jeden pęk i zabrać do kuchni. Nie były naprawdę, mówię: naprawdę zabójcze. Po prostu po posiłku wszyscy poczuli się źle, wezwali lekarza, ten sprawdził, co jedli i uświadomił sobie, że ktoś pomylił warzywa. Nie pomyślał, że zrobiono to celowo.

- Lecz w takim wypadku wszyscy by umarli - zauważyła Tuppence. - Lub wszyscy rozchorowaliby się, lecz nikt by nie umarł.

- Niekoniecznie - powiedział Tommy. - Przypuśćmy, że chciano, by zmarła konkretna osoba. Mary Jordan. Zamierzali podać jej truciznę w koktajlu przed lunchem lub obiadem albo w kawie po posiłku. Digitalis czy tojad, co tam zawiera naparstnica.

- Tojad jest w mordowniku - zaprotestowała Tuppence.

- Nie wymądrzaj się - odparł Tommy. - Rzecz w tym, że przez oczywisty błąd każdy dostaje umiarkowaną dawkę trucizny i rozchorowuje się, a jedna osoba umiera. Nie rozumiesz, że takie rzeczy po prostu się zdarzają: pewnego dnia wszyscy zachorowali po posiłku - lunchu czy obiedzie, sprawę zbadano i odkryto pomyłkę. Ludzie zjadają muchomory zamiast pieczarek, dzieci jedzą trujące wilcze jagody, ponieważ wyglądają jak owoce. To tylko błąd, możesz rozchorować się, lecz nie umrzeć. A skoro ktoś jednak umiera, przyjmuje się, że musiał być szczególnie wrażliwy na truciznę. Widzisz, wypadek przypisano by pomyłce i nikt nie sprawdzałby, nawet by nie podejrzewał, że stało się to w trochę inny sposób...

- Może rozchorowała się jak inni, a następnego ranka podano jej naprawdę śmiertelną dawkę trucizny w herbacie - podsunęła Tuppence.

- Zapewne masz już kilka teorii.

- Tak, kiedy mowa o tej części sprawy - przyznała Tuppence. - Ale co z resztą? To znaczy kto, co i dlaczego? Kim było “jedno z nas”? Zaczniemy lepiej mówić “jedno z nich”. Kto miał okazję, by to zrobić? Ktoś, kto się tu zatrzymał, jakiś przyjaciel rodziny? A może ludzie, którzy przywieźli ze sobą list, i to sfałszowany, od przyjaciół rodziny? “Bądźcie mili dla mojego znajomego, pana czy pani Murrayowej Wilson, która chce się tu zatrzymać. Bardzo chciałaby obejrzeć wasz śliczny ogród”. Łatwo coś takiego spreparować.

- Tak.

- A w takim wypadku w tym domu może nadal jest coś, co wyjaśnia, dlaczego dzisiaj i wczoraj przydarzyło mi się to, co się przydarzyło.

- A co przydarzyło ci się wczoraj, Tuppence?

- Od tego okropnego wózka odpadły koła, kiedy zjeżdżałam z górki i wywróciłam się prosto w krzaki araukarii. To mógł być bardzo poważny wypadek. Ten głupi stary Izaak powinien był sprawdzić, czy zabawka jest bezpieczna. Powiedział, że sprawdził. Mówił mi, że wszystko jest w porządku.

- A nie było?

- Nie. Później stwierdził, że według niego ktoś musiał bawić się wózkami i obluźować koła tak, że odpadły.

- Czy wiesz, Tuppence, że to już po raz drugi lub trzeci coś nam się tutaj przydarza? Ja zostałem niemal znokautowany przez książki w bibliotece.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś próbuje się nas pozbyć? Lecz to oznaczałoby...

- To by oznaczało, że coś tu musi być - dokończył Tommy. - Tu, w naszym domu.

Tommy spojrział na Tuppence, a Tuppence na niego. Była to dobra chwila na zastanowienie się. Tuppence ze trzy razy otwierała usta, lecz za każdym razem powstrzymywała się. marszczyła czoło i ponownie pograżała się w myślach. To Tommy przerwał ciszę.

- Co o tym myślał? Co mówił o Ukochanym? Pytam o starego Izaaka.

- Że tego właśnie można się było spodziewać i że wózek rozpadał się ze starości.

- Ale powiedział, że ktoś przy nim majstrował?

- Tak - potwierdziła Tuppence - i to na pewno. Powiedział: "No, dzieciaki się nim bawiły. Lubią odkręcać koła, małpiszony". Ja nikogo nie widziałam. Ale na pewno dopilnowali, bym ich nie przyłapała. Pewnie czekali, aż wyjdę z domu. Spytałam Izaaka, czy sądzi, że to była czysta złośliwość.

- I co?

- Nie wiedział, co powiedzieć.

- To mogła być złośliwość - przyznał Tommy. - Ludzie często się tak zachowują.

- Czy usiłujesz mi wmówić, że ktoś przewidział, iż będę bawiła się wózkami, że odpadnie koło i zabawka rozpadnie się na kawałki? Przecież to absurd, Tommy.

- Brzmi absurdalnie - zgodził się Tommy - ale czasami absurd okazuje się prawdą. To zależy, gdzie, jak i dlaczego coś się wydarza.

- Nie widzę tu żadnego "dlaczego".

- Pomyśl o najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniu - zaproponował Tommy.

- Co masz na myśli, mówiąc "najbardziej prawdopodobnym"?

- Może ktoś chce, żebyśmy stąd wyjechali.

- Dlaczego? Jeśli ktoś chce kupić nasz dom, może złożyć ofertę.

- Oczywiście.

- To ciekawe: o ile wiem, nikt nie chciał tego domu prócz nas. To znaczy, nikt nie oglądał go równocześnie z nami. Jakby powszechnie uważano, że cena jest niska dlatego, że posiadłość jest bardzo stara i wymaga ogromnego remontu.

- Nie wierzę, że ktoś chce się nas pozbyć. Może byłaś zbyt wścibska, zadawałaś za dużo pytań i wypisywałaś tajemnicze informacje z książek.

- Chodzi ci o to, że robię zamieszanie tam, gdzie nikt sobie tego nie życzy?

- Mniej więcej - przyznał Tommy. - Gdybyśmy mieli nagle dojść do wniosku, że dom przestał nam się podobać, wystawili go na sprzedaż i wyjechali, wszystko byłoby w porządku.

Ktoś byłby usatysfakcjonowany. Nie sędzę, że oni...

- Kogo masz na myśli?

- Nie mam pojęcia - odparł Tommy. - Dojdziemy do "nich" później. Po prostu jacyś "oni". Z jednej strony stoimy "my", z drugiej "oni". Musimy ich odszukać.

- A co z Izaakiem?

- Co masz na myśli?

- Nie wiem. Zastanawiałam się tylko, czy jest w to zamieszany.

- Jest bardzo stary, mieszka tu od dawna i trochę wie. Uważasz, że obluźowałby koła Ukochanego, gdyby ktoś podsunął mu pięciofuntowy banknot?

- Nie - odparła Tuppence. - Na to jest za mało inteligentny.

- To nie wymagało inteligencji. Potrzebowałby jej tylko po to, by przyjąć pieniądze i wyjąć parę śrubek lub złamać kilka drewniaków tu i tam tak, by twój następny zjazd ze wzgórz skończył się tragicznie.

- Opowiadasz bzdury - stwierdziła Tuppence.

- Sama mówiłaś to samo.

- Tak, ale moje pomysły pasowały do sytuacji - powiedziała Tuppence. - Do tego, co usłyszeliśmy.

- Cóż, biorąc pod uwagę wynik mojego dochodzenia lub badań, jakkolwiek nazwiesz to, czym się zajmowałem, najwyraźniej dowiedzieliśmy się rzeczy nie całkiem zgodnych z prawdą.

- Powtarzasz to, co sama mówiłam przed chwilą: że wszystko zostało postawione na głowie. Teraz wiemy, że Mary Jordan nie była obcym agentem. Zjawiała się tu w konkretnym celu. Być może go osiągnęła.

- W takim razie, spróbujmy wszystko poukładać od nowa i dopasować do tej informacji - powiedział Tommy. - Miała coś odkryć.

- Najwyraźniej coś o kapitanie X. Musisz dowiedzieć się, jak miał na nazwisko. "Pan X" brzmi okropnie pusto.

- Dobrze, dobrze, przecież wiesz, jakie to trudne.

- Odkryła coś i przekazała to swoim przełożonym - mówiła Tuppence. - Być może ktoś otworzył list.

- Jaki list? - zdziwił się Tommy.

- List, jaki napisała do kogoś, kto był jej "kontaktem".

- A tak.

- Sędzisz, że to był jej ojciec lub dziadek?

- Raczej nie - odparł Tommy. - Chyba nie załatwiano takich spraw w ten sposób. Może po prostu sama wybrała lub wybrano za nią nazwisko Jordan, ponieważ z niczym się nie kojarzyło. Byłoby inaczej, gdyby choć po części była Niemką. Może nosiła je wcześniej, pracując dla nas, nie dla nich.

- Dla nas, nie dla nich - zgodziła się Tuppence - za granicą.

- A przyjechała tu jako kto?

- Och, nie wiem. Będziemy musieli zacząć od początku, szukając i tego... W każdym razie przyjechała, odkryła coś i albo przekazała to dalej, albo nie. Nie musiała pisać listu. Mogła pojechać do Londynu i osobiście złożyć raport. Na przykład umówić się na spotkanie w Regent's Park.

- Zwykle dzieje się odwrotnie, prawda? - powiedział Tommy. - To znaczy, najpierw spotykasz kogoś z ambasady, dla której pracujesz, dopiero potem umawiacie się w Regent's Park i...

- Czasami chowa się coś w dziupli drzewa. Naprawdę sądzisz, że tak się to stało? Brzmi nieprawdopodobnie. Przypomina raczej historię dwojga zakochanych, którzy przekazują sobie listy miłosne.

- Jestem pewien, że to, co napisała, mogło wyglądać jak list miłosny, a w rzeczywistości zawierało zaszyfrowaną informację.

- Wspaniały pomysł - oceniła Tuppence. - Tyle że... Och, to było tak dawno temu! Ciężko dojść dokądkolwiek. Im więcej wiesz, tym mniej masz z tego pożytku. Ale nie zatrzymamy się, prawda, Tommy?

- Ani na chwilę - odparł i westchnął.

- Wolałbyś, żeby tak się stało? - zapytała Tuppence.

- Prawie. Tak. Na ile mogę przewidzieć...

- Cóż - przerwała mu - nie wyobrażam sobie, żebyś mógł porzucić trop. I byłoby bardzo trudno mnie od niego oderwać. Nadal myślałabym o tym i martwiła się. Prędzej zrezygnowałabym z jedzenia.

- Rzecz w tym... właściwie wiemy, od czego wszystko się zaczęło: od wywiadu. Szpieg wrogiego państwa zmierzał do konkretnego celu, który został częściowo osiągnięty. Nie do końca. Nie wiemy jednak... nie wiemy, kto był w to zamieszany. Z punktu widzenia wroga. To znaczy, że jacyś ludzie pracowali tu, może nawet w siłach obronnych. Byli zdrajcami, ale ich zadanie polegało na tym, by wyglądać na lojalnych poddanych państwa.

- Tak, z tym się zgodzę - przyznała Tuppence. - To wydaje się bardzo prawdopodobne.

- A zadanie Mary Jordan polegało na skontaktowaniu się z nimi.

- Z kapitanem X?

- Tak, albo z jego znajomymi. Miała odkryć spisek. A żeby to zrobić, musiała tu przyjechać.

- To znaczy, że Parkinsonowie - wracamy do nich, zanim się spostrzeżemy - byli w to zamieszani? Współpracowali z wrogiem?

- Mało prawdopodobne - odrzekł Tommy.

- W takim razie nie rozumiem, co to wszystko znaczy.

- Może miał z tym coś wspólnego nasz dom - podsunął Tommy.

- Dom? Przecież mieszkali w nim różni ludzie.
- Tak, ale chyba nie byli podobni do... do ciebie, Tuppence.
- Co masz na myśli?

- Nie uwielbiali starych książek, nie przeglądali ich W poszukiwaniu tajemnic. Nie byli mangustami. Po prostu zamieszkali tu, a pokoje z książkami na piętrze oddali służbie i nigdy tam nie zaglądali. Może gdzieś coś ukryto. Może zrobiła to Mary Jordan. Tak, żeby potem przekazać przesyłkę komuś, kto po nią przyjdzie, albo żeby sama mogła wyjąć ją, jadąc pod wymyślonym pretekstem do Londynu. Na przykład wybierając się do dentysty. Albo by odwiedzić starą przyjaciółkę. To dość łatwe. Schowała coś, co zdobyła lub czego się dowiedziała.

- Według ciebie tego już tu nie ma?

- Nie sądzę - odparł Tommy. - Choć nigdy nie wiadomo. Może ktoś boi się, że przesyłka nadal tu jest - w domu lub gdzieś na zewnątrz, że my ją znajdziemy lub nawet już znaleźliśmy. Dlatego chce nas stąd wyrzucić. Musi zdobyć to, czego bezskutecznie szukał przez minione lata.

- Och, Tommy, sprawa robi się coraz bardziej ekscytująca. prawda? - zawołała Tuppence.

- To tylko przypuszczenia - zastrzegł Tommy.

- Nie wylewaj mi kubła zimnej wody na głowę. Mam zamiar przeszukać cały dom i wszystko wokół.

- Chcesz przekopać ogród warzywny?

- Nie. Sprawdzę kredensy, piwnice. Kto wie? Och, Tommy!

- Och, Tuppence! Właśnie gdy planowaliśmy wspaniałą, spokojną starość.

- Nie ma spokoju dla emerytów - powiedziała Tuppence radośnie. - Dobry pomysł - dodała.

- To znaczy co?

- Muszę porozmawiać z kilkoma emerytami w ich klubie. Nie myślałam o nich do tej pory.

- Na litość boską, uważaj na siebie - ostrzegł Tommy. - Chyba lepiej zostanę w domu i będę miał cię na oku. Choć powinienem pojechać jutro do Londynu i coś jeszcze posprawdzać.

- Ja sprawdzę coś tutaj - zdecydowała Tuppence.

ROZDZIAŁ DRUGI

Tuppence prowadzi dochodzenie

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, zjawiając się bez zapowiedzi? - spytała Tuppence. - Pomyślałam, że lepiej najpierw zadzwonić, na wypadek gdyby pani wyszła albo była zajęta. Ale nie mam żadnej ważnej sprawy, więc mogę zaraz sobie pójść. Proszę nie obawiać się, że zrani pani moje uczucia.

- Ależ ja bardzo się cieszę, że panią widzę - odparła pani Griffin.

Usiadła wygodniej, przesuwając się kilka centymetrów w tył krzesła i z wyraźną sympatią spojrzała na podnieconą twarz Tuppence.

- To wielka przyjemność, kiedy w naszej wiosce osiedla się ktoś nowy. Przywykliśmy już do swoich sąsiadów, a nowa twarz, a raczej dwie twarze, jeśli mogę tak powiedzieć, są prawdziwą gratką. Wręcz uczta! Mam nadzieję, że kiedyś przyjdą państwo do mnie na obiad. Tylko nie wiem, o której godzinie wraca pani mąż. Prawie codziennie jeździ do Londynu, prawda?

- Tak - odparła Tuppence. - To bardzo miło z pani strony. Chciałabym, żeby obejrzała pani nasz dom, kiedy go wreszcie wyremontujemy. Wciąż wydaje mi się, że naprawy zaraz się skończą, ale wcale tak się nie dzieje.

- Takie już są domy - zauważyła pani Griffin. Tuppence wiedziała z własnych źródeł, to znaczy od kobiet przychodzących sprzątać, starego Izaaka,

Gwendy z poczty i mnóstwa innych ludzi, że pani Griffin ma dziewięćdziesiąt cztery lata. Wyprostowana postawa, którą lubiła przyjmować ze względu na reumatyczne bóle krzyża i kłopoty z chodzeniem sprawiała, że wyglądała młodziej. Mimo pomarszczonej twarzy, jej natapirowane białe włosy obwiązane koronkowym szalem przypominały Tuppence dwie cioteczne babki z przeszłości. Nosiła dwuogniskowe szkła i aparat słuchowy, z którego czasem, choć z tego, co zauważyła Tuppence, bardzo rzadko, musiała korzystać. Wydawała się żwawa i zdolna dożyć stu, a nawet stu dziesięciu lat.

- Co pani porabiała ostatnio? - spytała pani Griffin. - Zdaje się, że pozbyła się już pani elektryków? Tak mi mówiła Dorothy. To znaczy pani Rogers. Kiedyś pracowała u mnie jako pokojówka, a teraz przychodzi sprzątać dwa razy w tygodniu.

- Tak. dzięki Bogu. Wciąż wpadałam w dziury, jakie wszędzie wiercili. To może zabrzmie głupio, ale zastanawiałam się... pewnie pani też uzna to za głupie... otóż trochę szperałam wśród starych książek. Kupiliśmy je razem z domem. Przeważnie książki dla dzieci sprzed wielu lat. ale znalazłam kilka ulubionych.

- Wiem, jak bardzo musiała się pani ucieszyć, mogąc do nich wrócić. Na przykład do

Więźnia na zamku Zenda. Czytała go moja babka. Sama to kiedyś czytałam. Bardzo miła książka. Romantyczna. To chyba pierwszy romans, jaki pozwala się przeczytać dziecku. Nie zachęcano nas do czytania powieści. Ani moja matka, ani babka nie aprobowały czytania powieści przed południem. Nazywano je romansidłami. Można było przeczytać na przykład książkę historyczną lub coś poważnego, lecz powieści przynosiły tylko przyjemność i dlatego należało je czytać po południu.

- Wiem - powiedziała Tuppence. - Znalazłam wiele książek, które chciałam ponownie przeczytać. Choćby dziełka pani Molesworth.

- *Pokój z gobelinem?* - podchwyciła z natychmiastowym zrozumieniem pani Griffin.

- Tak. To jedna z moich ulubionych książek.

- Zawsze wolałam *Farmę Czterech Wiatrów*- stwierdziła pani Griffin.

- Ją też kupiliśmy. I kilku innych autorów. Dotarłam do najniższej półki. Przydarzył się jej wypadek. To znaczy, ktoś musiał w nią uderzyć. Chyba kiedy przesuwano meble. Powstała dziura, z której wyjęłam trochę starych szpargałów. Przeważnie podarte książki, między którymi znalazłam to.

Wyjęła paczkę luźno owiniętą w brązowy papier.

- To pamiętnik - powiedziała. - Staromodny sztambuch. W środku jest pani nazwisko. Kiedyś mówiła mi pani, że nazywała się Winifred Morrison, prawda?

- Wszystko się zgadza, moja droga.

- Jest pani w tym pamiętniku. Pomyślałam, że może to panią rozbawi. A może są tam jeszcze nazwiska dawnych przyjaciół, które sprawią pani przyjemność.

- Bardzo to miłe z twojej strony, kochanie. Z chęcią go obejrzę. Rzeczy z przeszłości wydają się bardzo zabawne na starość. To naprawdę miłe, że pomyślałaś o mnie.

- Trochę wyblakł, podarł się i zniszczył - zauważyła Tuppence, podając album.

- Rzeczywiście. Cóż, kiedy byłam dzieckiem, każdy miał swój sztambuch. Później już nie. To chyba jeden z ostatnich. Wszystkie dziewczęta z mojej szkoły miały taką książeczkę. Wpisywałyśmy się do pamiętników przyjaciółek, a one do naszych.

Wzięła album od Tuppence, otworzyła i zaczęła przeglądać poszczególne strony.

- Och, mój Boże! Wracam do dawnych czasów. Tak, rzeczywiście. Helen Gilbert, no tak. I Daisy Sherfield. Sherfield, pamiętam ją. Musiała nosić aparat na zębach. Nazywano go chyba klamrami. Ciągłe go wyjmowała. Mówiła, że nie może z nim wytrzymać. Edie Crone, Margaret Dickson. Większość z nich miała ładny charakter pisma. Lepszy niż dzisiejsze dziewczęta. Zupełnie nie potrafię odczytać listów od mojej bratanicy. Jej pismo przypomina hieroglify. Większości słów mogę się tylko domyślać. Mollie Short. Tak. jąkała się. Przypomina mi się cała przeszłość.

- Chyba nie zostało ich wiele, to znaczy... - Tuppence urwała, bojąc się, że popełni nietakt.

- Pewnie myślisz, że większość już nie żyje, moja droga. Cóż, masz rację. Większość

umarła, ale nie wszyscy. Żyje jeszcze sporo osób, z którymi łączyło mnie... powiedzmy, wspólne dzieciństwo. Nie mieszkają tutaj, ponieważ ówczesne dziewczęta na ogół wychodziły za mąż i przeprowadzały się. Ich mężowie albo służyli w wojsku i stacjonowali za granicą, albo pracowali w innych miastach. Moje dwie najstarsze koleżanki mieszkają w Northumberland. Tak, ten sztambuch jest bardzo interesujący.

- Czy Parkinsonowie już tu wtedy nie mieszkali? Nigdzie nie widzę ich nazwiska.

- Och, nie. Pamiętnik pochodzi z późniejszych czasów. Chce pani dowiedzieć się czegoś o Parkinsonach?

- Właściwie to czysta ciekawość - odparła Tuppence. - Nic więcej. Kiedy przeglądałam stare rzeczy, zaciekawiał mnie ich chłopiec, Alexander Parkinson, a kiedy kilka dni temu spacerowałam po cmentarzu, zauważyłam, że zmarł młodo i to mnie zastanowiło.

- Rzeczywiście, młodo umarł - powiedziała pani Griffin. - Każdy uważał, że to smutne. Był bardzo inteligentny i wszyscy przepowiadali mu świetną przyszłość. Nie zmarł w wyniku jakiejś choroby, chyba zatrzał się w czasie pikniku. Tak mówiła mi pani Henderson. Dobrze pamięta Parkinsonów.

- Pani Henderson? - Tuppence podniosła wzrok.

- Nie zna jej pani. Mieszka w domu opieki, który nazywa się Meadowside. To jakieś dwanaście, piętnaście mil stąd. Powinna się pani do niej wybrać. Może wiele opowiedzieć o domu, który kupiliście. Wtedy nazywał się Jaskółcze Gniazdo. Dzisiaj ma chyba inną nazwę?

- Wawrzyny.

- Pani Henderson jest starsza ode mnie, choć sama była najmłodszym dzieckiem w całkiem licznej rodzinie. Niegdyś pracowała jako guwernantka. Potem została pielęgniarką i damą do towarzystwa pani Beddingfield, właścicielki Jaskółczego Gniazda, to znaczy Wawrzynów. Bardzo lubi opowiadać o starych czasach. Naprawdę powinna ją pani odwiedzić.

- Chyba nic chciałaby...

- Ależ jestem pewna, że chciałaby. Proszę do niej pojechać. Niech pani jej powie, że ja to zaproponowałam. Pamięta mnie i moją siostrę Rosemary. Sama ją czasem odwiedzam, choć nie przez ostatnie lata, bo nie bardzo mogę się poruszać. Może też pani pojechać do pani Hendley. Mieszka w... jak to się teraz nazywa? Chyba Dom Pod Jabłonią. To też dom opieki. Niezupełnie tej samej klasy, ale jest dobrze prowadzony, a pensjonariusze sporo plotkują. Na pewno ucieszą się z odwiedzin. Wie pani, wizyty przełamują monotonię.

ROZDZIAŁ TRZECI

Tommy i Tuppence porównują notatki

- Wyglądasz na zmęczoną - zauważył Tommy. kiedy po obiedzie przenieśli się do saloniku, gdzie Tuppence opadła na fotel, wzdychając kilkakrotnie i na koniec ziewając.

- Zmęczona? Konam ze zmęczenia. - Co robiłaś? Mam nadzieję, że nie pracowałaś w ogrodzie?

- Nie przepracowałam się fizycznie - powiedziała chłodno Tuppence. - Robiłam to, co ty. Zastanawiałam się.

- To też wyczerpuje - zauważył Tommy. - Nad czym konkretnie? Przedwczoraj nie dowiedziałaś się zbyt wiele od pani Griffin, jak sądzę?

- Wręcz przeciwnie. Nie dowiedziałam się wiele od pierwszej osoby, którą mi poleciła. Choć w pewnym sensie całkiem sporo.

Otworzyła torebkę, zaczęła szarpać się ze sporych rozmiarów notesem, który wreszcie wyjęła.

- Za każdym razem robiłam sobie notatki. Zabrałam też ze sobą jedną z kart dań.

- I co to dato?

- Nie zapisywałam tu nazwisk, a raczej rzeczy, które mi mówiono. Wszyscy przejęli się widokiem starego menu. Najwyraźniej chodziło o jeden szczególny obiad, podczas którego goście bawili się świetnie, a jedzenie było wyśmienite. Takich potraw nie jedli wcześniej i prawdopodobnie po raz pierwszy próbowali sałatki z homarów. Słyszeli, że podaje się ją po pieczystym w najbogatszych i najbardziej wytwornych domach.

- To nie budzi wielkich nadziei - zauważył Tommy.

- Ależ tak. Dzięki temu, jak mówili, zawsze będą pamiętać tamten wieczór. Spytałam, dlaczego, a oni odpowiadali, że przez spis ludności.

- Co takiego?

- Na pewno wiesz, czym jest spis. Sami przechodziliśmy przez to w zeszłym roku. A może dwa lata temu? Pamiętasz, każdy musiał podpisać się albo złożyć ustne zeznanie. Trzeba było spisać nazwiska wszystkich, którzy danej nocy spali pod naszym dachem. Przecież wiesz. Kto spał u państwa piętnastego listopada? Albo sam spisujesz nazwiska, albo robią to twoi goście. Zapomniałam już. W każdym razie, tamtego dnia przeprowadzano spis ludności i trzeba było powiedzieć, kto śpi w Wawrzynach. Na przyjęciu było mnóstwo osób i wszyscy rozmawiali o spisie. Mówiono, że to bardzo niesprawiedliwe i głupie, że powinno się z tym skończyć, gdyż trzeba było podawać zbyt intymne szczegóły: że ma się dzieci i męża albo że nie ma się męża, ale ma się dzieci. Trudno było to uznać za przyjemne, zwłaszcza w tamtych

czasach. Każdy był poirytowany. Nie chodziło im o poprzednie spisy, wcześniej nikt się nimi nie przejmował. Po prostu przeprowadzano je i już.

- Ten spis mógłby się nam przydać, gdybyś znała dokładną datę - zauważył Tommy.

- To znaczy, że mógłbyś odszukać go w archiwum?

- Oczywiście. Wystarczy znać odpowiednich ludzi.

- Moi rozmówcy pamiętali Mary Jordan. Wydawała się miłą dziewczyną i wszyscy ją lubili. Nigdy nie uwierzyliby, że... Wiesz, jak to się mówi. Podobno była pół-Niemką i ci, którzy ją zatrudnili, powinni byli zachować większą ostrożność.

Tuppence odstawiła filiżankę po kawie i oparła się wygodnie.

- Dowiedziałas się czegoś konkretnego? - spytał Tommy.

- Raczej nie, chociaż... Cóż, ci starszycy coś tam wiedzieli. Większość słyszała od starszych krewnych. Opowieści o tym, gdzie coś schowano lub znaleziono. Ponoć w jakiejś chińskiej wazie ukryto testament. Schowano też coś w Oksfordzie czy w Cambridge, choć nie rozumiem, jak można by tam cokolwiek ukryć.

- Może czyjś bratanek tam studiował - podsunął Tommy - i zabrał coś ze sobą na uczelnię.

- Możliwe, ale mało prawdopodobne.

- Czy ktoś mówił coś konkretnego o Mary Jordan?

- Tylko plotki. Nikt nie miał dowodów, że była niemieckim szpiegiem. Słyszeli o niej od swoich babć, ciotek, siostr, kuzynów albo przyjaciela wuja Johna, który służył w marynarce i wiedział wszystko.

- Czy wspominali, jak Mary Jordan zmarła?

- Przypisywali jej śmierć pomyleniu liści naparstnicy ze szpinakiem. Ponoć wszyscy wyzdrowieli, oprócz niej.

- To ciekawe - ocenił Tommy. - Ta sama historia, ale z innego punktu widzenia.

- Każdy tłumaczył to sobie po swojemu - powiedziała Tuppence. - Kobieta imieniem Bessie powiedziała mi tak: "Opowiadała mi o tym babka, a to wydarzyło się oczywiście całe lata przed nią, więc na pewno pomyliła szczegóły. Jak zwykle". Wiesz, kiedy wszyscy mówią naraz, wszystko się miesza. Rozmawialiśmy o szpiegach, truciznach podanych w czasie pikniku... Nie mogłam dopytać się o konkretne daty, bo przecież nikt nie wie, kiedy dokładnie wydarzyła się historia, którą opowiada ci babka. Jeżeli mówi "Miałam wtedy zaledwie szesnaście lat i byłam okropnie podekscytowana", to i tak nie wiadomo, ile lat miała naprawdę. Teraz zapewne twierdzi, że ma dziewięćdziesiąt, bo przekroczywszy osiemdziesiątkę każdy woli udawać, że jest jeszcze starszy. Natomiast jeśli babcia ma dopiero siedemdziesiąt lat, powie, że ma pięćdziesiąt dwa.

- Mary Jordan nie zmarła naturalną śmiercią - Tommy z namysłem powtórzył cytaty. - Tak podejrzewał chłopiec. Ciekawe, czy wspomniał o tym policji.

- Mówisz o Aleksandrze?

- Tak. Może mówił za dużo. I musiał umrzeć.

- Sporo od niego zależy, prawda? Wiemy, kiedy zmarł, data jest na jego nagrobku. Nie wiemy jednak nic o dacie i okolicznościach śmierci Mary Jordan.

- W końcu się dowiemy - powiedział Tommy.

- Zrób listę nazwisk i dat, o których słyszałaś. Zdziwisz się. Zdziwisz, ile można sprawdzić, rozpytując tu i tam.

- Musisz mieć sporo pożytecznych znajomych - stwierdziła z zazdrością Tuppence.

- Tak jak ty - powiedział Tommy.

- Nie ja.

- Ależ tak. Potrafisz zmusić ludzi do działania. Odwiedzasz starszą panią i przynosisz jej pamiętnik. A potem słyszę, że poznałaś mnóstwo ludzi z domu opieki i wiesz, co wydarzyło się w czasach ich ciotecznych babek, prababek, wuja Johna, ojców chrzestnych, a nawet starego admirała, który opowiadał o wywiadzie. Kiedy uda nam się ustalić kilka dat i wyjaśnić parę spraw, być może, kto wic, coś wreszcie odkryjemy?

- Zastanawiam się, o jakich studentach wspominało. Z Oksfordu czy Cambridge? Wiesz, ci, którzy mieli coś ukryć.

- Nie wyglądają mi na agentów wywiadu - zauważył Tommy.

- Ani mnie - zgodziła się Tuppence.

- Do tego lekarze i starzy duchowni. Można ich chyba sprawdzić, choć nie widzę, dokąd to może nas zaprowadzić. To sprawy, zbyt odległe. Nie docieramy do sedna. Nie wiemy... Czy ktoś robił ci jeszcze jakieś dowcipy?

- Pytasz, czy ktoś próbował odebrać mi życie w ciągu ostatnich dwóch dni? Nie. Nikt nie zaprosił mnie na piknik, hamulce w samochodzie działają, w szopie stoi słoik ze środkiem chwastobójczym, ale nikt go jeszcze nie otwierał.

- Izaak trzyma go pod ręką, na wypadek, gdybyś pewnego dnia przyszła z kanapkami.

- Biedny Izaak - powiedziała Tuppence. - Nie mów nic przeciw niemu. Staje się jednym z moich najlepszych przyjaciół. Ale przypomniawszy mi...

- Co takiego?

- Nie pamiętam - stwierdziła Tuppence, mrużąc oczy.

- Coś mi się przypomniało, kiedy mówiłeś o starym Izaaku.

- O mój Boże - powiedział Tommy i westchnął.

- Podobno pewna staruszka co noc zawijała osobiste drobiazgi w rękawiczki. Chyba chodziło o kolczyki. To ta, która podejrzewała, że każdy chce ją otruć. Któryś z pensjonariuszy przypomniał sobie, że ktoś chował coś w puszcze na dary. No wiesz, w porcelanowej szkatułce na datki na bezdomne i porzucone dzieci. Taka była na niej nalepka. Lecz puszka wcale nie służyła do tych celów. Kobieta, o której mowa, kładła tam pięćofuntowe banknoty, żeby odłożyć sobie trochę grosza, a kiedy puszka robiła się pełna, wyjmowała pieniądze, kupowała kolejną, a pierwszą tłukła.

- I, jak przypuszczam, wydawała swoje pięć funtów - powiedział Tommy.

- Na tym chyba polegał cały pomysł - zgodziła się Tuppence. - Moja kuzynka mawiała, że "nikt nie obrabowałby bezdomnych dzieci ani misjonarzy". Gdyby ktoś rozbił taką puszkę, szybko by to zauważono.

- Kiedy sprawdzałaś pokoje na piętrze, nie znalazłaś żadnych kazań wyglądających na okropnie nudne?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Właśnie pomyślałem, że to byłby świetny schowek. Naprawdę nudna książka o teologii. Stara, zawiła, z wyciętym środkiem.

- Nie ma tam nic takiego. Zauważyłabym - odparła Tuppence.

- A przeczytałabyś?

- Oczywiście, że nie.

- No właśnie. Nie przeczytałabyś, po prostu byś ją odrzuciła.

- Korona sukcesu. Tę książkę pamiętam - powiedziała Tuppence. - Znalazłam dwa egzemplarze. Cóż, miejmy nadzieję, że nasze wysiłki zostaną uwieńczone sukcesem.

- Nie wydaje mi się. Kto zabił Mary Jordan? Pewnie któregoś dnia będziemy musieli napisać o tym książkę.

- Jeśli się tego dowiemy - odparta ponuro Tuppence.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Matylda na stole operacyjnym

- Co zamierzasz robić po południu, Tuppence? Pomożesz mi ułożyć listę znanych nam nazwisk i dat?

- Raczej nie - odparła Tuppence. - Już to przerabiałam. Spisywanie informacji to najbardziej wyczerpujące zajęcie pod słońcem. Zresztą i tak wszystko mi się miesza.

- Nie winiłbym za to ciebie. Choć parę błędów rzeczywiście popełniłaś.

- Szkoda, że jesteś dokładniejszy ode mnie. Czasem mnie to bardzo denerwuje.

- Co będziesz robić?

- Nie miałabym nic przeciwko porządnej drzemce. Choć nie, nie zamierzam odpoczywać. Chyba wypatroszę Matyldę.

- Słucham?

- Powiedziałaś, że zamierzam wypatroszyć Matyldę.

- Co się z tobą dzieje? Coraz bardziej skłaniasz się ku przemocy.

- Matyldę, tę z KK.

- Jak to z KK?

- No, z tej szopy, gdzie leżą wszystkie śmieci. Pamiętasz przecież, Matylda to koń na biegunach z dziurą w brzuchu.

- Aha. To znaczy, że chcesz sprawdzić zawartość jej brzucha?

- Taki mam pomysł - przytaknęła Tuppence. - Pomożesz mi?

- Raczej nie.

- Może jednak zechciałbyś mi pomóc?

- Jeśli mnie prosisz, nie mam wyjścia - odparł Tommy, głęboko wzdychając. - Cóż, nie jest to aż tak złe, jak robienie listy. Czy Izaak kręci się gdzieś w pobliżu?

- Nie. Chyba ma wolne popołudnie. Zresztą, przecież nie chcemy, żeby się tu kręcił. Wyciągnęłam już z niego wszystkie informacje.

- Sporo wie - zauważył Tommy z namysłem. - Odkryłem to przedwczoraj. Opowiadał o przeszłości. O rzeczach, których sam nie widział.

- A musi mieć z osiemdziesiąt lat. Jestem pewna.

- Wiem, ale to były naprawdę stare historie.

- Ludzie zawsze wiele słyszą - zauważyła Tuppence. - Lecz nigdy nie wiadomo, czy to prawda. Cóż, chodźmy wypatroszyć Matyldę. Choć może najpierw się przebiorę. W KK jest mnóstwo kurzu i pajęczyn, a musimy pomyszkować w samym środku szopy.

- Mogłabyś poprosić Izaaka, żeby postawił ją do góry nogami. Wtedy łatwiej będzie

dostać się do brzucha.

- Mówisz tak, jakbyś w poprzednim wcieleniu był chirurgiem.

- Bo to przypomina zabieg chirurgiczny. Zamierzamy usunąć obce ciało, co może okazać się niebezpieczne dla zdrowia Matyldy, o ile jeszcze je ma.

- Może pomalujemy ją i bliźniaki Debory będą mogły pohuścić się, kiedy przyjadą tu następnym razem?

- Nasze wnuki mają dosyć własnych zabawek.

- To nie ma znaczenia - odparła Tuppence. - Dzisiaj dzieci nie przepadają za drogimi zabawkami. Bawią się starym sznurkiem, szmacianą lalką albo czymś, co nazywają misiem, a co jest po prostu tobołkiem ze starego dywanika sprzed kominka, z czarnymi guziczkami przyszytymi w miejsce oczu. Dzieci mają własne pojęcie o tym, co jest zabawką.

- Chodźmy już - rzucił Tommy. - Naprzód po Matyldę. Na salę operacyjną.

Przewrócenie Matyldy do pozycji dogodnej do przeprowadzenia operacji nie było zadaniem łatwym. Koń miał swoją wagę. Poza tym był ponabijany gwoździemi, powyginanymi i prezentującymi ostre szpikulce. Tuppence otarła z dłoni kroplę krwi, a Tommy zaklął, kiedy zaczął o gwóźdź swetrem i natychmiast go rozdarł.

- Rozwalmy tego przeklętego konia - rzucił.

- Powinien pójść do pieca wiele lat temu - zgodziła się Tuppence.

Właśnie w tej chwili przyłączył się do nich stary Izaak.

- A to co znowu? - zawołał ze zdziwieniem. - Co wy dwoje wyprawiacie? Czego chcecie od tego starego końskiego truposza? Pomóc wam? Co zamierzacie z nim zrobić? Wystawić na zewnątrz?

- To nie jest konieczne - powiedziała Tuppence.

- Chcemy przewrócić go do góry nogami, żeby dostać się do dziury w brzuchu i powyciągać z niej trochę rzeczy.

- Z dziury, znaczy się? Co za lichy was do tego skłoniło?

- Tak - potwierdziła Tuppence. - To właśnie chcemy zrobić.

- A co myślicie znaleźć w środku?

- Nic prócz śmieci, jak sądzę - wtrącił Tommy.

- Ale byłoby miło, gdyby tu trochę posprzątać - powiedział z powątpiewaniem. - Może będziemy tu trzymać swoje rzeczy. Wie pan, przyrządy sportowe, zestaw do krykieta.

- Kiedyś był tu trawnik do krykieta. Dawno temu. Za czasów pani Faulkner. Tam, gdzie teraz jest ogród różany. Oczywiście, nie miał pełnych rozmiarów.

- Kiedy to było? - spytał Tommy.

- Znaczy się, trawnik? Och, jeszcze zanim tu nastąpiłem. Ludzie zawsze lubią opowiadać, co się dawniej działo, co schowano, dlaczego i kto tego chciał. Same duby smalone i kłamstwa. Choć nie tylko.

- Bardzo mądry z pana człowiek, Izaaku - powiedziała Tuppence - wie pan o

wszystkim. Skąd dowiedział się pan o trawniku do krykieta?

- Stało tu pudło z piłkami. Od lat. Dziś pewnie niewiele z niego zostało.

Tuppence porzuciła Matyldę i przeszła w róg pomieszczenia, gdzie leżało długie drewniane pudło. Z trudem zdjęła pokrywę, przywartą ze starości i odsłoniła jego zawartość: wyblakłą czerwoną i niebieską piłkę i pogięty i spaczony młotek. Resztę pudła wypełniały pajęczyny.

- To może być z czasów pani Faulkner. Ponoć grywała w turniejach.

- Na Wimbledonie? - zapytał ze zdumieniem Tommy.

- Raczej nie, nie sądzę. Nie. W lokalnych rozgrywkach. Kiedyś je tu organizowano.

Widziałem zdjęcia u fotografa...

- U fotografa?

- Aha. W wiosce. Nazywa się Durrance. Znać Durrance'a, co?

- Durrance? - powtórzyła niepewnie Tuppence. - A tak, sprzedaje filmy, prawda?

- Zgadza się. Teraz sklepem nie zarządza stary Durrance. To jego wnuk, ale nie zdziwiłbym się, gdyby okazał się prawnukiem. Sprzedaje głównie pocztówki, kartki świąteczne i urodzinowe. Dawniej robił zdjęcia. Ma ich mnóstwo pochowanych w szufladach. Parę dni temu przyszła do niego jakaś kobieta, szukała zdjęcia swojej prababki. Powiedziała, że miała jakieś, ale podarła je czy spaliła, w każdym razie przepadło i sprawdzała, czy nie został negatyw. Chyba go nie znalazła. Ale w sklepie leży mnóstwo starych albumów.

- Albumy - powtórzyła z zastanowieniem Tuppence.

- Mogę jeszcze jakoś pomóc? - spytał Izaak.

- Proszę nam tylko pomóc z Jane, czy jak ten koń ma na imię.

- Nie Jane ani nie Matylda, jak się wydaje. Nazywano ją Mathilde, nie bez przyczyny.

To pewnie francuskie imię.

- Francuskie albo amerykańskie - zgodził się Tommy.

- Mathilde, Louise. Coś w tym sensie.

- Całkiem dobre miejsce na skrytkę, nie sądzicie? - rzuciła Tuppence, wsadzając rękę do otworu w brzuchu konia. Wyciągnęła zniszczoną gumową piłkę, która niegdyś była czerwono-żółta, lecz teraz składała się z samych dziur. - To pewnie dzieci - stwierdziła. - One zawsze chowają takie rzeczy.

- Jak tylko zobaczą skrytkę - dokończył Izaak. - Ale pewien dżentelmen zwykł chować tu swoje listy, jak słyszałem. Zupełnie jakby to była skrzynka pocztowa.

- Listy? Do kogo?

- Pewnikiem do jakiejś młodej pani. Ale to było, zanim ja tu nastąpiłem - dokończył Izaak, jak zwykle.

- Te wszystkie rzeczy, które wydarzyły się, zanim Izaak tu nastąpił - powiedziała Tuppence, kiedy staruszek, postawiwszy Matyldę do góry nogami, opuścił ich mówiąc, że musi zamknąć okiennice.

Tommy zdjął kurtkę.

- To niesamowite - ciągnęła Tuppence, zasapana, wyciągnawszy brudną i podrapaną rękę z otworu w brzuchu Matyldy - że ktoś zdołał, że w ogóle chciało mu się powsadzać aż tyle rzeczy do środka, i że nikt tego nigdy nie wyjął.

- A po co miałby wyjmować? Komu by się chciało?

- No tak - zgodziła się Tuppence - ale nam się chciało, prawda?

- Tylko dlatego, że nie potrafimy wymyślić sobie nic innego do roboty. Pewnie i tak nic z tego nie wyjdzie. O rany!

- Co się stało? - spytała Tuppence.

- Podrapałem się o coś.

Wyjął delikatnie rękę, poruszał nią i ponownie zanurzył w końskim brzuchu. W nagrodę wyciągnął zrobiony na drutach szalik. Niegdyś stanowił pożywienie dla moli. lecz potem spadł na jeszcze niższy szczebel życia społecznego.

- Odrażające - ocenił Tommy. Tuppence odepchnęła go lekko i sama wsadziła rękę, opierając się o Matyldę i gmerając w jej wnętrznościach.

- Uważaj na gwoździe - ostrzegł Tommy.

- A to co? - powiedziała Tuppence.

Wyjęta swoje znalezisko. Okazało się, że trzyma koło od jakiejś innej dziecięcej zabawki: omnibusu lub furmanki.

- Przypuszczam, że tracimy czas - stwierdziła.

- Ja jestem tego pewien - powiedział Tommy.

- Przynajmniej zrobmy to dokładnie. O Boże, trzy pająki chodzą mi po ręce. Za chwilę pojawi się glista, a ja ich nie cierpię.

- Nie sędzę, żeby w brzuchu Matyldy były jakieś glisty. One lubią drążyć w ziemi. Nie uznałyby Matyldy za dobry pensjonat.

- W każdym razie, chyba robi się przestronniej - powiedziała Tuppence. - O, a to co? O rany, wygląda na poduszkę na igły. Śmiesznie znaleźć coś takiego. Zostało w niej kilka igieł, wszystkie zardzewiałe.

- Pewnie jakieś dziecko nie lubiło szyć - zgadywał Tommy.

- Możliwe.

- Właśnie dotknąłem czegoś, co wygląda mi na książkę - rzucił Tommy.

- To może być coś ważnego. W jakiej części Matyldy?

- Koło ślepej kiszki albo wątroby - stwierdził Tommy profesjonalnym tonem. - Nad prawą przednią nogą. To zupełnie jak prawdziwa operacja! - dodał.

- No dobrze, panie doktorze. Lepiej niech pan to wyciągnie, cokolwiek to jest.

Rzecz nazwana książką, choć z trudem przychodziło uwierzyć, że tym niegdyś była, pochodziła sprzed wielu lat. Kartki były powyrywane i poplamione, a oprawa w strzępach.

- Najwyraźniej mamy tu podręcznik do francuskiego - stwierdził Tommy. Pour les

enfants. Le Petit Precepteur.

- Myślę to samo, co ty - powiedziała Tuppence.

- Jakaś dziewczynka nie chciała odrabiać lekcji z francuskiego. przyszła więc tu i celowo zgubiła książkę, wrzucając ją do Matyldy. Stara dobra Matylda.

- Gdy Matylda stała, jak powinna, dość trudno było włożyć cokolwiek do dziury w jej brzuchu.

- Ale nie dziecku. Miało odpowiedni wzrost. Pewnie ukłękło i wczołgało się pod spód. O, czuję coś śliskiego. Zupełnie jak skóra jakiegoś zwierzęcia.

- Brzmi niezbyt przyjemnie - ocenił Tommy. - Może to zdechły królik?

- Nie ma futra. Niezbyt to miłe. Och, znowu gwóźdź. To chyba wisi na gwoździu. Ma jakiś sznurek albo żyłkę. Dziwne, że dotąd nie zgniło, prawda?

Ostrożnie wyjęła ramię.

- To portfel - powiedziała. - Tak, kiedyś musiał być z całkiem dobrej skóry. Naprawdę dobrej.

- Zobaczmy, co jest w środku, jeśli jest cokolwiek - zaproponował Tommy.

- Coś jest - powiedziała Tuppence. - Może mnóstwo pięciofuntowych banknotów? - dodała z nadzieją.

- Nie nadawałyby się już do użytku. Nie sądzisz, że papier by zgnił?

- Sama nie wiem - odparła Tuppence. - Mnóstwo dziwnych rzeczy potrafi przetrwać długie lata. Wydaje mi się, że pięciofuntowe banknoty robiono dawniej z doskonałego papieru. Cienkiego, ale bardzo trwałego.

- A może jest tam dwudziestofuntowy banknot? Wydalibyśmy go na utrzymanie domu.

- Co? Według mnie albo pieniądze również pochodzą sprzed czasów Izaaka, albo on by je znalazł. Cóż... Pomyśl tylko! Może to sto funtów? Chciałabym, żeby okazało się, że to złote suwereny. Zawsze trzymano je w portmonetkach. Moja cioteczna babka Maria miała dużą portmonetkę pełną suwerenów. Pokazywała je nam, dzieciom. To byt jej majątek, mawiała, na wypadek, gdyby przyszli Francuzi. Chyba chodziło o Francuzów. W każdym razie, chowała je na wypadek katastrofy lub niebezpieczeństwa. Śliczne, grube, złote suwereny. Myślałam wtedy, że byłoby cudowne być dorosłym i mieć portmonetkę pełną złotych suwerenów.

- A kto miałby ci ją dać?

- Nie myślałam, że ktoś mi ją da - odparła Tuppence. - Myślałam, że to się należy każdemu, gdy dorośnie. Wiesz, gdy staniemy się prawdziwymi dorosłymi damami w mantylkach. Tak to wtedy nazywano. Mantylka z futerkiem wokół, a do tego czepek. Miałabym grubą portmonetkę wypchaną suwerenami, a gdyby mój ulubiony wnuk wracał do szkoły, dałabym mu jednego w nagrodę.

- A co z dziewczętami, to znaczy z wnuczkami?

- One raczej nie dostawały suwerenów - powiedziała Tuppence. - Choć babka przysyłała mi czasem połowę pięciofuntowego banknotu.

- Połowę? Nie na wiele się przydawała.
- Wręcz przeciwnie. Darła banknot na pół. wysyłała mi najpierw jedną połówkę, a potem, w następnym liście, drugą. Widzisz, uważano, że nikt nie będzie chciał tego ukraść.
- O rany, ależ każdy był wtedy ostrożny.
- Raczej tak - zgodziła się Tuppence. - O, a to co? Przeglądała właśnie skórzany portfel.
- Wyjdźmy na chwilę z KK - zaproponował Tommy - i odetchnijmy świeżym powietrzem.

Wyszli na zewnątrz. W dziennym świetle lepiej widzieli swoje trofeum. Był to gruby skórzany portfel przedniej jakości. Zesztywniały ze starości, ale wcale nie zniszczony.

- Na pewno w Matyldzie miał sucho - powiedziała Tuppence. - Och. Tommy, wiesz, co sobie myślę?

- Nie. Co?

- To raczej nie pieniądze. Chyba listy. Nie wiem, czy będziemy w stanie je odczytać. Są takie stare i wyblakłe.

Tommy bardzo ostrożnie zaczął rozkładać pomarszczone żółte kartki, rozklejając je, jeśli to było możliwe. Zapisano je dużymi literami tuszem, który niegdyś był ciemnoniebieski.

- Miejsce spotkania zmienione - odczytał na głos.- Ken Gardens koło Piotrusia Pana. Środa, dwudziestego piątego, piętnasta trzydzieści. Joanna.

- Naprawdę wierzę, że wreszcie coś znaleźliśmy - stwierdziła Tuppence.

- Ktoś, kto wybierał się do Londynu, został powiadomiony, że ma zjawić się konkretnego dnia, spotkać się z kimś w Kensington Gardens i przynieść ze sobą jakieś dokumenty czy plany. Jak myślisz, kto włożył to do Matyldy?

- Na pewno nie dziecko - powiedziała Tuppence. - To musiał być ktoś, kto mieszkał w tym domu i mógł poruszać się po posiadłości, nie zwracając na siebie uwagi. Odbierał dokumenty od szpiega z marynarki i zabierał je do Londynu.

Tuppence zawinęła stary portfel w szalik, który zdjęła z szyi i razem z Tommym wrócili do domu.

- W środku mogą być jeszcze inne dokumenty - zauważyła - lecz większość pewnie uległa zniszczeniu i rozpadnie się, kiedy tylko ich dotkniemy. O, a to co?

Na stoliku w holu leżała pokaźna paczka. Z jadalni wyszedł Albert.

- Dostarczono ją przez posłańca, proszę pani - powiedział. - Dla pani. Dziś rano.

- Ciekawe, co to takiego - powiedziała Tuppence. Wzięta paczkę.

Weszli z Tommym do saloniku. Tuppence odwiązała sznurek i zdjęła brązowy papier.

- To album - powiedziała. - Tak przypuszczam. Jest karteczka. Ach, to od pani Griffin.

Droga pani Beresford, było mi bardzo miło, kiedy dwa dni temu przyniosła pani sztambuch. Przejrzałam go z wielką przyjemnością, wspominając znajomych z dawnych dni. Tak szybko się o nich zapomina. Często pamięta się tylko czyjeś imię albo tylko nazwisko. Niedawno natrafiłam na ten stary album. Właściwie nie należy do mnie. Zdaje się, że był

własnością mojej babki. Zawiera wiele fotografii, a kilka z nich, jak sądzę, przedstawia Parkinsonów, ponieważ moja babka ich знаła. Pomyślałam, że może będzie chciała pani go obejrzeć, gdyż wydawała się pani tak bardzo zainteresowana historią państwa domu i jego dawnymi mieszkańcami. Proszę nie zawracać sobie głowy odsyłaniem albumu, zapewniam, że dla mnie osobiście nie ma on znaczenia. Jak każdy, mam w domu rzeczy należące do ciotek i babć, a kiedy przeglądałam przedwczoraj stara komodę na strychu, znalazłam sześć poduszek na igły. Sprzed wielu, wielu lat. Wydaje mi się, że nie należały do mojej babki, jak ten album, lecz do jej babki. Na święta Bożego Narodzenia zwykła dawać swoim pokojówkom poduszczeni na szpilki. Te kupiła zapewne na jakiejś wyprzedaży, z myślą o następnym roku. Teraz oczywiście są zupełnie bezużyteczne. Czasem aż smutno pomyśleć, jak wiele rzeczy się marnuje.

- Album fotograficzny - powiedziała Tuppence. - To może być całkiem zabawne. Chodź, obejrzymy go sobie.

Usiedli na kanapie. Był to typowy dla minionego okresu album. Odbitki w większości wyblakły, lecz od czasu do czasu Tuppence rozpoznawała fragmenty ich obecnego ogrodu.

- Patrz, to araukaria. Tak, a tu, popatrz, tu stoi Ukochany. To musi być bardzo stare zdjęcie. Ukochanego ciągnie taki śmieszny chłopczyk. O, a tu wistaria i trawa pampasowa. Te zdjęcia zrobiono chyba na jakimś podwieczorku. Tak, tu wokół stołu w ogrodzie siedzi sporo osób. Pod fotografią są ich imiona. Mabel. Nie była piękną. A to kto?

- Charles - przeczytał Tommy. - Charles i Edmund. Najwyraźniej grają w tenisa. Mają dość dziwaczne rakiety. A tam jest William, kimkolwiek był, i major Coates.

- A tu... Tommy, tu jest Mary.

- Tak. Mary Jordan. Zdjęcie podpisano imieniem i nazwiskiem.

- Była ładna. Bardzo ładna. Fotografia jest wyblakła i stara, lecz... och. Tommy. naprawdę wspaniale ją zobaczyć.

- Ciekawe, kto zrobił to zdjęcie?

- Może ten fotograf, o którym wspominał Izaak. Ten z wioski. Może jego wnuk ma jeszcze jakieś stare zdjęcia. Moglibyśmy wybrać się do niego któregoś dnia i zapytać.

Tommy odsunął na bok album i otwierał list, który nadszedł z południową pocztą.

- Coś ciekawego? - spytała Tuppence. - Dostaliśmy trzy listy. Dwa, jak widzę, to rachunki. A ten... tak. to coś zupełnie innego. Pytałam, czy jest interesujący? - powtórzyła.

- Może się taki okazać - odparł Tommy. - Jutro znów będę musiał pojechać do Londynu.

- Podjąć twoje zwykłe obowiązki?

- Niezupełnie. Zamierzam kogoś odwiedzić. Właściwie nie w samym Londynie, trochę dalej. W kierunku na Harrow, jak przypuszczam.

- A o co chodzi? Nic mi nie mówiłeś.

- Zamierzam odwiedzić człowieka o nazwisku pułkownik Pikeaway.

- Ależ się nazywa!

- Prawda?

- Czy ja go znam?

- Może ktoś wspominał go przy tobie. Zawsze towarzyszą mu kłęby tytoniowego dymu.

Masz jakieś pastylki na kaszel?

- Pastylki na kaszel! Nie wiem. Tak, chyba mam. Trzymam jakieś stare pudełko od zeszłej zimy. Ale ty przecież nie masz kaszlu? W każdym razie, ja nie zauważyłam.

- Jeszcze nie mam, ale będę miał, jeśli odwiedzę Pikeawaya. O ile pamiętam, wystarczy odetchnąć dwa razy, a potem już się bez przerwy kaszle. Można patrzeć z nadzieją na okna - wszystkie są dokładnie zamknięte - lecz Pikeaway nigdy nie rozumie takich aluzji.

- Dlaczego chce się z tobą widzieć?

- Nie mam pojęcia - odparł Tommy. - Wspominał o Robinsonie.

- Co? O tym żółtym facecie? Tym z tłustą żółtą twarzą, który zajmuje się ściśle tajnymi sprawami?

- Właśnie tym - potwierdził Tommy.

- Cóż, może to, w co się wmieszaliśmy, jest ściśle tajne.

- Trudno w to uwierzyć, biorąc pod uwagę, że jaka by to nie była sprawa, miała miejsce całe lata temu i nawet Izaak jej nie pamięta.

- Nowe grzechy rzucają długie cienie - powiedziała Tuppence - jeśli tak właśnie brzmi to powiedzenie. Nic pamiętam. Nowe grzechy rzucają stare cienie. A może stare grzechy?

- Na twoim miejscu zapomniałbym o tym - poradził Tommy. - Żadna wersja nie brzmi sensownie.

- Chyba wybiorę się po południu do tego fotografa. Chcesz pójść ze mną?

- Nie - odparł Tommy. - Chyba pójdę popływać.

- Popływać? Jest okropnie zimno.

- Nie szkodzi. Czuję, że potrzeba mi ochłody i odświeżenia. by usunąć z siebie wszystkie pajęczyny i śmieci, które zwisają mi z uszu i szyi, a kilka mam chyba nawet między palcami u nóg.

- To było naprawdę brudne zajęcie - powiedziała Tuppence. - Cóż. ja wybiorę się do pana Durrella czy Durrance'a. Nie otworzyłeś jeszcze jednego listu. Tommy.

- Och, nie zauważyłem. Aha, to może być coś.

- Od kogo?

- Od mojej badaczki - powiedział poważnym tonem Tommy. - Tej, która sprawdza mieszkańców w całej Anelii, wędrując po Somerset House w pokiwaniu aktów zgonu, ślubu i urodzenia, przeglądając archiwa prasowe i spisy ludności. Jest bardzo dobra.

- Dobra i piękna?

- Urody raczej byś w niej nie dostrzegła.

- Cieszę się - stwierdziła Tuppence - Wiesz, Tommy, teraz, kiedy posuwasz się w latach, mógłbyś... mógłbyś wpaść na niebezpieczny pomysł i zatrudnić piękną asystentkę.

- Nie doceniasz swojego wiernego męża.
- Wszystkie moje znajome powtarzają mi, że z mężem nigdy nic nie wiadomo.
- Masz niewłaściwe znajome - ocenił Tommy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rozmowa z pułkownikiem Pikeawayem

Tommy przeciął Regent's Park. Mijał ulice, którymi nie jeździł od lat. Pamiętał, że kiedy jeszcze mieszkali z Tuppence koło Belsize Park, chodził po Hampstead Heath z psem, który uwielbiał spacerować i odznaczał się wyjątkowo upartą naturą. Po wyjściu z mieszkania zawsze chciał skierować się w lewo drogą biegnącą do Hampstead Heath. Wysiłki Tuppence lub Tommy'ego, by zmusić go do pójścia w prawo do dzielnicy handlowej, zazwyczaj spełzały na niczym. James, sealyham terrier o upartym charakterze padał swoim ciężkim, długim jak parówka cielskim plackiem na chodnik, wywalał na wierzch jęzor i przybierał minę czworonoga zamęczanego przez swoich właścicieli głupimi rozkazami. Przechodzący obok ludzie zazwyczaj nie mogli powstrzymać się od komentarza.

- Popatrz na tego ślicznego psiaka. Tego z białą sierścią. Wygląda zupełnie jak parówka, prawda? Ledwie dyszy, biedak. Ci jego właściciele nie pozwalają mu biegać, gdzie chce. Wygląda na kompletnie wyczerpanego.

Tommy odbierał smycz od Tuppence i zdecydowanie ciągnął Jamesa w przeciwną stronę do tej, w którą chciał iść pies.

- Och. Boże, nie mógłbyś go wziąć na ręce, Tommy? - powiedziała Tuppence.

- Co? Wziąć na ręce Jamesa? Jest za ciężki.

James zastosował sprytny manewr i zwrócił swój parówkowaty korpus tak, że znów patrzył w stronę, w którą pragnął iść.

- Patrz, jaki biedny psiak, pewnie chce wracać do domu.

James ciągnął uparcie za smycz.

- No dobrze - rzuciła Tuppence. - Zrobimy zakupy później. Chodźmy, musimy pozwolić Jamesowi iść tam, gdzie chce. Jest tak ciężki, że nie damy rady go zmusić.

James podniósł łeb w górę i pomachał ogonem.

- Najzupełniej się z wami zgadzam - zdawało się oznaczać to machanie. - Wreszcie to do was dotarło. Idziemy. Cel: Hampstead Heath. Jak zawsze.

Tommy zamyślił się. Miał adres miejsca, do którego zmierzał. Po raz ostatni odwiedził pułkownika Pikeaway'a w Bloomsbury. Mały, zagracony pokój wypełniony dymem. Dotarł pod właściwy adres i stanął przed małym, nie wyróżniającym się niczym domem, zwróconym w stronę wrzosowisk niedaleko miejsca urodzenia Keatsa. Mimo to nie wydawał się szczególnie artystyczny czy interesujący.

Zadzwoił do drzwi. Otworzyła je stara kobieta, ściśle odpowiadająca jego wyobrażeniu o tym, jak powinna wyglądać wiedźma: miała szpiczasty nos i podbródek, które

niemal stykały się ze sobą. a do tego wrogie spojrzenie.

- Czy mogę zobaczyć się z pułkownikiem Pikeawayem?

- Nie dam za to głowy - powiedziała wiedźma.

- Nazwisko?

- Nazywam się Beresford.

- A tak. Coś wspominał.

- Mogę zostawić samochód przed domem?

- Na chwilę może być. Nie kręci się tu za wielu policjantów. I nie ma żółtych linii.

Lepiej niech go pan zamknie. Nigdy nic nie wiadomo.

Tommy spełnił polecenie i wszedł za starą kobietą do domu.

- Piętro wyżej - rzuciła.

Już na schodach czuć było silną woń tytoniu. Czarownica zastukała w drzwi, wsadziła głowę do pokoju i powiedziała:

- To pewnie ten dżentelmen, którego chciał pan widzieć. Mówi, że pan się go spodziewa.

Cofnęła się i Tommy wkroczył do zapamiętanego wcześniej królestwa dymu, który niemal natychmiast zmusił go do kaszlu i gwałtownego łapania oddechu. Wątpił, żeby pamiętał pułkownika Pikeaway, oczywiście poza kłębami tytoniowego dymu. W fotelu spoczywał bardzo stary mężczyzna. Mebel był w dość opłakanym stanie, w jego poręczach ziały wypalone papierosami dziury. Kiedy Tommy wszedł, mężczyzna popatrzył na niego przenikliwie.

- Proszę zamknąć drzwi, pani Copes - rozkazał. - Nie chcemy przecież, żeby dostało się tu zimne powietrze.

Tommy sądził, że tego właśnie pragnęli, lecz oczywiście nie mógł się sprzeciwić - tylko wdychać dym i wkrótce skonać, jak ocenił.

- Thomas Beresford - powiedział z uwagą pułkownik. - No, no, kiedy ostatnio cię widziałem?

Tommy nie potrafił podać dokładnej daty.

- Bardzo dawno temu - stwierdził pułkownik. - Przyszedłeś tu z... jak mu tam było? No, nieważne, każde nazwisko jest dobre. Róża przy innym imieniu pachniałaby równie słodko. To mówiła Julia, prawda? Czasem Shakespeare kazał im pleść kompletne głupstwa. Oczywiście, nie mógł nic na to poradzić, skoro był poetą. Sam nigdy nie przepadałem za Romeo i Julią. Te samobójstwa w imię miłości! Weź pod uwagę, że jest ich całkiem sporo, nawet w dzisiejszych czasach. Siadajże, mój chłopcze, siadaj.

Tommy'ego zaskoczyło nieco to, że nazwano go "chłopcem", lecz skorzystał z zaproszenia.

- Mam nadzieję, że nie będzie to panu przeszkadzało - powiedział, zdejmując stos książek z jedyne go wyglądającego w miarę stabilnie krzesła.

- Nie, nie, zrzuć je na podłogę. Próbowałem coś w nich znaleźć. No, no, cieszy mnie

twój widok. Wyglądasz trochę starszej, ale całkiem zdrowo. Chorujesz na serce?

- Nie - odparł Tommy.

- Świetnie! Zbyt wielu ludzi cierpi na chorobę wieńcową lub nadciśnienie. Za dużo pracują. W tym rzecz. Biegają w kółko i powtarzają wszystkim, jak bardzo są zajęci i że świat nie poradzi sobie bez nich, tak bardzo są ważni. Czujesz to samo? Pewnie tak.

- Nie - zaprzeczył Tommy. - Nie czuję się zbyt ważny. Czuję... cóż. czuję, że obecnie naprawdę chciałbym odpocząć.

- Wspaniała myśl - ocenił pułkownik Pikeaway.

- Problem w tym, że jest zbyt wielu ludzi, którzy ci na to nie pozwolą. Co skłoniło cię, żeby osiedlić się tam, gdzie teraz mieszkasz? Zapomniałem nazwy miejscowości. Możesz mi ją przypomnieć?

Tommy podał mu swój adres.

- A tak, tak, w takim razie dobrze zaadresowałem kopertę.

- Tak, otrzymałem pański list.

- Jak rozumiem, widziałeś się z Robinsonem. Wciąż jest na fali. Gruby jak zawsze i równie bogaty albo nawet jeszcze bogatszy. Wie wszystko w tej dziedzinie. To znaczy wszystko o pieniądzach. Co cię do niego zawiodło, chłopcze?

- Kupiliśmy nowy dom, a mój znajomy poradził mi, że pan Robinson będzie być może w stanie rozwiązać tajemnicę, która, jak odkryliśmy z żoną, łączy się z tym domem, choć należałoby cofnąć się daleko w przeszłość.

- Teraz sobie przypominam. Chyba nigdy jej nie spotkałem, ale jest bardzo sprytna, co? Odwaliła solidną robotę w... jak się ta sprawa nazywała? Brzmiała jak wyjątek z katechizmu. N czy M, prawda?

- Tak - potwierdził Tommy.

- A teraz jesteś znów w tej samej branży, co? Badasz tajemnice. Masz pewne podejrzenia?

- Nie - odparł Tommy - to zupełnie nie tak. Wyjechaliśmy na wieś, bo mieliśmy dość poprzedniego mieszkania, a w dodatku podniesiono czynsz.

- Paskudna sztuczka. Właściciele kamienic stale to teraz robią. Nigdy nie są usatysfakcjonowani. Mówię o Córach Końskich Pijawek. Synowie są równie źli. No dobrze, zamieszkaliście tam. Il faut cultiver son jardin.- stwierdził pułkownik, dość nieoczekiwanie szturmując język Galów. - Próbuję odświeżyć mój francuski - wyjaśnił. - Musimy trzymać się dziś ze Wspólnym Rynkiem. nieprawdaż? A tak przy okazji, to dzieją się tam dziwne rzeczy. Wiesz, za kurtyną. Nie to, co widzisz na wierzchu. A więc zamieszkałeś w Jaskółczym Gnieździe. Chciałbym wiedzieć, co cię tam zawiodło?

- Dom, który kupiliśmy, obecnie nazywa się Wawrzyny - powiedział Tommy.

- Głupia nazwa - ocenił pułkownik Pikeaway.

- Choć w swoim czasie bardzo popularna. Pamiętam, że kiedy byłem chłopcem, do

sąsiednich posiadłości prowadziły wspaniałe wiktoriańskie podjazdy. Wysypywano je tonami żwiru, a po obu stronach sadzono wawrzyny. Niekiedy gładkozielone, niekiedy plamiste. Uważano, że są bardzo efektowne. Pewnie nazwali go tak kolejni mieszkańcy domu i nazwa przyłgnęła do niego na dobre. Mam rację?

- Tak, tak przypuszczam - zgodził się Tommy. - Ale nie ostatni właściciele. Oni nazwali go, zdaje się. Katmandu albo równie obco, gdyż mieszkali wcześniej gdzieś za granicą i polubili tamto miejsce.

- Tak, tak. Jaskółcze Gniazdo pochodzi z dawnych czasów. Lecz niekiedy trzeba do nich powrócić. O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać. O cofaniu się w przeszłość.

- Widział pan kiedyś ten dom?

- Co, Jaskółcze Gniazdo alias Wawrzyny? Nie, nigdy tam nie byłem. Lecz dom pojawił się w pewnej sprawie. Łączy się z pewnym okresem z przeszłości, i ludźmi z tamtych czasów. Czasów wielkiego niebezpieczeństwa dla naszego kraju.

- Jak rozumiem, dotarł pan do informacji dotyczących kobiety nazwiskiem Mary Jordan. Przynajmniej pod takim nazwiskiem ją znano. Tak powiedział nam pan Robinson.

- Chcesz zobaczyć, jak wyglądała? Podejdz do kominka. Po lewej stoi fotografia.

Tommy wstał, podszedł do półki nad kominkiem i wziął do ręki zdjęcie. Było bardzo stare. Przedstawiało dziewczynę w kapeluszu z szerokim rondem, trzymającą przy twarzy bukiet róż.

- Dzisiaj wydaje się cholernie głupie, co? - powiedział pułkownik. - Ale według mnie była bardzo ładna. Choć nieszczęśliwa. Umarła młodo. To była prawdziwa tragedia.

- Nic o niej nie wiem - wtrącił Tommy.

- Tak przypuszczam. Dziś już nikt nie wie.

- Mieszkańcy podejrzewali, że była niemieckim szpiegiem. Pan Robinson powiedział mi, że to nieprawda.

- Zgadza się. Była jedną z naszych. I wykonała dobrą robotę. Lecz ktoś okazał się od niej sprytniejszy.

- To było w czasach, gdy w domu mieszkali Parkinsonowie - podsunął Tommy.

- Być może. Nie znam wszystkich szczegółów. Dzisiaj nikt ich nie zna. Osobiście nie byłem w to zaangażowany. A od tamtej pory wszystko pogrzebano. Ponieważ, widzisz, kłopoty są zawsze. I w każdym kraju. Na całym świecie, a dzieje się tak nie po raz pierwszy. O nie. Możesz cofnąć się o sto lat i natrafisz na kłopoty, cofniesz się o kolejne stulecie i ponownie je znajdziesz. Cofnij się do czasów wypraw krzyżowych, a odkryjesz, że każdy pędził na podbój Jeruzalem albo że w całym kraju trwały zamieszki. Wat Tyler i reszta. Tu czy tam, kłopoty są zawsze.

- To znaczy, że obecnie mamy kłopoty szczególnego rodzaju?

- Oczywiście. Kłopoty są wieczne.

- Jakie dokładnie?

- Tego nie wiemy - odparł pułkownik Pikeaway. - Przychodzą nawet do takiego starca jak ja pytając, co mogą im powiedzieć, lub co pamiętam o pewnych ludziach z przeszłości. Cóż, nie pamiętam wiele, ale o niektórych ludziach co nieco wiem. Czasami trzeba zajrzeć w przeszłość. Dowiedzieć się, co się wówczas wydarzyło. Co ludzie trzymali w sekrecie tylko dla siebie, co ukrywali, co udawali, że się stało, a co wydarzyło się naprawdę. Ty i twoja pani wykonaliście sporo dobrej roboty w swoim czasie. Chcesz do tego wrócić?

- Nie wiem - odparł Tommy. - Jeżeli... czy sądzi pan, że mogę w czymś pomóc? Jestem już stary.

- Według mnie jesteś zdrowszy od wielu ludzi w twoim wieku. A nawet od kilku młodszych od ciebie. A jeśli mowa o twojej żonie, cóż, ona zawsze była świetna tam, gdzie trzeba coś wywęszyć. Jak dobrze wytresowany pies.

Tommy nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- Lecz o co w tym wszystkim chodzi? - zapytał. - Ja... ja oczywiście z chęcią podejmę się wszystkiego, jeśli... jeśli uzna pan, że potrafię, ale nic nie wiem. Nikt mi nic nie powiedział.

- Nie przypuszczałem, że to zrobią - zauważył pułkownik. - I nie sądzę, żeby chcieli, żebym ja ci coś powiedział. Zapewne Robinson niewiele ci przekazał. Ten wielki tłusty facet trzyma gębę na kłódkę. Podam ci jednak nagie fakty. Wiesz, jaki jest świat. W kółko te same sprawy. Przemoc, oszustwa, materializm, bunt młodych, uwielbienie przemocy i sporo sadyzmu, niemal jak w dniach Hitlerjugend. Cóż, jeśli chcesz odkryć źródło zła nie tylko w tym kraju, ale i na całym świecie, nie będzie ci łatwo. Wspólny Rynek to dobra rzecz. Zawsze tego potrzebowaliśmy i chcieliśmy. Ale to musi być prawdziwy Wspólny Rynek. Trzeba to dokładnie zrozumieć. To ma być zjednoczona Europa. Unia cywilizowanych państw, o cywilizowanych poglądach, przekonaniach i zasadach. Kiedy coś idzie źle, po pierwsze musisz dowiedzieć się - gdzie, a w tych sprawach ten żółty wieloryb w ludzkiej skórze wciąż dotrzymuje przysięgi milczenia.

- Mówi pan o Robinsonie?

- Tak. o nim mówię. Chcieli nadać mu tytuł szlachecki, ale go nie przyjął. Sam wiesz, o co mu chodzi.

- Przypuszczam, że mówi pan, iż chodzi mu o... pieniądze.

- Zgadza się. Nie w materialistycznym sensie. Robinson wie wszystko o pieniądzach. Wie, skąd pochodzą. dokąd idą, wie, dlaczego i kto za nimi stoi. Kto stoi za decyzjami bankowców, kto stoi za wielkimi przedsięwzięciami przemysłowymi, musi wiedzieć, kto odpowiada za pewne sprawy, zna wielkie fortuny zbite na narkotykach, dealerów, drogi, którymi rozsyła się narkotyki po całym świecie, jak trafiają na rynek; zna się na kulcie pieniądza. Nie interesują go pieniądze wydawane na zakup wielkiego domu czy rolls-royce'a, lecz takie, z których powstaje więcej pieniędzy, a przy tym łamane są stare zasady. Zasady uczciwości i uczciwego handlu. Nie pragniemy równości dla wszystkich, lecz siły, by pomóc słabym. Żeby bogaci wspomagali biednych. Żeby szanowano i podziwiano uczciwych i dobrych. Finanse!

Dziś każda sprawa do tego się sprowadza. Co się z nimi dzieje, na co się je przeznaczają, co się wspiera i na ile dzieje się to w sekrecie. Sam znałeś pewnych ludzi, których potęgą i sprytem przyniosły im zamożność i znaczenie; ich działalność była niekiedy tajna, lecz my musimy to odkryć. Dowiedzieć się, komu przekazali swoje tajemnice, kto odziedziczył ich interesy i prowadzi je obecnie. Jaskółcze Gniazdo było jedną z kwater głównych tego, co nazwałbym samym złem. A później w Hollowquay działo się coś jeszcze. Pamiętasz Jonathana Kane'a?

- Nie znalazłem go osobiście - odparł Tommy.

- Należał ponoć do ruchu podziwianego w swoim czasie, później okazało się, że był faszystą. To działo się jeszcze, zanim dowiedzieliśmy się, kim w rzeczywistości jest Hitler i jego poplecznicy. Kiedyś uważaliśmy, że faszyzm jest wspaniałą ideą, dzięki której można zreformować świat. Jonathan Kane miał zwolenników. Mnóstwo. Młodych i w średnim wieku. Miał ambitne plany, władzę, znał sekrety wielu ludzi. Jego wiedza dawała mu przewagę. Często uciekał się do szantażu. Chcemy odkryć, co wiedział, co robił. Możliwe, że pozostawił po sobie zarówno swoje plany, jak i naśladowców. Usidlił wielu młodych ludzi, którzy być może nadal wyznają jego poglądy. Jak wiesz, niektóre tajemnice warte są wiele pieniędzy. Nie mówię dokładnie, bo sam nic konkretnego nie wiem. Kłopot w tym, że nikt naprawdę nic nie wie. Siedzimy, że wiemy wszystko, ponieważ tyle przeszliśmy. Wojny, zamieszki, czas pokoju. nowe rządy. Uważamy, że wszystko to znamy, ale czy naprawdę? Czy wiemy cokolwiek o wojnie bakteriologicznej? Czy znamy się na gazach i zatruciu środowiska? Swoje sekrety mają chemicy, marynarka, lotnictwo. Nie wszystkie dotyczą teraźniejszości. Część dotyczy czasów minionych. Niektóre sprawy miały się rozwinąć, ale tak się nie stało. Nie było na to czasu. Lecz tajemnice spisano, powierzono kartkom papieru lub przekazano pewnym ludziom. Ci ludzie mieli dzieci, ich dzieci miały dzieci i być może niektóre z tajemnic ujrzały światło dzienne. Spisano je w testamentach, pozostawiono w dokumentach u prawników z zaznaczeniem, kiedy należy je doręczyć.

- Niektórzy nawet nie wiedzą, co trzymają w swoich rękach - ciągnął pułkownik - inni zniszczyli dokumenty, uznając je za śmieci. Musimy jednak odkryć trochę więcej niż wiemy, gdyż bez przerwy coś się dzieje. W różnych krajach i miejscach: wojny. Wietnam, partyzanci, Jordan. Izrael, a nawet w krajach neutralnych. jak Szwecja czy Szwajcaria. Słowem: wszędzie. Wszędzie coś się dzieje, a my potrzebujemy wskazówek. Istnieje teoria, że część z nich można odnaleźć w przeszłości. Cóż, nic można tam dotrzeć, nic można pójść do lekarza i zażądać: "Proszę mnie zahipnotyzować, chcę zobaczyć, co stało się w tysiąc dziewięćset czternastym" albo tysiąc dziewięćset osiemnastym lub jeszcze wcześniej. Na przykład w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym. Ułożono plan, który nigdy nie został zrealizowany. Same idee. Pomyśl tylko o przeszłości. W średniowieczu myślano o lataniu. Ludzie mieli wówczas pewne pomysły. Pewne idee mieli, jak sądzę, nawet starożytni Egipcjanie. Nigdy ich nie zrealizowano. Lecz skoro zostaną komuś przekazane, skoro dostaną się w ręce kogoś, kto ma dość środków i sprytu, by je urzeczywistnić, może stać się wszystko - dobre lub złe. Ostatnio

mamy wrażenie, że istnienie niektórych wynalazków, na przykład broni bakteriologicznej, trudno wyjaśnić inaczej niż poprzez tajne badania - uznane za nieważne, a tymczasem bardzo istotne. Ktoś, w czyje ręce dostał się wynalazek, przystosował go do realizacji, która może okazać się przerażająca. Pewnymi środkami można zmieniać ludzki charakter, może nawet zmienić dobrego człowieka w fanatyka, i zwykle dla tego samego celu: dla pieniędzy. Dla pieniędzy i tego, co można za nie kupić i zdobyć. Dla władzy, którą można dzięki nim osiągnąć. Cóż, młodzieńcze. co na to powiesz?

- To przerażająca wizja - ocenił Tommy.

- Tak. Ale czy uważasz, że gadam bzdury? Czy sądzisz, że to tylko wymysły starego człowieka?

- Nie, proszę pana. Uważam, że jest pan człowiekiem, który zna się na rzeczy. Zawsze tak było.

- Hm. Dlatego mnie potrzebowali, prawda? Przychodzili tu, narzekali na dym, mówili, że się duszą. Lecz cóż, pamiętasz sprawę fałszywych pieniędzy we Frankfurcie? Zdołaliśmy położyć temu kres. Dotarliśmy do człowieka, który za tym stał. Dzisiaj też chodzi o kogoś - nie jedną osobę, lecz o grupę ktosiów, którzy prawdopodobnie za tym stoją. Może dowiemy się, kim są. a jeśli nawet nie, może odkryjemy, na czym polega spisek.

- Rozumiem - powiedział Tommy. - To znaczy prawie rozumiem.

- Naprawdę? Nie sądzisz, że to bez sensu? Że to czysta fantazja?

- Nie uważam, żeby cokolwiek było zbyt fantastyczne, by okazać się prawdą. Przynajmniej tego nauczyłem się przez swoje całkiem długie życie. Rzeczy najbardziej zdumiewające, w które nie sposób uwierzyć, okazują się prawdą. Ale musi pan zrozumieć, że nie mam potrzebnych kwalifikacji. Nie mam naukowej wiedzy. Zawsze zajmowałem się pracą wywiadowczą.

- Lecz umiesz odkrywać tajemnice - zauważył pułkownik Pikeaway. - Ty i ta druga, twoja żona. Wierz mi, ma nosa do tych spraw. Lubi szukać, a ty zawsze zabierasz ją ze sobą. Takie są kobiety. Wiedzą, jak poznać czyjś sekret. Jeśli są młode i piękne, robią to jak Dalila. A kiedy są stare... Miałem cioteczną babkę, dla której nie istniały tajemnice. Zawsze potrafiła je wywęszyć. Jest jeszcze strona finansowa. Tym zajmuje się Robinson. Zna się na pieniądzach. Wie, jakimi ścieżkami wędrują, wie, dlaczego, do kogo i od kogo, i na co się je przeznaczają. Wie wszystko o pieniądzach. Zna się na tym. Jak lekarz badający puls. Potrafi wyczuć puls finansisty. Wie, gdzie jest kwatera główna. Kto korzysta z pieniędzy, po co i dlaczego. Chcę, żebyś zajął się tą sprawą, ponieważ znalazłeś się w odpowiednim miejscu. Trafieś tam przypadkiem i nikt nie domyśliłby się prawdziwych przyczyn. Oboje stworzycie zwyczajną, starszą parę na emeryturze, która szukała miłego domu. by zakończyć w nim swoje dni. Zagłądacie w każdy kąt domu, lubicie rozmawiać. Jakieś rzucone pewnego dnia zdanie może wam coś powiedzieć. To wszystko, czego od was chcę. Rozglądajcie się. Dowiedzcie się, jakie historie i bajki opowiada się o starych dobrych lub starych złych czasach.

- Mówi się o skandalu w marynarce, planach łodzi podwodnej - wtrącił Tommy. - Kilka osób wciąż o tym wspomina. Lecz nikt nie wie nic konkretnego.

- Cóż, to punkt, od którego można zacząć. Mniej więcej wtedy mieszkał tam Jonathan Kane. Miał domek nad morzem i prowadził swoją kampanię propagandową. Znalazł uczniów, którzy uznawali go za wspaniałego człowieka. Kane. Ja nazwałbym go Kain. To lepiej by go opisało. Namawiał do destrukcji i propagował metody zniszczenia. Wyjechał z Anglii. Przejeżdżał przez Włochy w drodze do bardziej odległych krajów, jak mówią. Nie wiem, na ile to tylko plotki. Pojechał do Rosji. Potem do Islandii i Ameryki. Nie wiemy jednak, gdzie dokładnie, co tam robił, kto mu towarzyszył ani kto go słuchał. Sądzymy, że znał kilka stosunkowo nieszkodliwych tajemnic. Sąsiedzi lubili go. zapraszali na obiad, a on przyjmował ich u siebie. Muszę ci powiedzieć jedno: rozglądajcie się, szperajcie, lecz. na litość boską, uważajcie. Uważaj na... jak jej na imię? Prudence?

- Nikt jej tak nie nazywa - powiedział Tommy. - Tuppence.

- Tak jest. Uważaj na Tuppence i przekaz jej, by uważała na ciebie. Zwracajcie uwagę na to, co jecie, co pijecie, dokąd idziecie, kto przychodzi do was, kto zaprzyjaźnia się z wami i dlaczego. Możecie natrafić na drobne informacje. Na coś niezwykłego, dziwnego. Jakąś historię z przeszłości, która może mieć znaczenie. Możecie spotkać potomka, krewnego lub znajomego ludzi z przeszłości.

- Zrobię, co mogę - powiedział Tommy. - Oboje się postaramy. Lecz mam wrażenie, że niewiele zdziałamy. Jesteśmy za starzy. Nie wiemy dosyć.

- Możecie wpaść na jakiś pomysł.

- Tak. Tuppence stale ma jakieś. Uważa, że coś ukryto w naszym domu.

- Możliwe. Tak samo sądzili i inni. Nikt jak dotąd niczego nie znalazł, ale szukano bez przekonania. Domy i ich lokatorzy bez przerwy się zmieniają. Posiadłość zostaje sprzedana, wprowadza się ktoś nowy. Lestrangle'owie, Mortimerowie, Parkinsonowie. Nie byli interesujący, prócz chłopca.

- Alexandra Parkinsona?

- Więc wiesz. Jak to odkryłeś?

- Zostawił komuś wiadomość w jednej z książek Stevenson. "Mary Jordan nie zmarła naturalną śmiercią". Znaleźliśmy to.

- Każdy człowiek ma swoje przeznaczenie zapisane na dłoni, tak chyba brzmi to powiedzenie, prawda? Bierzcie się do roboty. Znajdźcie boczną furtkę Przeznaczenia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Furtka Przeznaczenia

Sklep pana Durrance'a znajdował się w pół drogi do wioski.

Stał na rogu ulicy, a na wystawie pokazano kilka fotografii: dwie pary małżeńskie, golutkie niemowlę raczkujące na kocyku i ze dwóch brodatych mężczyzn z sympatiami u boku. Ani jedna fotografia nie była dobra, a po niektórych widać było ich wiek. Wystawiono też mnóstwo widokówek, kart urodzinowych, a na specjalnych półkach ułożono zdjęcia zrobione dla krewnych:

“Dla mojego męża”, “Dla mojej żony”. Kilka fotografii kąpiących się ludzi. Były tam jeszcze notesy i portfele dość podłej jakości oraz papier listowy i koperty z roślinnym nadrukiem, a także pudełka karteczek z nalepkami: “Na notatki”, przystrojone kwiatkami.

Tuppence pokręciła się trochę, biorąc do ręki poszczególne przedmioty i czekając, aż skończy się burzliwa dyskusja o filmie zrobionym jakimś aparatem i klient poprosi o radę.

Zwyczajnymi sprawami, których było sporo, zajmowała się starsza kobieta o siwych włosach i przygasłym spojrzeniu. Głównym sprzedawcą był dość wysoki młody człowiek o długich, jasnych włosach i pączkującej dopiero brodzie. Podszedł do Tuppence i spojrzał na nią pytająco.

- W czym mogę pomóc?

- Chciałam zapytać o albumy - odparła Tuppence. - Wie pan, albumy fotograficzne.

- Ach, takie, do których wkłada się zdjęcia? Mamy ze dwa, ale dziś rzadko gdzie je pani znajdzie. Ludzie wolą slajdy.

- Tak, rozumiem, ale ja je zbieram. Kolekcjonuję stare albumy, takie jak ten.

Ruchem rasowego sztukmistrza wyjęta przysłany przez panią Griffin album.

- A, musi być całkiem stary, co? - zauważył pan Durrance. - Ma ponad pięćdziesiąt lat. Oczywiście, wtedy były popularne, każdy miał taki album.

- I sztambuch - dodała Tuppence.

- Sztambuchy... tak. pamiętam co nieco. Moja babka miała jeden. Mnóstwo osób musiało się do niego wpisać. Mamy jeszcze karty urodzinowe, ale rzadko kto je kupuje. Klienci wolą walentynki i kartki na Boże Narodzenie.

- Ma pan może jakieś stare albumy? Wie pan. Takie, których nikt już nie chce. Mnie ciekawia jako kolekcjonera. Chciałabym mieć różne.

- Dzisiaj każdy coś zbiera - odrzekł Durrance. - Nie uwierzyłaby pani, jakie rzeczy ludzie kolekcjonują. Jednak nie sądzę, żebym miał coś równie starego. Mogę poszukać.

Wszedł za ladę i otworzył szufladę w szafce przy ścianie.

- Mnóstwo tu rupieci - powiedział. - Chciałem kiedyś wszystko poukładać, ale nie wiedziałem, czy cokolwiek nada się na sprzedaż. Sporo zdjęć ślubnych. No, ale ich daty! Ludzie chcą mieć zdjęcie z własnego ślubu, lecz nikt nie szuka fotografii z przeszłości.

- To znaczy, nikt nie przychodzi mówiąc: "Moja babka brała ślub w tym miasteczku. Ma pan może jej zdjęcia?"

- Chyba nikt jeszcze nie zadał mi takiego pytania - powiedział Durrance. - Lecz nigdy nie wiadomo.

Czasami ludzie pytają o dziwne rzeczy. Na przykład ktoś przychodzi i chce wiedzieć, czy zatrzymałem negatyw zdjęcia jego dziecka. Wie pani, jakie są matki. Szukają zdjęć swoich dzieci, kiedy były małe. Większość tych fotografii jest okropna. Czasami zjawiała się tu nawet policja. Chcieli kogoś zidentyfikować. Kogoś, kto mieszkał tu jako chłopiec, a oni sprawdzali, jak wygląda, czy raczej wyglądał wtedy i czy to ten, którego szukają, bo jest podejrzany o morderstwo lub przemyt. Muszę przyznać, że niekiedy mamy trochę rozrywki - powiedział ze szczęśliwym uśmiechem.

- Widzę, że interesują pana przestępstwa - zauważyła Tuppence.

- No wie pani, czyta się o tym każdego dnia. Dlaczego podejrzewa się, że jakiś facet zabił pół roku temu swoją żonę. i tak dalej. Przecież to ciekawe, prawda? No bo niektórzy mówią, że ona nadal żyje. A inni, że on pogrzebał gdzieś ciało i nikt go nie znalazł. Fotografia takiego faceta mogłaby okazać się pożyteczna.

- Tak - zgodziła się Tuppence. Czowała, że chociaż zaprzyjaźniła się z panem Durrance'em, do niczego to nie prowadziło.

- Nie przypuszczam, że ma pan zdjęcia kobiety... nazywała się chyba Mary Jordan. Jakoś tak. Ale to było dawno temu. Jakieś... sześćdziesiąt lat. Zdaje się, że tu zmarła.

- To szmat czasu przed moim urodzeniem - stwierdził pan Durrance. - Ojciec trzymał sporo staroci. Należał do nałogowych zbieraczy, jak się ich nazywa. Nie chciał niczego wyrzucać. Pamiętał wszystkich, zwłaszcza jeśli łączyła się z nimi jakaś historia. Mary Jordan. Chyba sobie przypominam. Miała coś wspólnego z marynarką, z łodzią podwodną, prawda? Podobno była szpiegiem. Nie była stuprocentową Angielką. Miała matkę Rosjankę albo Niemkę, a może nawet Japonkę.

- Tak. Zastanawiałam się, czy nie ma pan jej zdjęć?

- Raczej nie. Rozejrzę się, kiedy będę miał trochę czasu. Dam pani znać, jeśli na coś natrafię. A może pani jest pisarką? - spytał z nadzieją.

- To nie jest moje stałe zajęcie - odparła Tuppence. - Myślę o napisaniu niewielkiej książki. Wspomnienia z czasów sprzed jakichś stu lat do dzisiaj. Wie pan, dziwne rzeczy, które się tu zdarzyły, łącznie z przestępstwami. A stare zdjęcia są, oczywiście, bardzo interesujące i świetnie zilustrowałyby książkę.

- Na pewno zrobię wszystko, żeby pani pomóc. To, czym się pani zajmuje, musi być bardzo ciekawe. To znaczy, to ciekawe zajęcie.

- Słyszałam o ludziach nazwiskiem Parkinson - powiedziała Tuppence. - Chyba mieszkali kiedyś w naszym domu.

- A. mieszka pani na wzgórzu? W Wawrzynach albo w Katmandu, nie pamiętam, jak go ostatnio nazwano. Kiedyś to było Jaskółcze Gniazdo, prawda? Nie mam pojęcia, dlaczego.

- Przypuszczam, że pod okapem było sporo gniazd - powiedziała Tuppence. - Zresztą są tam nadal.

- Może dlatego. Ale to śmieszna nazwa dla domu. Tuppence, czując, że nawiązała bliskie stosunki, choć nie miała nadziei, że doprowadzą ją do czegokolwiek, kupiła kilka pocztówek i notesików, po czym pożegnała pana Durrance'a. Kiedy minęła bramę Wawrzynów i znalazła się na podjeździe, zboczyła na ścieżkę wokół domu, by jeszcze raz rzucić okiem na KK. Podeszła do drzwi. Zatrzymała się raptownie, a potem podeszła bliżej. Przy drzwiach leżało coś wyglądającego na stos ubrań. Pomyślała, że musieli je wyciągnąć z brzucha Matyldy i zapomnieli się im przyjrzeć.

Przyspieszyła kroku i niemal zaczęła biec. Kiedy dopadła drzwi, zatrzymała się jak wryta. To nie był stos starych ubrań. To prawda, ubrania były stare, podobnie jak ciało, które okrywały. Tuppence pochyliła się, a potem wyprostowała, wspierając się na kłamce.

- Izaak! - krzyknęła. - Izaak. Biedny stary Izaak. Na pewno, och, na pewno nie żyje.

Ktoś nadchodził ścieżką od domu. Cofając się o krok, zawołała:

- Och. Albercie! Stało się coś okropnego. To Izaak, stary Izaak. Leży tu martwy. Chyba... chyba ktoś go zamordował.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rozprawa

Przedstawiono wynik sekcji zwłok. Zeznania złożyło dwóch przechodniów, którzy znaleźli się w pobliżu bramy Wawrzynów. Rodzina Izaaka zaświadczyła o stanie jego zdrowia, a każdy, kto miał powody żywić do niego wrogie uczucia (czyli ze dwóch chłopców, których Izaak niegdyś skrzyczał) został poproszony o współpracę i dowodził swojej niewinności. Przemawiali też jego ostatni pracodawcy, łącznie z panią Prudence Beresford i jej mężem, panem Thomasem Beresfordem. Kiedy wszystko zostało powiedziane i wykonane, zapadło orzeczenie: Umysłne zabójstwo dokonane przez osobę lub osoby nieznane.

Tuppence wyszła z sali rozpraw, a Tommy objął ją ramieniem, kiedy mijali grupkę ludzi czekających na zewnątrz.

- Świetnie ci poszło, Tuppence - powiedział. Przeszli przez bramę ogrodową i kierowali się w stronę domu. - Naprawdę świetnie. O wiele lepiej niż co poniektórym. Mówiłaś jasno i wyraźnie. Koroner był z ciebie bardzo zadowolony.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek był ze mnie zadowolony - denerwowała się Tuppence. - Nie podoba mi się, że stary Izaak został ogłuszony i zamordowany.

- Może ktoś miał z nim na pieńku - podsunął Tommy.

- Ale dlaczego? - spytała Tuppence.

- Nie wiem - przyznał Tommy.

- Ani ja - stwierdziła Tuppence. - Zastanawiam się, czy ma to coś wspólnego z nami.

- Czy masz na myśli... co ty masz na myśli, Tuppence?

- Doskonale wiesz. To... to miejsce. Nasz dom. Nasz śliczny nowy dom. Ogród i całą resztę. To jakby... czy nie jest to odpowiednie miejsce dla nas? Tak przecież myśleliśmy.

- Nadal tak uważam.

- Tak. Masz chyba więcej nadziei niż ja. Ja mam niemiłe wrażenie, że jest tu coś... coś bardzo złego. Coś, co pozostało z przeszłości.

- Tylko nie powtarzaj tego znowu - rzucił Tommy.

- Czego?

- Tych dwóch słów.

Tuppence ściszyła głos. Podeszła blisko do Tommy'ego i powiedziała prosto w jego ucho:

- Mary Jordan?

- Tak, o tym właśnie myślałem.

- Tak jak ja. Ale co to może mieć wspólnego z terażniejszością? Jakie znaczenie może

mieć przeszłość? Nie powinna mieć nic wspólnego z tym, co dzieje się teraz.

- Przeszłość nie powinna wpływać na teraźniejszość, czy o to ci chodzi? Ale wpływa. Wpływa, i to w dziwaczny sposób, który nawet nie przyszedłby ci do głowy. To znaczy nie pomyślałabyś, że to może się stać.

- To znaczy, że wiele dzieje się właśnie z powodu tego, co wydarzyło się w przeszłości?

- Tak. To jak długi łańcuch, złożony z pustych kółek, a od czasu do czasu trafia się ogniwo.

- Jane Finn i cała reszta. Tak jak Jane Finn w naszych przygodach, kiedy byliśmy młodzi, ponieważ pragnęliśmy przygód.

- I mieliśmy je - powiedział Tommy. - Czasami spoglądam w przeszłość i dziwię się, jak udało nam się ująć z życiem.

- A potem... Pamiętasz, kiedy założyliśmy spółkę i udawaliśmy detektywów.

- Och. to dopiero była zabawa - stwierdził Tommy.

- Czy pamiętasz...

- Nie - przerwała mu Tuppence. - Nie mam ochoty pamiętać. Nie chcę rozmyślać o przeszłości, chyba że... że traktuje się ją jako przygotowanie do przyszłości. W każdym razie, nabraliśmy wtedy wprawy. A potem trafiła nam się następna sprawa.

- Aha. Pani Blenkinsop, prawda?

Tuppence roześmiała się.

- Tak. Pani Blenkinsop. Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy weszłam do pokoju i zobaczyłam, że ty tam siedzisz.

- Ależ miałaś nerwy, że zrobiłaś to, co zrobiłaś: przesunęłaś szafę, czy co to było, i podsłuchiłaś moją rozmowę z panem Jak-Mu-Tam. A potem...

- A potem pani Blenkinsop - powiedziała Tuppence. Znow się zaśmiała. - N czy M lub "Gąska gęsiarka".

- Ale ty nie... - Tommy zawahał się - nie wierzysz, że to wszystko było tylko przygotowaniem do tego, co dzieje się teraz?

- W pewnym sensie było - potwierdziła Tuppence.

- To znaczy, na przykład pan Robinson nic powiedziałby ci tego, co powiedział, gdyby nie miał na uwadze tych wszystkich spraw. No i mnie.

- Ciebie przede wszystkim.

- Lecz teraz wszystko się zmieniło. To znaczy po tym, co się stało. Izaak. Martwy. Uderzony w głowę. W samym środku naszego ogrodu.

- Nie myślisz chyba, że to wiąże się z...

- Trudno tak nie myśleć. O to właśnie mi chodzi. Nie prowadzimy już śledztwa, by rozwikłać detektywistyczną zagadkę. Nie zajmujemy się odkrywaniem przeszłości i przyczyn, dla których dawno temu ktoś umarł. Teraz to sprawa osobista. Bardzo osobista. Przecież biedny stary Izaak nie żyje.

- Był bardzo stary i to może wpłynęło na jego śmierć.

- Nie zgodzę się z tobą po tym, jak rano wysłuchałam zeznań lekarza sądowego. Ktoś chciał go zabić. Dlaczego?

- Dlaczego nie chcieli zabić nas, skoro to ma coś wspólnego z nami? - spytał Tommy.

- Może i tego spróbują. Mógł nam coś powiedzieć. Może zamierzał to zrobić. Może zagroził komuś, że porozmawia z nami i zdradzi, co wie o dziewczynie albo o którymś z Parkinsonów. Albo... albo coś o tej aferze szpiegowskiej z tysiąc dziewięćset czternastego. O sprzedanych tajemnicach. Wówczas ktoś musiałby go uciszyć. Lecz gdyby nie pracował u nas, nie zadawałby pytań i nie usiłował odkryć prawdy, więc nie doszłoby do tego.

- Nic przesadzaj.

- Nie przesadzam. I nie robię tego dla zabawy. To już nie jest zabawa. Teraz zajmujemy się czymś zupełnie innym, Tommy. Polujemy na mordercę. Kogo dokładnie? Oczywiście, jeszcze nie wiemy, ale dowiemy się wkrótce. Nie chodzi o przeszłość. To dzieje się teraz, Izaak zginął zaledwie kilka dni temu, sześć dokładnie. To terażniejszość. Dzieje się tutaj i łączy się z nami i z tym domem. Musimy dowiedzieć się i zrobimy to. Nie wiem jak, ale musimy prześledzić wszystkie wskazówki. Czuję się jak pies z nosem przy ziemi, idący za tropem. Ja zbadam wszystko na miejscu, a ty będziesz psem myśliwskim - zbadasz inne rejony. Tak, jak do tej pory. Zbierzesz informacje. Twoje, jak to nazywasz, badania, zostaną zakończone. Muszą być gdzieś ludzie, którzy coś wiedzą, może nie z własnego doświadczenia, ale z opowiadań. Ludzie, którzy słyszeli różne historie. Plotki.

- Tuppence, nie możesz przecież wierzyć, że mamy jakąkolwiek szansę...

- Ale ja wierzę - przerwała Tuppence. - Nie wiem jak, w jaki sposób, lecz wierzę, że kiedy raz wpadniesz na naprawdę przekonujący pomysł, kiedy coś, co wiesz, jest czarne, złe, złowrogie... a uderzenie Izaaka w głowę było czarne i złe... - urwała.

- Możemy zmienić nazwę domu - podsunął Tommy.

- O co ci chodzi? Mamy nazwać go Jaskółczym Gniazdem?

Nad ich głowami przeleciało stadko ptaków. Tuppence odwróciła się i spojrzała w tył na bramę ogrodową. - Kiedyś dom nazywał się Jaskółcze Gniazdo. Jak brzmi dalsza część wiersza? Tego, który cytowała twoja poszukiwaczka? Furtka do Śmierci, prawda?

- Nie, Furtka Przeznaczenia.

- Przeznaczenie. To jak komentarz do śmierci Izaaka. Furtka Przeznaczenia... nasza brama ogrodowa...

- Przestań się zamartwiać, Tuppence.

- Nie wiem... To tylko pomysł, który przyszedł mi do głowy.

Tommy rzucił jej zdziwione spojrzenie i pokręcił głową.

- Jaskółcze Gniazdo to naprawdę ładna nazwa - powiedziała Tuppence. - Mogła być ładna. Może będzie pewnego dnia.

- Masz naprawdę niezwykle pomysły, Tuppence.

- "A jednak coś kwili jak ptak". Tak to się kończyło. Może wszystko skończy się w ten sposób.

Kiedy niemal dotarli do domu, dostrzegli stojącą na schodach kobietę.

- Ciekawe, kto to - powiedział Tommy.

- Widziałam ją już wcześniej - stwierdziła Tuppence. Nie pamiętam w tej chwili, kto to jest. Och, to chyba ktoś z rodziny starego Izaaka. Wiesz, wszyscy mieszkają w jednej chacie. Trzech lub czterech chłopców, ta kobieta i jeszcze dziewczyna. Chociaż, oczywiście, mogę się mylić.

Kobieta na schodach odwróciła się i podeszła do nich.

- Pani Beresford, prawda? - spytała, spoglądając na Tuppence.

- Tak - przyznała Tuppence.

- Pewnie mnie pani nie zna. Jestem synową Izaaka. Wyszedł za jego syna Stephena. Zginął w wypadku. Prowadził ciężarówkę. Jedną z tych dużych, które jeżdżą daleko. Na drodze M1. M1 albo M5. Nie. M5 jest bliżej. Może na M4. No, stało się w każdym razie. Pięć lub sześć lat temu. Chciałam tylko... chciałam z panią porozmawiać. Z panią i pani mężem - popatrzyła na Tommy'ego. - Przystaliście kwiaty na pogrzeb, prawda? Izaak pracował dla was w ogrodzie?

- Tak - powiedziała Tuppence. - Pracował tu. - To, co się stało, było okropne.

- Przyszłam podziękować. To były bardzo ładne kwiaty. Dobre. Z klasą. Wielki bukiet.

- Chcieliśmy je przesłać, bo Izaak bardzo nam pomagał - wyjaśniła Tuppence. - Pomógł nam przy przeprowadzce. Wiele nam podpowiedział, sami nie mieliśmy zbyt dużego pojęcia o tym domu. Na przykład gdzie co trzymano. Przekazał mi mnóstwo informacji o hodowli roślin.

- Tak, znalazł się na rzeczy. Nie pracował za dużo, bo był stary i nie lubił się schylać. Miał lumbago i nie mógł robić tyle, ile by chciał.

- Był bardzo miły i pomocny - stwierdziła stanowczo Tuppence. - Wiedział wiele o tutejszych sprawach i ludziach i sporo nam opowiedział.

- Aha. Sporo wiedział. Jego rodzina pracowała tu od dawna. Mieszkali tu i wiedzieli, co działo się dawno temu. Nie widzieli tego na własne oczy, ale słyszeli plotki. Nie będę zatrzymywać pani dłużej. Przyszłam tylko zamienić kilka słów i podziękować.

- To bardzo miłe z pani strony - powiedziała Tuppence. - I ja dziękuję.

- Pewnie będzie pani musiała znaleźć kogoś nowego do pracy w ogrodzie.

- Chyba tak - przyznała Tuppence. - Sami nie jesteśmy w tym zbyt dobrzy. Czy pani... może pani... - zawahała się czując, że to, co mówi, może być nie na miejscu - może zna pani kogoś, kto chciałby u nas pracować?

- Nic mogę tak od razu powiedzieć, ale będę o tym pamiętać. Nigdy nie wiadomo. Przyślę pani Henry'ego, to mój drugi chłopak. Przyślę go i powiadomię panią, jeśli o kimś usłyszę. Cóż. miłego dnia.

- Jak nazywał się Izaak? Nie mogę sobie przypomnieć - powiedział Tommy, kiedy

weszli do domu. - Pytam o jego nazwisko.

- Zdaje się, że Bodlicott.

- Więc to była pani Bodlicott?

- Tak. Myślę, że ma kilku synów i córkę i wszyscy mieszkają razem. Wiesz, w tej chacie w połowie Marshton Road. Myślisz, że wie, kto go zabił?

- Nie sądzę - odparł Tommy. - Nie wyglądała na taką.

- Nie wiem. jak powinna wyglądać - zauważyła Tuppence. - Trudno to chyba określić?

- Wydaje mi się, że po prostu przyszła podziękować za kwiaty. Nie wyglądała na kogoś, kto... pragnie zemsty. Chyba wspomniałaby o tym.

- Może. A może nie - powiedziała Tuppence. Weszła w głąb domu z zatroskaną twarzą.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wspomnienie o wuju

Następnego ranka przerwano Tuppence rozmowę z elektrykiem, który przyszedł poprawić wszystko, co zrobił, a co nie zyskało aprobaty.

- Jakiś chłopiec przy drzwiach - obwieścił Albert.

- Chce z panią rozmawiać.

- Ach. Jak się nazywa?

- Nie pytałem. Czeka na zewnątrz.

Tuppence chwyciła kapelusz ogrodowy, wsadziła go na głowę i zeszła po schodach.

Przed drzwiami stał dwunasto- lub trzynastoletni chłopiec. Był zdenerwowany i przystępował z nogi na nogę.

- Mam nadzieję, że dobrze, że przyszedłem - powiedział.

- Niech pomyślę... - zaczęła Tuppence. - Ty jesteś Henry Bodlicott, prawda?

- Tak jest. To był mój... tak jakby wuj, znaczy się ten, co to wczoraj była rozprawa.

Nigdy przedtem nie byłem w sądzie.

Tuppence ledwo powstrzymała się przed zapytaniem:

“I podobało ci się?” Henry wyglądał jak ktoś, kto opisuje dobrą zabawę.

- To była wielka tragedia, prawda? - powiedziała. - Bardzo to smutne.

- Och, on był już stary - stwierdził Henry. - I tak nikt nie oczekiwał, że pożyje dłużej. Na jesieni okropnie kaszłał. W domu nikt nie mógł zasnąć. Przyszedłem spytać, czy chce pani, żebym cos tu porobił. Podobno, tak mi mówiła mama, trzeba poprzerzywać sałatę. Wiem, gdzie rośnie, bo czasem przychodziłem do starego Izzy, kiedy pracował. Mam się tym teraz zająć?

- Bardzo to miło z twojej strony - powiedziała Tuppence. - Chodźmy, pokażesz mi, gdzie to jest.

Razem wyszli do ogrodu i dotarli do wspomnianego miejsca.

- To tu, widzi pani? Posadzono ją trochę za ciasno i teraz trzeba poprzerzywać i powsadzać roślinki o, tam. We właściwych odstępach.

- Nic nie wiem o sałacie - przyznała się Tuppence.- Trochę znam się na kwiatach. Nie jestem za dobra, jeśli chodzi o fasolkę, brukselkę, sałatę i inne warzywa. Pewnie nie chcesz na stałe pracować w ogrodzie?

- Nie, chodzę jeszcze do szkoły, proszę pani. Roznoszę gazety, a latem zrywam owoce.

- Rozumiem - powiedziała Tuppence. - Cóż, ucieszę się, jeśli usłyszysz o kimś chętnym i dasz mi znać.

- Tak zrobię. Na razie to by było na tyle, proszę pani.

- Pokaż mi tylko, co będziesz robił z sałatą. Chciałabym to zobaczyć.

Stała obok, obserwując pracę Henry'ego Bodlicotta.

- Teraz wszystko jest w porządku. Ładne okazy, prawda? To sałata webb's wonderful.

Długo się trzyma.

- Skończyliśmy już grządkę z tomciem paluchem - powiedziała Tuppence.

- Zgadza się. To ta wczesna, prawda? Krucha i smaczna.

- Bardzo ci dziękuję.

Tuppence zaczęła iść w stronę domu. Zauważyła, że zgubiła szalik i odwróciła się. Henry Bodlicott, który zmierzał już do domu, zatrzymał się i poszedł do niej.

- To tylko szalik - rzuciła Tuppence. - O, jest tam, na krzaku.

Podał go i patrzył na nią, przestępując z nogi na nogę. Wyglądał na tak zmartwionego i zakłopotanego, że Tuppence zaczęła się zastanawiać, co się z nim dzieje.

- Czy coś się stało? - spytała.

Henry przerzucił ciężar ciała na jedną nogę, podniósł wzrok, stanął na drugiej, podłubał w nosie, potarł lewe ucho, a potem znów szybko przestąpił z nogi na nogę.

- Zastanawiałem się tylko, czy... to znaczy czy... czy nie obrazi się pani, jeśli o coś zapytam?

- Tak? - Tuppence popatrzyła na niego pytająco. Henry zaczerwienił się i ponownie zaczął przestępować z nogi na nogę.

- Właściwie nie chciałbym... nie chcę pytać, ale zastanawiałem się... to znaczy ludzie mówią... różne rzeczy... znaczy się słyszałem...

- Tak? - powtórzyła Tuppence, zastanawiając się, co zdenerwowało Henry'ego, to znaczy co takiego usłyszał o pani Beresford i jej mężu, nowych mieszkańcach Wawrzynów. - Co słyszałeś?

- No, że pani łapała szpiegów w czasie ostatniej wojny. Razem z mężem. Zdemaskowaliście kogoś, kto był niemieckim szpiegiem, a udawał kogoś innego. A wy go dopadliście i mieliście mnóstwo przygód i w końcu wszystko się wyjaśniło. Byliście... nie wiem, jak to nazwać... pracowaliście w wywiadzie i mówiono, że byliście wspaniali. To było oczywiście jakiś czas temu, ale braliście udział w wielu akcjach, na przykład też z wierszykami dla dzieci.

- Zgadza się - przyznała Tuppence. - Chodziło o *Gąskę gęsiarkę*.

- Gąskę gęsiarkę! Pamiętam! O kurcze, to całe lata temu. "Dokąd bieżysz tak szparko?"

- Tak jest. "Ach, przebieram łapkami do pokoju mej pani. Tam znalazła starca, co nie chciał zmówić pacierza, chwyciła go za łydkę i wyrzuciła z leża". Tak to chyba szło, choć mogłam pomylić rymowanki.

- Nigdy bym nie pomyślał. To wspaniale, że mieszkacie sobie tutaj jak każdy normalny człowiek. Nie wiem tylko, co do tego miały rymowanki.

- To był taki szyfr - wyjaśniła Tuppence.

- A, i trzeba go było odczytać? - spytał Henry.

- Mniej więcej. W każdym razie, wszystko zostało wyjaśnione.

- Ależ to wspaniałe, prawda? Nie będzie się pani gniewać, jeśli powiem koledze? Kumpłowi. Ma na imię Clarence. Wiem, że głupio. Wszyscy się z niego śmiejemy. Ale to dobry kumpel i strasznie się przejmie, jak dowie się, że naprawdę mieszkacie wśród nas.

Spojrzał na Tuppence z podziwem wiernego spaniela.

- To wspaniałe! - powtórzył.

- Och, to działa się dawno temu - powiedziała Tuppence. - W latach czterdziestych.

- Mielicie dobrą zabawę, czy może baliście się przez cały czas?

- Jedno i drugie - odparła Tuppence. - Ja przeważnie byłam przerażona.

- Pewnie, spodziewam się. Ale to dziwne, że przyjechaliście tu i zaraz zamieszciliście się w taką samą sprawę. To był oficer marynarki, prawda? Znaczący się, podawał się za kapitana marynarki, ale wcale nim nie był. Był Niemcem. Tak przynajmniej mówił Clarence.

- Mniej więcej - przyznała Tuppence.

- To może dlatego tu przyjechaliście? No bo widzi pani, i u nas się coś takiego zdarzyło, bardzo dawno temu, ale to taka sama historia. To był oficer łodzi podwodne. Sprzedał plany łodzi. Tak słyszałem od innych ludzi.

- Rozumiem. Tak. Nie, nie dlatego tu przyjechaliśmy. Po prostu spodobał nam się dom. Słyszałam te same plotki, ale nie wiem, co dokładnie się stało.

- Spróbuję się dowiedzieć i któregoś dnia pani opowiem. Oczywiście, nigdy nie wiadomo, co jest prawdą, a co nie, ale przecież nigdy niczego nie wie się do końca.

- Jak twój przyjaciel Clarence zdołał dowiedzieć się aż tyle?

- Słyszał od Micka, wie pani. Mieszkał przez krótki czas tam, gdzie kiedyś była kuźnia. Wyjechał dawno temu, ale sporo słyszał od różnych ludzi. No i nasz wuj, stary Izaak, sporo wiedział. Czasami nam opowiadał.

- Sporo wiedział? - powtórzyła Tuppence.

- O tak. Więc gdy go zatłukli, zastanawiałem się, czy to nie dlatego. Może wiedział ciut za dużo i wszystko pani powiedział. Więc go wykończyli. Tak to już bywa. Wie pani, wykańczają ludzi, jeśli ci za dużo wiedzą o czymś, co mogłoby zainteresować policję.

- Myślisz, że twój wuj Izaak wiedział sporo o tej sprawie?

- Ludzie mu mówili. Usłyszał coś tu i tam. Nie wspominał o tym za często, ale czasami coś mu się wymknęło. Wieczorem, jak już wypalił swoją fajkę, albo kiedy usłyszał, o czym rozmawiamy z Clarriem i moim drugim kumpłem, Tomem Gillinghamem. On też i chciał się dowiedzieć, i wuj Izaak czasami coś nam opowiadał. Oczywiście nie mieliśmy pewności, czy sam tego nie wymyślił. Ale myślę, że natrafił na coś i wiedział, gdzie to schowano. Powtarzał, że pewni ludzie mogliby znaleźć coś bardzo dla siebie interesującego, gdyby tylko wiedzieli, gdzie szukać.

- Naprawdę? To interesujące również dla nas. Musisz przypomnieć sobie, co opowiadał

ci wuj, gdyż może to doprowadzić do jego zabójcy. Ponieważ ktoś go zabił. To nie był wypadek.

- Najpierw tak myśleliśmy. No wie pani, chorował na serce czy coś podobnego i czasami nagle wywracał się albo bolała go głowa i miał zawroty. Ale wygląda na to... wie pani, że poszedłem na rozprawę... że celowo ktoś go wykończył.

- Tak - zgodziła się Tuppence. - Ktoś go celowo wykończył.

- A pani nie wie, dlaczego?

Tuppence spojrzała na Henry'ego. Przez chwilę wydało jej się, że ona i Henry to dwa psy policyjne na tym samym tropie.

- Myślę, że zrobiono to celowo i że ty jako jego krewny i ja chcemy dowiedzieć się, kto uczynił tak okrutną i podłą rzecz. Choć może ty, Henry, już wiesz albo masz jakieś podejrzenia?

- Nic konkretnego - odparł Henry. - Trochę słyszałem i znam ludzi, o których wuj mówił, że ma z nimi na pieńku. Mówił, że wie za dużo o nich samych, o tym, co wiedzą i o tym, co kiedyś się stało. Ale chodziło o kogoś, kto zmarł tak dawno temu, że trudno sobie wszystko dokładnie przypomnieć.

- Cóż. myślę, że będziesz musiał nam pomóc. Henry - powiedziała Tuppence.

- To znaczy, pozwoli mi pani działać razem z wami? Ja też wezmę udział w śledztwie?

- Tak, o ile potrafisz zachować dla siebie to, co odkryjesz. To znaczy powiesz mnie, ale nie swoim kolegom, bo w ten sposób wszyscy by się dowiedzieli.

- Jasne. A wtedy mogliby powiedzieć mordercom, a oni przyszliby po panią i pana Beresforda?

- Możliwe, a ja wołałabym, żeby tak się nie stało.

- No jasne. Niech pani słucha, jeśli natknę się na coś albo coś usłyszę, przyjdę i zaproponuję, że popracuję trochę w ogrodzie. Jak to brzmi? Wtedy będę mógł przekazać pani, czego się dowiedziałem, i nikt nas nie podsłucha. W tej chwili jeszcze nic nie wiem. Ale mam kumpli.

Wyprostował się raptownie, przybierając postawę zapamiętaną najwyraźniej z jakiegoś filmu w telewizji.

- Trochę wiem - stwierdził. - Ludzie nie mają pojęcia, ile. Nie podejrzewają, że ja słucham i zapamiętuję. Ale ja czasami coś wiem. Wie pani, ktoś coś powie i doda, kto jeszcze o tym wie, a potem... no, jeśli siedzi się cicho, można się sporo dowiedzieć. To wszystko musi być strasznie ważne, prawda?

- Tak - przyznała Tuppence. - To jest bardzo ważne. Ale musimy być ostrożni. Rozumiesz?

- O tak. Jasne, że będę ostrożny. Ostrożny jak wszyscy... wie pani. Sporo wiedział o tym miejscu - dodał. - Znaczy się, mój wuj Izaak.

- Mówisz o budynku czy o ogrodzie?

- No właśnie. Znał kilka historii. Że jakichś ludzi widziano, jak gdzieś szli, robili coś, spotykali się z innymi. Gdzie były skrytki i tak dalej. Czasami o tym opowiadał. Mama oczywiście nie słuchała go. Uważała, że to głupoty. Johnny to mój starszy brat, też uważał, że to bzdury i nie słuchał. Ale ja słuchałem, a Clarence'a to w ogóle ciekawią takie sprawy. No wie pani, lubi filmy o szpiegach i gangsterach. Powiedział mi: "Chuck, to zupełnie jak w kinie". Często o tym rozmawialiśmy.

- Czy słyszałeś kiedykolwiek, żeby ktoś wspominał Mary Jordan?

- No jasne! To była Niemka, która była szpiegiem, nie? Wydostawała tajemnice od oficerów marynarki, prawda?

- Coś w tym stylu - powiedziała Tuppence, czując, że bezpieczniej będzie trzymać się tej wersji, choć w myślach przeprosiła ducha Mary Jordan.

- Podobno była śliczna? Bardzo piękna?

- Nie wiem - odparła Tuppence. - Zmarła najprawdopodobniej, gdy sama miałam nie więcej niż trzy lata.

- No jasne, oczywiście. Czasami ktoś coś o niej mówi.

- Wyglądasz na podekscytowaną i zadyszaną - stwierdził Tommy, kiedy jego żona w ogrodowym stroju weszła przez boczne drzwi, z trudem łapiąc oddech.

- W pewnym sensie - przyznała.

- Nie przepracowałaś się w ogrodzie?

- Nie. Właściwie w ogóle nie pracowałam. Stałam przy grządkach z sałatą i rozmawiałam albo raczej słuchałam. Jakkolwiek to ująć...

- Kogo słuchałaś?

- Chłopca - powiedziała Tuppence. - Chłopca.

- Proponował pomoc ci w ogrodzie?

- Nie całkiem. Choć to byłoby, oczywiście, miłe. Właściwie, wyrażał swój podziw.

- Dla ogrodu?

- Nie. Dla mnie.

- Dla ciebie?

- Nic patrz na mnie z takim zdumieniem - powiedziała Tuppence. - Ani tak nie mów. Choć przyznaję, że *bonnes huches* zdarzają się, kiedy się tego najmniej spodziewamy.

- Czy podziw dotyczył twojej urody, czy ogrodniczek?

- Mojej przeszłości.

- Twojej przeszłości!

- Tak. Był podekscytowany, że to ja byłam tą panią, która, jak powiedział, zdemaskowała niemieckiego szpiega w czasie ostatniej wojny. Falszywego kapitana marynarki na emeryturze, który wcale nie był kapitanem.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Tommy. - Znowu N wy M. Moja droga, czy nigdy nie

będzie nam dane o tym zapomnieć?

- Nie jestem pewna, czy tego chcę - powiedziała Tuppence. - Bo właściwie dlaczego?

Gdybyśmy byli znanymi aktorami, chcielibyśmy o tym pamiętać.

- Rozumiem twój punkt widzenia.

- I to może okazać się pożyteczne w sprawie, którą próbujemy teraz rozwiązać.

- Ten chłopiec, mówiłaś, ile ma lat?

- Jakies dziesięć lub dwanaście. Wygląda na dziesięć, chociaż chyba jest starszy. Ma kolegę imieniem Clarence.

- A co to ma wspólnego ze sprawą?

- W tej chwili nic - przyznała Tuppence. - Ale przyjaźni się z Clarence'em i jak sądzę, obaj chcieliby przyłączyć się do nas, żeby prowadzić poszukiwania i przekazywać nam informacje.

- Jeśli mają po dziesięć lub dwanaście lat, jakim cudem mogą pamiętać coś, czego chcemy się dowiedzieć? Co ci powiedział?

- Mówił przeważnie krótkimi zdaniami, które składały się głównie z "wie pani" i "znaczy się" oraz "no jasne". "Znaczy się" funkcjonowało jak spójnik.

- I dowiedziałaś się mnóstwo nowych rzeczy.

- On próbował wyjaśnić to, co słyszał.

- Od kogo?

- Nie z pierwszej ręki, jak ty to mówisz, i nie, jak powiedziałabym sama, z drugiej. Raczej z trzeciej, czwartej, piątej i szóstej. Dowiedziałam się również, co słyszał Clarence i przyjaciel Clarence'a, Algemon. Co, jak mówił Algernon, usłyszał Jimmy...

- Zatrzymaj się - przerwał jej Tommy - wystarczy. I co takiego wszyscy oni słyszeli?

- To dużo trudniej stwierdzić, choć chyba można do tego dotrzeć - odparła Tuppence. - Słyszeli, jak wspomiano o pewnych miejscach i powtarzano pewne historie. Byli bardzo chętni, by wziąć udział w zabawie, dla której najwyraźniej tu przyjechaliśmy.

- To znaczy?

- W odkryciu czegoś ważnego. Czegoś, co jak wiadomo, zostało tu ukryte.

- Ach tak. Ukryte. Jak, gdzie i kiedy?

- Jest wiele wersji dotyczących każdego z tych trzech pytań - powiedziała Tuppence. - Musisz przyznać, Tommy, że to ekscytujące.

Tommy przyznał z zastanowieniem, że być może i jest to ekscytujące.

- To łączy się ze starym Izaakiem - ciągnęła Tuppence. - Myślę, że musiał wiedzieć całkiem sporo i mógł nam o tym opowiedzieć.

- I według ciebie Clarence i... jak nazywa się ten chłopiec?

- Zaraz sobie przypomnę. Pomylili mi się wszyscy, od których on coś usłyszał. Chłopcy o wspaniałych imionach jak Algemon i ci o zwyczajnych, jak Jimmy, Johnny i Mikę.

- Chuck - powiedział nagle Tommy.

- Co?

- Nie, nie w tym sensie. To chyba jego imię. Tego chłopca.

- Bardzo dziwne.

- Naprawdę nazywa się Henry, ale zdaje się, że jego koledzy wołają na niego Chuck.

- Chuck łasica.

- Chytry jak łasica - poprawił ją Tommy.

- Wiem, że tak się mówi, ale Chuck łasica brzmi równie dobrze.

- Och, Tommy - ciągnęła Tuppence - tak naprawdę chodziło mi o to, że musimy dalej się tym zajmować, zwłaszcza teraz. Czy czujesz to samo?

- Tak - przyznał Tommy.

- Tak przypuszczałam. Nie, żebyś coś mówił. Ale musimy to kontynuować i powiem ci, dlaczego. Głównie z powodu Izaaka. Ktoś go zabił. Zamordowano go, ponieważ coś wiedział. Coś, co może być dla kogoś niebezpieczne. I musimy odkryć, dla kogo.

- A nie sądzisz, że to jeden z tych przypadków... no wiesz, akt przemocy czy jak to się określa. Wiesz, ktoś napada na przechodnia, nieważne, kim jest przechodzień, choć napastnik woli starszego człowieka, niezdolnego do oporu.

- Tak, w pewnym sensie może i tak. Ale to nie był taki przypadek. Uważam, że coś... może "ukryte" nie jest dobrym słowem, ale coś jest tutaj. Coś, co rzuca światło na jakieś zdarzenie z przeszłości. Ktoś zostawił coś tutaj albo schował, albo przekazał komuś do schowania. Ten ktoś nie żyje już lub też przedmiot przeniesiono gdzie indziej. Ktoś jednak nie chce, by go odnaleziono. Izaak wiedział o tym i ktoś bał się, że nam to powie. Najwyraźniej w tej chwili świat kręci się wokół nas. Jesteśmy sławnymi pracownikami kontrwywiadu czy jak to nazwiesz. Taką mamy reputację. A to wszystko w pewnym sensie wiąże się z Mary Jordan i resztą sprawy.

- Mary Jordan nie zmarła naturalną śmiercią - powtórzył Tommy.

- Tak, a starego Izaaka zamordowano. Musimy odkryć, kto to zrobił i dlaczego. Inaczej...

- Musisz uważać - przerwał Tommy. - Musisz uważać na siebie, Tuppence. Jeśli ktoś zabił Izaaka, gdyż sądził, że przekaże nam to, co słyszał o wydarzeniach z przeszłości, równie dobrze pewnego wieczoru może czekać na ciebie w ciemnym rogu i zrobić to samo. Nikt by się tym nie przejął, powiedziano by tylko: "Och, znowu to samo".

- To znaczy, znowu zabito jakąś staruszkę - uściśliła Tuppence. - Tak, masz rację. To nieszczęsny skutek posiadania siwych włosów i lekkiego artretyzmu w kolanie. Jasne, że dla każdego jestem łatwą zwierzyną. Będę uważać na siebie. Czy nie sądzisz, że powinnam mieć przy sobie mały pistolet?

- Nie - odparł Tommy - na pewno nie.

- Dlaczego? Czyżbyś uważał, że popełnię jakiś błąd?

- Mogłabyś potknąć się o wystający korzeń. Zawsze się o coś potykasz. I zamiast

obronić, mogłabyś się postrzelić.

- Chyba nie myślisz naprawdę, że mogłabym zrobić coś równie głupiego?

- Tak właśnie myślę. Jesteś do tego zdolna.

- Mogłabym nosić nóż sprężynowy.

- Na twoim miejscu nic bym nie nosił - powiedział Tommy. - Wyglądałbym niewinnie i rozmawiał z każdym o ogrodnictwie. Możesz mówić, że nie podoba nam się dom i planujemy przenieść się gdzie indziej. Tak bym proponował.

- Komu mam to mówić?

- Każdemu. Plotka szybko się rozniesie.

- Plotki zawsze się roznoszą. A to idealne miejsce na plotki. Zamierzasz powtarzać to samo?

- Z grubsza. Mów, że dom nie spodobał nam się tak bardzo, jak na początku.

- Ale dalej chcesz zajmować się śledztwem?

- Tak - powiedział Tommy. - Siedzę w tym po uszy.

- A myślałeś, co robić dalej?

- To samo, co do .tej pory. A ty, Tuppence? Masz jakieś plany?

- Jeszcze nie. Mam kilka pomysłów. Mogę dowiedzieć się więcej od... jak on się nazywał?

- Jeden Henry, a drugi Clarence.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Drużyna juniorów

Pożegnawszy Tommy'ego, który wyjeżdżał do Londynu. Tuppence pokręciła się bez celu po domu, próbując znaleźć sobie zajęcie, które mogłoby przynieść pozytywne rezultaty. Jednak tego ranka jej mózg nic był pełen błyskotliwych pomysłów.

Mając wrażenie, że cofa się do początku, weszła na górę do biblioteki i zaczęła krążyć wokół półek, patrząc na tytuły książek. Mnóstwo pozycji dla dzieci. Nie sposób wydobyć z nich nic więcej. Zrobiła już wszystko, co możliwe. Teraz była niemal absolutnie pewna, że przejrzała każdą książkę w tym pokoju. Alexander Parkinson nie ujawnił więcej tajemnic.

Stała przeczesując ręką włosy, marszcząc czoło i kopiąc nogą dolną półkę z książkami teologicznymi o przeważnie poobrywanych okładkach. Wszedł Albert.

- Ktoś czeka na panią na dole.

- To znaczy kto? Znam go?

- Nie wiem. Raczej nie. To głównie mali chłopcy. Może ze dwie dziewczynki. Pewnie zbierają datki.

- Ach tak. Nie przedstawili się?

- Jeden powiedział, że ma na imię Clarence i że pani go zna.

- Clarence - zastanowiła się przez chwilę.

Czy to owoce wczorajszej rozmowy? Cóż, kontynuowanie jej nie wyrządzi nikomu żadnej krzywdy.

- Czy jest też ten drugi chłopiec? Ten, z którym rozmawiałam wczoraj w ogrodzie?

- Nie wiem. Wszyscy wyglądają jednakowo. To znaczy są brudni.

- No dobrze, zejść na dół.

Kiedy dotarła do holu, zwróciła pytające spojrzenie na swojego przewodnika.

- Nie pozwoliłem im wejść do domu - wyjaśnił Albert. - Uznałem, że to nie byłoby bezpieczne. W dzisiejszych czasach nie wiadomo, komu ufać. Czekają w ogrodzie. Kazali powiedzieć, że będą przy kopalni złota.

- Przy czym?

- Przy kopalni złota.

- Aha.

- Wie pani, gdzie?

Tuppence wskazała palcem.

- Za ogrodem różanym i w prawo ścieżką z daliami. Chyba wiem. Płynie tam jakaś woda. Nie mam pojęcia, czy to strumyk, czy sztuczny kanał. Może kiedyś był tam staw ze

złotymi rybkami. Podaj mi gumki. Wezmę też płaszcz przeciwdeszczowy na wypadek, gdyby ktoś chciał mnie wepchnąć do wody.

- Na pani miejscu założyłbym go. Zaraz będzie padać.

- O mój Boże. Deszcz. Zawsze ten deszcz. Wyszła i szybko dotarła do czekającej na nią sporej gromadki. Tworzyło ją dziesięcioro lub dwanaścioro dzieci w podobnym wieku; chłopcom towarzyszyły dwie długowłose dziewczynki. Wszyscy wyglądali na podekscytowanych. Na widok Tuppence jedno z nich oderwało się z przejęciem:

- Idzie. Już jest. Kto będzie mówił? George, ty zacznij. Ty zawsze mówisz.

- Nie tym razem. Ja będę mówił - powiedział Clarence.

- Przymknij się, Clarrie. Wiesz, że masz słaby głos. I ciągle kaszlesz.

- Słuchajcie, to moje przedstawienie. Ja...

- Dzień dobry wszystkim - przerwała mu Tuppence. - Przyszliście do mnie w jakiejś sprawie, prawda? O co chodzi?

- Mamy coś dla pani - odparł Clarence. - Informację. Tego pani szuka, prawda?

- To zależy - odparła Tuppence. - Co to za informacja?

- Ona nie dotyczy teraźniejszości, ale dawnych czasów.

- To historyczna informacja - wtrąciła się jedna z dziewczynek, wyglądająca na intelektualną przywódczynię grupy. - Bardzo interesująca, jeśli bada pani przeszłość.

- Rozumiem - powiedziała Tuppence, skrywając fakt, że nic nie rozumiała. - Co to za miejsce?

- Kopalnia złota.

- Aha. A jest tu jakieś złoto?

Rozejrzała się wokół.

- Tak naprawdę to staw ze złotymi rybkami - wyjaśnił jeden z chłopców. - Kiedyś były tu złote rybki. Takie specjalne, z długimi ogonami, chyba z Japonii. Ależ tu było wtedy wspaniale. Za czasów starej pani Forrester. To było... z dziesięć lat temu.

- Dwadzieścia cztery - poprawiła go jedna z dziewczynek.

- Sześćdziesiąt - odezwał się jakiś cichy głos - dokładnie sześćdziesiąt. Było mnóstwo złotych rybek. Bardzo dużo. Podobno były cenne. Czasami zdychały. Zjadały się nawzajem albo przewracały brzuchem do góry i tak pływały.

- I co chcecie mi o nich powiedzieć? Teraz nie widzę tu żadnych złotych rybek.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Tuppence zamachała ręką.

- Nie wszyscy naraz - powiedziała. - Niech mówi jedna osoba. O co chodzi?

- Powinna pani wiedzieć, gdzie kiedyś coś schowano. To było podobno coś ważnego.

- A jak się o tym dowiedzieliście? To znów sprowokowało cały chór odpowiedzi.

Trudno było cokolwiek zrozumieć.

- Od Janie.

- Od wujka Janie, Bena.

- Wcale nie. Od Harry'ego... tak, tak, to był Harry. Kuzyn Harry'ego. Tom... Nie, on był za młody. Babcia mu opowiedziała, a jego babci opowiedział Josh. Nie wiem, kim był Josh. Może jej mężem... Nie, nie był jej mężem, tylko wujem.

- O mój Boże - wyrwało się Tuppence. Popatrzyła na gestykujący tłumek i wskazała ręką.

- Clarence - powiedziała. - Ty jesteś Clarence, prawda? Twój kolega opowiadał mi o tobie. Więc co wiesz i o co dokładnie chodzi?

- Jeśli chce pani wiedzieć, musi pani pójść do PKP.

- Gdzie?

- Do PKP.

- A co to takiego?

- Nie wie pani? Nikt pani nie powiedział? To Pałacowy Klub Pensjonariuszy.

- Mój Boże, to brzmi wspaniale - oceniła Tuppence.

- Ale wcale takie nie jest - odezwał się dziewięcioletni na oko chłopiec. - Nie jest ani trochę wspaniałe. Tam tylko spotykają się starzy emeryci. Niektórzy twierdzą, że plotą same bzdury. Wie pani, o rzeczach z ostatniej wojny i późniejszych. Mówią o wszystkim.

- Gdzie jest PKP? - spytała Tuppence.

- Na końcu wioski. W pół drogi do Morton Cross. Jeśli jest się emerytem, dostaje się kartę wstępu i idzie tam grać w bingo i tak dalej. To całkiem zabawne. Niektórzy są bardzo starzy. Głusi i ślepi. No, ale oni lubią się spotykać.

- Chyba chciałabym im złożyć wizytę - powiedziała Tuppence. - Na pewno. Czy należy tam pójść o określonej godzinie?

- O której pani chce. Ale dobrze będzie po południu. Wtedy mogą zapowiedzieć, że odwiedzi ich znajomy. Jeśli tak powiedzą, dostaną coś extra na podwieczorek. Czasami biszkopty posypane cukrem. I chrupki. Takie tam. Co mówiłeś, Fred?

Fred wystąpił do przodu. Skłonił się pompatycznie przed Tuppence.

- Będę uszczęśliwiony mogąc zaprowadzić tam panią - powiedział. - Czy odpowiada pani godzina trzecia trzydzieści?

- Och, zachowuj się jak człowiek - rzucił Clarence. - Przestań się wygłupiać.

- Będzie mi bardzo miło - odparła Tuppence. Spojrzała na stawek. - Szkoda, że nie ma tu już złotych rybek,

- Powinna pani zobaczyć te z pięcioma ogonami. Były śliczne. Kiedyś wpadł tu czyjś pies. Chyba pani Faggett.

Natychmiast podniosły się głosy sprzeciwu:

- Wcale nie. Ona nazywała się Follyo, nie Fagot.

- Właśnie że Foliatt, przez jedno f i nie dużą literą.

- Nie bądź głupi. To był ktoś zupełnie inny. Panna French. I pisała się przez dwa małe f.

- Czy pies się utopił? - wtrąciła się Tuppence.

- Nie. To był szczeniak i jego mama zdenerwowała się i zaczęła ciągnąć pannę French za suknię. Panna Isabel była wtedy w sadzie i zrywała jabłka, a mama szczeniaka pociągnęła ją za sukienkę, więc panna French poszła i zobaczyła, że szczeniak się topi. Wskoczyła do stawu i wyciągnęła go. Była cała mokra, a sukienka nie nadawała się już potem do noszenia.

- O mój Boże! Wydarzyło się tu całe mnóstwo rzeczy powiedziała Tuppence. - No dobrze. Będę gotowa po południu. Może dwoje lub troje z was przyszłoby zabrać mnie do Pałacowego Klubu Pensjonariuszy?

- Jacy troje? Kto ma przyjść?

Znów zaczęli się przekrzykiwać.

- Ja idę... Nie, ja nie... Nie, Betty... Betty nie pójdzie. Betty poszła przedwczoraj. To znaczy, poszła do kina. Nie może iść znowu.

- Ustalcie to między sobą - zaproponowała Tuppence. - Przyjdę tu o w pół do czwartej.

- Mam nadzieję, że to będzie ciekawe - powiedział Clarence.

- To będzie miało historyczne znaczenie - orzekła inteligentna dziewczynka.

- Zamknij się, Janet! - rzucił Clarence. Zwrócił się do Tuppence: - Zawsze taka jest. Janet chodzi do szkoły prywatnej i ciągle się popisuje. Państwowa nie była dla niej dość dobra, jej rodzice narobili zamieszania i teraz jest w prywatnej. Dlatego tak się wygłupia.

Po lunchu Tuppence zastanawiała się, czy poranne wydarzenia doprowadzą do jakichś następstw. Czy naprawdę ktoś przyjdzie zaprowadzić ją do PKP? Czy w ogóle istniało coś takiego, czy dzieci same wymyśliły sobie tę nazwę? Cóż, to mogło być zabawne - siedzieć i czekać na wypadek, gdyby ktoś jednak przyszedł.

Jednak delegacja zjawiała się punktualnie co do minuty. O wpół do czwartej zadzwonił dzwonek u drzwi. Tuppence podniosła się z fotela przy kominku, wsadziła na głowę kapelusz - plastikowy, gdyż uznała, że może padać. Pojawił się Albert, by odprowadzić ją do wyjścia.

- Nie pozwolę pani wychodzić z byle kim - szepnął jej w ucho.

- Słuchaj, Albercie - wyszeptała Tuppence - czy naprawdę istnieje takie miejsce jak PKP?

- Myślałem, że to ma coś wspólnego z kartami wizytowymi - odparł Albert, zawsze gotów, by udowodnić swoje rozeznanie w zwyczajach towarzyskich. - Wie pani. zostawia się je znajomym przed wyjazdem lub po przyjeździe, nie jestem pewien, w którym przypadku.

- To ma coś wspólnego z emerytami.

- A tak, jest takie miejsce. Zbudowano je zaledwie dwa lub trzy lata temu, jak mi się wydaje. Musi pani minąć plebanię, skrócić w prawo - i już je widać. To brzydki budynek, ale dobry dla starych ludzi, którzy chcą się tam spotykać. Mają swoje gry i rozrywki, a sporo pań przychodzi pomagać. Organizują koncerty, trochę jak... no wie pani. w Klubie Kobiet. Tylko to jest dla starszych ludzi. Są bardzo wiekowi i przeważnie głusi.

- Tak mi mówiono.

Albert otworzył frontowe drzwi. Na progu, z racji swojej intelektualnej wyższości, stała Janet. Za nią Clarence, a z tyłu wysoki, zezowaty chłopiec, który, jak przypominała sobie Tuppence, miał chyba na imię Bert.

- Dzień dobry, pani Beresford - odezwała się Janet. - Wszyscy się cieszą, że pani przyjdzie. Lepiej niech pani weźmie parasolkę, prognoza pogody nie była zbyt dobra.

- I tak muszę iść w tamtą stronę - wtrącił się Albert - więc odprowadzę panią kawalek.

Oczywiście Albert jak zawsze starał się ją chronić, pomyślała Tuppence. Nie sądziła jednak, żeby Janet, Clarence czy Bert stanowili jakiegokolwiek zagrożenie. Spacer zabrał im dwadzieścia minut. Dotarli do bramy czerwonego budynku. W drzwiach przyjęła ich tęga, siedemdziesięcioletnia kobieta.

- Ach, mamy więc gości. Bardzo się cieszę, że pani przyszła, kochanie - poklepała Tuppence po ramieniu. - Tak, Janet, bardzo ci dziękuję. Tędy, proszę. Wy, dzieci, nie musicie czekać, jeśli nie chcecie.

- Myślę, że chłopcy byliby rozczarowani, gdyby nie usłyszeli, o co chodzi - odezwała się Janet.

- No cóż, widzicie, nie ma nas tu zbyt dużo. Uznaliśmy, że w małej grupie będzie pani Beresford wygodniej, mniej krępująco. Janet, idź do kuchni i powiedz, Mollie, że jesteśmy gotowi do podwieczorku.

Tuppence tak naprawdę nie przyszła na podwieczorek, ale nie mogła tego powiedzieć. Herbatę wniesiono błyskawicznie. Była wyjątkowo słaba, a do niej podano biszkopty i kanapki z dość paskudną pastą o rybim smaku. Potem wszyscy rozsiedli się i wydawali się lekko skrepowani.

Brodaty mężczyzna, który według Tuppence wyglądał na sto lat, podszedł i usiadł obok.

- Będzie najlepiej, jeśli ja pierwszy zamienię z tobą słówko, moja damo - powiedział, podnosząc Tuppence do szlacheckiej godności. - Chyba jestem tu najstarszy i słyszałem więcej historii o dawnych dniach niż ktokolwiek inny. Mnóstwo dotyczyło tego miejsca. Wiele tu się wydarzyło, lecz nie możemy mówić naraz o wszystkim, prawda? Choć, oczywiście, każdy z nas słyszał coś o tym, co tu się działo.

- O ile wiem - wtrąciła pośpiesznie Tuppence, zanim starzec mógł poruszyć temat, który by ją wcale nie interesował - o ile wiem, sporo ciekawych rzeczy działo się tu nie tyle w czasie ostatniej wojny, ile podczas poprzedniej albo nawet wcześniej. Oczywiście, pana wspomnienia nie mogą sięgać tak daleko. Zastanawiałam się tylko, czy może słyszał pan coś od swoich starszych krewnych.

- Tak, tak było - odparł starzec. - Wiele słyszałem od wuja Lena. To był wspaniały facet, ten mój wuj Len. Sporo wiedział. O tym, co się działo. Na przykład przed ostatnią wojną w domu nad zatoką. Bardzo złe rzeczy. Spotykali się tam fakiści...

- Faszyci - poprawiła go jedna ze starszych pań, dość afektowana, z siwymi włosami i

w podniszczonej koronkowej apaszce wokół szyi.

- Niech będzie, że faszyści. Co to ma za znaczenie? On był jednym z nich. Taki sam jak ten facet we Włoszech. Mussolini, prawda? Albo równie podejrzane nazwisko. Muszla lub muszelka. W każdym razie, wyrządził wiele szkód. Organizował spotkania. Podobno wszystko zaczął Mosley.

- A w czasie pierwszej wojny mieszkała tu dziewczyna nazwiskiem Mary Jordan, prawda? - wtrąciła Tuppence, zastanawiając się, czy był to rozsądny krok.

- A tak. Ponoć była bardzo ładna. Wyciągała tajemnice wojskowe od marynarzy i żołnierzy.

Jakaś wiekowa staruszka zanuciła cienkim głosem:

*Nie służy w marynarce, nie służy w armii
Ale to męczyzna dla mnie
Nie w marynarce ani nie w armii
Lecz w Królewskiej Artylerii!*

Staruszek zaczął śpiewać inną piosenkę:

*Daleka droga do Tipperary,
daleka droga przed nami,
Daleka droga do Tipperary
a więcej nie wiem nic.*

- Wystarczy. Benny, to nam w zupełności wystarczy - przerwała stanowczo wyglądająca kobieta, która mogła być jego żoną albo córką.

Kolejna staruszka zanuciła drżącym głosem:

*Wszystkie dziewczęta kochają żeglarzy,
Wszystkie kochają marynarzy.
Wszystkie dziewczęta kochają żeglarzy,
A wiesz, jacy oni są.*

- Ucisz się, Maudie, mamy już dosyć tej piosenki. Pozwólmy, żeby nasz gość wreszcie się czegoś dowiedział - powiedział wuj Ben. - Nasz gość przyszedł w konkretnym celu. Chce wiedzieć, gdzie ta rzecz, o którą było tyle zamieszania. została schowana, prawda?

- To brzmi bardzo interesująco - przytaknęła Tuppence, rozjaśniając się. - Coś zostało schowane?

- Tak, nie za moich czasów, ale co nieco słyszałem. Jeszcze przed tysiąc dziewięćset

czternastym. Ludzie przekazywali sobie informacje. Nikt nie wiedział, o co dokładnie chodziło i dlaczego wywołało to tyle podniecenia.

- To miało coś wspólnego z zawodami wioślarskimi - wtrąciła jedna ze staruszek. - Wie pani, między Oksfordem a Cambridge. Zostałam raz zaproszona. Widziałam łodzie w Londynie, płynące pod mostami. To był cudowny dzień. Studenci z Oksfordu wygrali o długość łodzi.

- Opowiadasz bzdury - rzuciła ponuro wyglądająca kobieta o stalowosiwych włosach. - Nic nie wiesz, nic. Wiem więcej niż ty, choć to zdarzyło się na długo przed moim urodzeniem. Opowiadała mi moja cioteczna babka Matylda. a jej opowiedziała ciocia Lou. To działo się dobre czterdzieści lat przed nimi. Sporo gadano i wszyscy tego szukali. Niektórzy myśleli, że chodziło o kopalnię złota. Tak, o złote sztabki przywiezione z Australii.

- Kompletny idiotyzm - stwierdził staruszek palący fajkę i traktujący wszystkich zebranych z niechęcią. - Pomyliło ci się ze złotymi rybkami. Ależ z ciebie ignorantka.

- Cokolwiek to było, musiało być warte kupę pieniędzy albo nikt by tego nic chował - odezwał się ktoś inny. - Przyjechało tu mnóstwo ludzi z rządu i policja. Szukali, ale niczego nie znaleźli.

- Bo nie mieli wskazówek. Jeśli się wie, gdzie i szukać, można znaleźć wskazówki - kolejna staruszka mądrze pokiwała głową. - Zawsze są wskazówki.

- To ciekawe - powiedziała Tuppence. - Gdzie? To znaczy, gdzie są te wskazówki? W wiosce czy za wioską albo...?

Było to nieroztropne pytanie, gdyż sprowokowało co najmniej sześć różnych odpowiedzi, a wszystkie padły równocześnie.

- Na wrzosowiskach za Zachodnią Wieżą.

- Nie. za Little Kenny. Całkiem niedaleko.

- W jaskini. W jaskini nad morzem. Aż koło Łysej Głowy. Wie pani, tam, gdzie są te czerwone skały. Właśnie tam. Pozostał tam tunel po przemytnikach. Musi być wspaniały. Niektórzy mówią, że skarb nadal tam jest.

- Kiedyś czytałam historię o hiszpańskim galeonie. Z czasów Wielkiej Armady. Zatonął tu hiszpański statek pełen złotych dublonów.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Atak na Tuppence

- Dobry Boże! - wykrzyknął Tommy, wróciwszy tego wieczoru do domu. - Wyglądasz na okropnie zmęczoną, Tuppence. Co robiłaś? Jakbyś była zupełnie wyczerpana.

- Bo jestem - odparła Tuppence. - Nie wiem, czy jeszcze kiedyś odzyskam siły. O Boże!

- Czym się zajmowałaś? Chyba nie wspinałaś się na półki w poszukiwaniu następných książek?

- Nie, nie. Nie chcę już patrzeć na książki. Skończyłam z nimi.

- Więc co się stało? Co robiłaś?

- Wiesz, co to takiego PKP?

- Nie - odparł Tommy. - Chociaż chyba wiem. To coś... - umilkł.

- Tak. Albert wie, ale nie o to chodzi. Zaraz ci powiem, ale najpierw lepiej się napij. Może koktajl albo whisky. Sama też się napiję.

Udało jej się mniej więcej przedstawić Tommy'emu popołudniowe wydarzenia. Tommy ponownie wykrzyknął: "Dobry Boże!"

- W co ty się pakujesz, Tuppence! Czy usłyszałaś cokolwiek interesującego? - spytał.

- Nie wiem - odparła. - Kiedy sześcioro ludzi mówi jednocześnie, a większość z nich niewyraźnie, i wszyscy twierdzą co innego - sam już nie wiesz, co właściwie mówią. Ale mam chyba kilka pomysłów na to, co zrobić dalej.

- Co masz na myśli?

- Najwyraźniej krąży mnóstwo legend na temat czegoś, co niegdyś tu ukryto. Była to jakaś tajemnica z czasów wojny w tysiąc dziewięćset czterem, a może i wcześniej.

- Przecież to już wiemy? To znaczy powiedziano nam o tym.

- Tak. Ale w wiosce nadal krąży kilka starych historii. Każdy ma własne pomysły, podsunęte przez ciotkę Marię lub wuja Bena, a ci z kolei nabrali podejrzeń przez wuja Stephena, ciotkę Ruth czy babkę Jakąstam. Przekazywano je od lat. Jedna z historii może być prawdziwa.

- Zagubiona między innymi?

- Jak igła w stogu siana. Zamierzam wybrać kilka, które nazwałam "prawdopodobnymi możliwościami". Dotrzeć do osób, które przekazały innym to, co same usłyszały. Muszę ich odszukać i namówić, by powiedzieli mi, czego naprawdę dowiedzieli się od ciotki Agaty czy Betty albo od starego wuja Jamesa. Potem przepytam następnych, i może któryś pozwoli mi domyślić się prawdy. Przecież coś musi gdzieś być.

- I pewnie jest - zgodził się Tommy - ale wciąż nie wiemy, co.

- To właśnie przez cały czas próbujemy odkryć.
- Chodzi mi o to, że musisz mieć jakieś pojęcie, czego szukasz, zanim zaczniesz szukać.
- Nie sędzę, żeby chodziło o złote sztaby z galeonu hiszpańskiej Armady - powiedziała Tuppence - ani o skarb ukryty w jaskini przemytników.

- Może to świetna brandy prosto z Francji? - podsunął z nadzieją Tommy.
- Może, ale to nie byłoby to, czego my szukamy, prawda?
- Sam nie wiem - odparł Tommy. - Chyba prędzej czy później tego właśnie zaczęć szukać. To powinno być coś, z czego się ucieszę. Oczywiście, może okazać się, że to jakiś list. Na przykład miłosny, którym można było kogoś szantażować sześćdziesiąt lat temu. Dziś chyba nie miałby żadnego znaczenia?

- Tak. Cóż, w końcu musimy wpaść na jakiś trop. Jak myślisz, Tommy, czy kiedykolwiek dojdziemy do czegoś?

- Nie wiem. Chociaż ja znalazłem dziś pewną pomoc.
- Tak? Jaką?
- Chodził o spis.
- O co?
- O spis ludności. Przeprowadzono go w konkretnym roku, zapisałem datę. Wiele osób zatrzymało się wówczas u Parkinsonów.

- Jak, na Boga, to odkryłeś?
- Dzięki różnym metodom badawczym panny Collodon.
- Zaczynam być zazdrosna o pannę Collodon.
- Niepotrzebnie. Jest bardzo ostra, bez przerwy mnie beszta, a poza tym jej uroda nie powala na kolana.

- I bardzo dobrze - stwierdziła Tuppence. - Lecz co wspólnego ma spis ludności z naszą sprawą?

- Kiedy Alexander pisał "To musiało być jedno z nas", mógł mieć na myśli kogoś, kto w tamtym czasie przebywał w domu. Jego nazwisko musiało zostać wpisane na listę, tak jak nazwiska wszystkich gości. Kartoteki są prawdopodobnie w archiwach administracji. Jeśli zna się właściwych ludzi - co nie znaczy, że ja już ich znam, choć poprzez moich znajomych mogę do nich dotrzeć - można by otrzymać krótką listę.

- Przyznaję, że twój pomysł jest bardzo dobry - powiedziała Tuppence. - Zjedzmy coś, na litość boską, może potem poczuję się lepiej i pozbędę się osłabienia wywołanego próbą wysłuchania szesnastu bardzo niemiłych głosów równocześnie.

Albert podał smaczny posiłek. Gotował bardzo nierówno. Miał swoje chwile chwały, które tego dnia uosabiało coś, co określił mianem puddingu serowego, a co Tuppence i Tommy nazwaliby raczej sufletem. Albert zbeształ ich lekko za niewłaściwą terminologię.

- Suflet jest zupełnie inny - tłumaczył - ma białka ubite na sztywniejszą pianę.

- Nieważne - stwierdziła Tuppence. - To jest bardzo dobre, niezależnie, czy nazywa się puddingiem, czy sufletem.

Oboje byli całkowicie pochłonięci jedzeniem i nie porównywali już swoich dokonań. Kiedy jednak wypili po dwie filiżanki mocnej kawy. Tuppence odchyliła się na oparcie fotela, westchnęła głęboko i powiedziała:

- Teraz znów niemal czuję się sobą. Nie kapaleś się przed obiadem?

- Nie mogę zawracać sobie głowy tym, żeby czekać na ciebie z decyzją - powiedział Tommy. - Zresztą z tobą nigdy nic nie wiadomo. Możesz kazać mi iść na górę do biblioteki, stanąć na zakurzonej drabinie i grzebać na półkach.

- Nie byłabym aż tak niemiała - zaprzeczyła Tuppence. - Poczekaj chwilę. Niech sprawdzę, na czym stoimy.

- Na czym stoimy albo raczej, na czym ty stoisz?

- No właśnie. To jedyna rzecz, o której coś wiem. Ty wiesz, na czym sam stoisz i ja wiem, na czym stoję. Może o to chodzi?

- Miałbym kilka wątpliwości.

- Podaj mi moją torebkę, dobrze? Chyba, że zostawiłam ją w jadalni.

- Zwykle tak robisz, ale nie tym razem. Stoi pod twoim fotelem. Z drugiej strony. Tuppence podniosła torebkę.

- To był bardzo ładny prezent - powiedziała. - Prawdziwa krokodyla skórka. Choć czasami trudno wszystko do niej upchnąć.

- I najwyraźniej wyjąć.

Tuppence walczyła z torebką.

- Zawsze trudno wyciągnąć coś z drogiej torebki - rzuciła bez tchu. - Najwygodniejsze są te plecione. Rozciągają się do dowolnych rozmiarów i możesz nimi potrząsać jak salaterką z puddingiem. Aha! Chyba znalazłam!

- Co to jest? Wygląda jak kwit z pralni.

- To notesik. Dawniej zapisywałam w nim rzeczy do pralni, wiesz, żeby wiedzieć, na co mam się poskarżyć: podarta poszewka na poduszkę i tak dalej. Pomyślałam, że może mi się jeszcze przydać, bo wykorzystałam tylko trzy lub cztery strony. Zapisałam tu wszystko, co usłyszeliśmy. Spora część nie ma chyba żadnego sensu. Dodałam spis ludności, kiedy pierwszy raz o nim wspomniałeś. Wówczas nie wiedziałam jeszcze, co może oznaczać albo co ty o nim sądzisz. Mimo to zapisałam go.

- Świetnie - stwierdził Tommy.

- Wpisałam też panią Henderson i kogoś nazwiskiem Dodo.

- Kim jest pani Henderson?

- Raczej nie będziesz jej pamiętał, a teraz nie ma sensu o niej opowiadać. To są dwa nazwiska, które wymieniła pani... jakże ona się... no wiesz, ta staruszka... pani Griffin. Dalej mam notatkę o Oksfordzie i Cambridge. Znalazłam coś jeszcze w jednej ze starych książek.

- O co chodzi z Oksfordem i Cambridge? O jakiegoś studenta?

- Nie jestem pewna, chyba o zakład w czasie zawodów wioślarskich.

- To bardziej prawdopodobne - przyznał Tommy.

- I niezbyt użyteczne dla nas.

- Nigdy nie wiadomo. Tu więc mam panią Henderson i kogoś, kto mieszka w domu Pod Jabłonią, a tu coś, co znalazłam na brudnym skrawku papieru, wsuniętym w jedną z książek na górze. Nie pamiętam, czy była to *Katriona*, czy może książka zatytułowana *Cień tronu*.

- To o rewolucji francuskiej. Czytałem ją, kiedy byłem chłopcem - wyjaśnił Tommy.

- Nie wiem, co właściwie znaczy ten świstek, ale w każdym razie zapisałam to sobie.

- Co takiego?

- Trzy słowa skreślone ołówkiem. Grin, hen i Lo. pisane wielką literą.

- Niech zgadnę. Grin to po angielsku uśmiech, czyli kot z Cheshire, hen to kura, a *Kurka i grosik* to bajka, w której występuje kura. natomiast Lo...

- Aha! Lo cię wykończyło.

- Może loteria, choć to nie ma sensu.

Tuppence zaczęła mówić pośpiesznie:

- Pani Henley, Pod Jabłonią, nie odwiedziłam jej jeszcze, mieszka w Meadowside. Co więc tu mamy? - odczytała szybko: - Pani Griffin. Oksford i Cambridge, zakład o wynik zawodów wioślarskich, spis ludności, kot z Cheshire, Kurka i grosik, to opowieść o tym, jak kura idzie do Dovrefell, chyba Christiana Andersena. i Lo. Może Lo to miejsce, do którego dotarli. To znaczy w Dovrefell. Zdaje się, że nic więcej już nie mam. Nie wiem, czy chodzi o wyścigi, czy o sam zakład.

- Wydaje mi się, że naszą szansą jest nasza głupota. Jeśli będziemy głupi wystarczająco długo, możemy trafić na bezcenny klejnot skryty wśród śmieci, jeśli mogę tak się wyrazić. Podobnie jak wówczas, gdy na półce z książkami znaleźliśmy jedną szczególną.

- Oksford i Cambridge - powtórzyła Tuppence z namysłem. - To mi się z czymś kojarzy. Coś sobie przypominam. Co to może być?

- Matylda?

- Nie, nie Matylda, a jednak...

- Ukochany - podsunął Tommy. Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Ukochany. Gdzie znajdę mego ukochanego?

- Przestań się śmiać, ty małpo. Mam to na czubku języka. Grin-hen-lo. To nie ma sensu. A jednak... mam wrażenie... och!

- Czemu ochasz?

- Och. Tommy, mam pomysł! No oczywiście.

- Co oczywiście?

- Lo - powiedziała Tuppence. - Lo. Uśmiech kazał mi myśleć o Lo. Ty uśmiechałeś się jak kot z Cheshire. Grin. Hen i Lo. No jasne! To musi być to.

- O czym ty, u licha, mówisz?
- O zawodach wioślarskich między Oksfordem a Cambridge.
- A dlaczego uśmiech, kura i Lo przypominają ci zawody wioślarskie?
- Możesz zgadywać trzy razy - powiedziała Tuppence.
- Z góry się poddaję, bo to, co mówisz, nie ma sensu.
- A właśnie, że ma.
- Co, zawody wioślarskie?
- To nie ma nic wspólnego z zawodami. Chodzi o kolor. To znaczy o kolory.
- Czyli o co, Tuppence?
- Grin, hen. lo. Czytaliśmy od zlej strony. To trzeba przeczytać odwrotnie.
- To znaczy jak? Olneh... to nie ma sensu. Nic ci nie wyjdzie z nirgu. Czy jak to będzie.
- Nie. Weź tylko te trzy słowa. Trzy słowa, tak jak robił Alexander w swojej książce, w pierwszej, do której zajrzeliśmy. Przeczytaj je w odwrotnej kolejności. Lohengrin.

Tommy jęknął.

- Jeszcze nie złapałeś? Lohengrin. Łabędź. Opera. No wiesz. Lohengrin, Wagner.
- To nie ma nic wspólnego z łabędziem.
- Ma. Te dwa porcelanowe krzeselka, które znaleźliśmy. Dwa ogrodowe krzesła. Pamiętasz? Jedno ciemnoniebieskie. drugie jasnobłękitne. Stary Izaak powiedział nam. przynajmniej tak mi się wydaje: "To Oksford, a to Cambridge".

- Ale rozbiliśmy Oksford, prawda?
- Tak. Lecz Cambridge wciąż tam stoi. Jasnobłękitny. Nie rozumiesz? Lohengrin. Coś ukryto w jednym z dwóch łabędzi. Tommy, musimy zaraz pójść i zajrzeć, co jest w tym krześle. Cambridge nadal stoi w KK. Pójdziemy teraz?

- Co? O jedenastej w nocy? Nie.
- Więc jutro. Nie musisz jechać do Londynu?
- Nie.
- Pójdziemy więc jutro i zobaczymy.

- Nie wiem, co chce pani zrobić z ogrodem - powiedział Albert. - Kiedyś przez krótki czas zastępowałem ogrodnika, ale nie znam się za bardzo na warzywach. Przy okazji, jakiś chłopiec chce się z panią widzieć.

- Chłopiec! - powiedziała Tuppence. - Ten rudy?
- Nie, ten drugi, ten z szopą żółtych włosów sięgających połowy pleców. Ma dość głupie imię. Jak nazwa hotelu. Wie pani, Royal Clarence. Właśnie, to jego imię. Clarence.
- Clarence, ale nie Royal Clarence.
- No nie - przyznał Albert - to nie byłoby możliwe. Czeka przy frontowych drzwiach. Mówi, że mógłby pani pomóc.

- Dobrze. Jak wiem, pomagał czasem staremu Izaakowi.

Znalazła Clarence'a siedzącego na zniszczonym wiklinowym krześle na werandzie czy ganku, jakkolwiek to nazwać. Najwyraźniej jadł spóźnione śniadanie złożone z chipsów, a w lewej ręce trzymał balonik czekoladowy.

- Dzień dobry, psze pani - powiedział. - Przyszedłem sprawdzić, czy nie mógłbym w czymś pomóc.

- Oczywiście, potrzebna jest nam pomoc w ogrodzie. Chyba pomagałeś kiedyś Izaakowi?

- Od czasu do czasu. Nie, żebym się na tym znał. Zresztą Izaak też nie wiedział wiele. Dużo rozmawialiśmy, a on opowiadał, jak wspaniale mu się dawniej żyło. Jak świetnie wiodło się ludziom, którzy go zatrudniali. Mówił, że był głównym ogrodnikiem pana Bolingo. Wie pani, tego, co mieszkał w dole rzeki. W tym wielkim domu. Teraz jest tam szkoła. Mówił, że był tam głównym ogrodnikiem. Ale moja babcia twierdzi, że nie ma w tym słowa prawdy.

- Nieważne - powiedziała Tuppence. - Właściwie, to chciałam wynieść trochę rzeczy z tej małej oranżerii.

- Znaczy się z szopy, z oszklonej szopy? Z KK, tak?

- Tak. Dziwne, że wiesz, jak się nazywa.

- Zawsze tak się nazywała. Każdy to wie. Podobno to po japońsku. Nie wiem, czy to prawda.

- Chodźmy - rzuciła Tuppence.

Procesja składała się z Tommy'ego, Tuppence, psa Hannibala i zamykającego pochód Alberta, który porzucił zmywanie naczyń po śniadaniu dla czegoś bardziej interesującego. Hannibal sprawdził wszystkie intrygujące zapachy w sąsiedztwie i teraz okazywał wielką radość. Przyłączył się do nich przy drzwiach do KK i pociągnął z zainteresowaniem nosem:

- Cześć, Hannibal - zawołała Tuppence. - Pomożesz nam? Może coś nam powiesz?

- Co to za rasa? - spytał Clarence. - Ktoś mówił, że takie psy trzymane na szczury. To prawda?

- Tak jest - przyznał Tommy. - To manchesterski terier. Stary angielski podpalany terier.

Hannibal wiedząc, że rozmawiają o nim, odwrócił łeb, wykręcił całe ciało i wylewnie pomachał ogonem. Potem usiadł i wyglądał na bardzo dumnego z siebie.

- Gryzie, prawda? - spytał Clarence. - Wszyscy tak mówią.

- To dobry pies obronny - powiedziała Tuppence. - Pilnuje mnie.

- Właśnie - przytaknął Tommy. - Kiedy mnie nie ma, on cię pilnuje.

- Listonosz mówił, że omal go nie pogryzł cztery dni temu.

- Psy tak już reagują na listonoszy - stwierdziła Tuppence. - Wiesz, gdzie jest klucz do KK?

- Ja wiem - odezwał się Clarence. - Wisi w szopie. Też, gdzie stoją doniczki.

Wyszedł i wrócił po chwili z kluczem. Zardzewiał, ale ktoś go z grubsza naoliwił.

- Pewnie Izaak go wyczyścił - powiedział chłopiec.

- Tak, wcześniej trudno go było przekreślić - zgodziła się Tuppence.

Otworzyli drzwi.

Porcelanowy stołek z oplatającym go łąbędziem wyglądał całkiem ładnie. Najwyraźniej Izaak oczyścił go z kurzu i obmył, myśląc o przeniesieniu go na werandę, kiedy pogoda będzie na tyle ładna, by można było usiąść na zewnątrz.

- Gdzieś powinien być jeszcze ciemnoniebieski - zauważył Clarence. - Izaak mówił na nie Oksford i Cambridge.

- Naprawdę?

- Tak. Ciemnoniebieski to Oksford, a jasnoniebieski to Cambridge. Ach, i Oksford się rozbił, tak?

- Tak. Ich nazwy przypominają zawody wioślarskie, prawda?

- A przy okazji, coś chyba stało się z tym koniem na biegunach. W KK jest straszny bałagan.

- Tak.

- Matylda to śmieszne imię, nie?

- Miała operację - wyjaśniła Tuppence.

Clarence uznał to za bardzo zabawne. Roześmiał się serdecznie.

- Moja cioteczna babka. Edith, musiała mieć operację - powiedział. - Wycięli jej coś ze środka, ale potem czuła się dobrze.

Zabrzmiało to tak, jakby był trochę rozczarowany.

- Chyba nie ma sposobu, żeby jakoś dostać się do środka? - spytała Tuppence.

- Możesz go rozbić, jak ciemnoniebieski - podsunął Tommy.

- Naprawdę nie ma innej możliwości?

- Dziwne są te esowate nacięcia wokół siedzenia. Można by wsadzać do środka listy, zupełnie jak do skrzynki, prawda?

- Można by - zgodził się Tommy. - To bardzo interesujący pomysł, Clarence - przyznał życzliwie.

Chłopiec wyglądał na zadowolonego.

- Można go rozkręcić - powiedział.

- Naprawdę? Kto ci to powiedział?

- Izaak. Często widziałem, jak to robi. Stawia się, stołek do góry nogami i zaczyna kręcić siedzeniem. Czasami się zacina. Wtedy trzeba wlać kroplę oleju w szpary, a kiedy wsiąknie, można dalej kręcić.

- A jednak!

- Lepiej go odwróćmy - zaproponował Clarence.

- Tu chyba wszystko odwracano do góry nogami - powiedziała Tuppence. - Musieliśmy zrobić to samo z Matyldą, zanim zaczęliśmy operację.

Przez chwilę Cambridge stawiał opór, a potem nagle porcelanowe siedzenie zaczęło się obracać i wkrótce mogli je zdjąć.

- W środku jest pewnie mnóstwo śmieci - rzucił Clarence.

Hannibal przyłączył się do nich. Lubił pomagać we wszystkim, co się działo. Nic nie zostało zakończone, póki nie przyłożył do tego ręki czy raczej łapy - tak uważał. Zazwyczaj jednak tym, co wsadzał w sam środek interesujących wydarzeń, był nos. Obwąchał krzesło, zawarczał, cofnął się cal czy dwa i usiadł.

- Nie podoba mu się - stwierdziła Tuppence i zerknęła na niezbyt przyjemną dla oka zawartość stołka.

- O kurcze! - wykrzyknął Clarence.

- Co się stało?

- Podrapałem się. Z boku jest gwóźdź. na którym cos wisi. Chociaż nie wiem, czy to gwóźdź, czy coś innego. Kurcze!

- Hau, hau! - przyłączył się Hannibal.

- Cos wisi na tym gwoździu. Mam! Nie, wyślizgnęło mi się. Mam to.

Wyciągnął zawiniątko z ciemnego brezentu.

Hannibal usiadł przy nodze Tuppence. Zawarczał.

- O co chodzi, Hannibal? - spytała Tuppence.

Hannibal ponownie warknął. Tuppence pochyliła się i pogłaskała go po łbie i za uszami.

- Co się stało? - spytała. - Chciałeś, żeby zwyciężył Oksford, a teraz wygrał Cambridge? Pamiętasz - zwróciła się do Tommy'ego - jak pozwoliliśmy mu oglądać zawody wioślarskie w telewizji?

- Tak - przyznał Tommy. - Pod koniec rozżłościł się i zaczął tak szczekać, że nic nie usłyszeliśmy.

- Ale przecież widzieliśmy ekran - zauważyła Tuppence. - To już było coś. Pamiętasz, nie spodobało mu się, że wygrał Cambridge.

- Najwyraźniej studiował na Oksfordzkim Uniwersytecie dla Psów - powiedział Tommy.

Hannibal opuścił Tuppence i przeszedł do Tommy'ego, machając z uznaniem ogonem.

- Podoba mu się, co mówisz - stwierdziła Tuppence. - To musi być prawda. Ja uważam, że studiował na Otwartym Uniwersytecie dla Psów - dodała.

- Jaki był jego przedmiot kierunkowy? - spytał Tommy ze śmiechem.

- Zakopywanie kości.

- Dobrze go znasz.

- Tak - zgodziła się Tuppence. - Jest bardzo niemądry. Kiedyś Albert dał mu całą kość z baraniego udźca. Najpierw znalazłam go w saloniku, wkładał kość pod poduszkę. Wyrzuciłam go do ogrodu i zamknęłam za nim drzwi. Patrzyłam przez okno, co robi. Poszedł na grządkę z kwiatami, gdzie posadziłam gladiole, i zakopał ją bardzo starannie. Widzisz, on jest bardzo

schludny, gdy chodzi o kości. Nigdy nie próbuje ich zjeść. Zawsze odkłada je na czarną godzinę.

- Czy kiedykolwiek je wykopuje? - spytał Clarence, ufny w psią mądrość.

- Chyba tak - powiedziała Tuppence. - Kiedy są bardzo stare i lepiej byłoby pozostawić je w ziemi.

- Nasz pies nie lubi psich biszkoptów - rzucił Clarence.

- Nasz odsuwa je na bok talerza - zrewanżowała się Tuppence - i najpierw wyjada mięso.

- Za to nasz lubi ciasto biszkoptowe - zakończył temat Clarence.

Hannibal obwąchał zdobycz wyjętą z Cambridge. Nagle okręcił się wokół własnej osi i zaszczekał.

- Sprawdź, czy nie ma kogoś na zewnątrz - rzuciła Tuppence do Tommy'ego. - Może nowy ogrodnik. Ktoś mówił mi dwa dni temu, chyba pani Herring, że zna starszego człowieka, który za młodu był świetnym ogrodnikiem i nadal pracuje dorywczo.

Tommy otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Towarzyszył mu Hannibal.

- Nikogo tu nie ma - krzyknął Tommy.

Hannibal zaszczekał. Warknął, a potem zaczął szczekać coraz głośniej.

- Myśli, że ktoś chowa się w tej ogromnej kępie trawy pampasowej - powiedział Tommy. - Może ktoś odkopuje jedną z jego kości. Albo to królik. Hannibal głupieje na widok królika. Potrzebuje potężnej zachęty, zanim zacznie go gonić. Najwyraźniej darzy je sympatią. Ściga gołębie i duże ptaki. Na szczęście nigdy nie udaje mu się ich złapać.

Hannibal powęszył wokół kępy trawy, warknął i znowu zaczął szczekać. Od czasu do czasu zwracał łeb w stronę Tommy'ego.

- Pewnie jest tam kot - stwierdził Tommy. - Wiesz, jak reaguje, kiedy wydaje mu się, że w pobliżu jest kot. Kręci się tu duża czarna kotka razem z małym. Tym, którego nazywamy Kociakiem.

- To ten, który ciągle pakuje się do domu - powiedziała Tuppence. - Przeciska się przez najmniejszą szparę. Przestań wreszcie. Hannibal. Wracaj tu.

Hannibal usłyszał ją i odwrócił pysk, na którym malował się wyraz najwyższej zawziętości. Zerknął na Tuppence, cofnął się trochę, potem ponownie skupił uwagę na kępie trawy i zaczął gwałtownie szczekać.

- Coś go denerwuje - ocenił Tommy. - Daj spokój, Hannibal.

Przez ciało Hannibala przebiegł dreszcz, potem pies potrząsnął łbem, spojrzał na Tommy'ego, na Tuppence i głośno szczekając skoczył w zarośla.

W tej samej chwili rozległy się dwa głośnie wystrzały.

- Na Boga, ktoś strzela do królików - krzyknęła Tuppence.

- Wracaj. Wracaj do KK, Tuppence - rzucił Tommy. Coś przeleciało tuż obok jego ucha. Hannibal, gotów do ataku, zaczął biegać wokół kępy trawy. Tommy popędził za nim.

- Ściga kogoś - krzyknął. - Biegnie za kimś w dół wzgórza. Pędzi jak szalony.
- Kto? - pytała Tuppence. - Kto?
- Nic ci nie jest. Tuppence?
- Nie, wszystko w porządku - odparła. - Coś chyba uderzyło mnie tuż poniżej ramienia.

Czy to była... co to było?

- Ktoś do nas strzelał. Schował się w kępie trawy.
- Ktoś musiał obserwować, co robimy. Też tak sądzisz? - spytała Tuppence.
- To pewnie Irlandczycy - rzucił Clarence. - No wiecie, IRA. Próbują wysadzić wasz dom.
- Nie sądzę, żeby w grę wchodziła jakaś sprawa polityczna - stwierdziła Tuppence.
- Wracajmy do domu - powiedział Tommy. - Pośpieszcie się. Clarence, chodź lepiej z nami.
- Wasz pies mnie nie pogryzie? - spytał chłopiec.
- Nie - odparł Tommy. - W tej chwili jest zajęty.

Skrećali właśnie za róg, idąc do drzwi od ogrodu, kiedy powrócił Hannibal. Przybiegł pędem ze wzgórza, z językiem na wierzchu. Przemówił do Tommy'ego w psim języku. Podbiegł do niego, otrząsnął się, położył łapę na nogawce jego spodni i próbował pociągnąć go w stronę, z której nadbiegł.

- Chce, żebym poszedł za tym człowiekiem, ktokolwiek to jest - powiedział Tommy.
- Ale nie zrobisz tego - rzuciła Tuppence. - Jeśli tam jest ktoś ze strzelbą, pistoletem czy czymkolwiek, co strzela, nie pozwolę, żeby celował do ciebie. Nie w twoim wieku. Kto by się mną opiekował, gdyby coś ci się stało? Chodźmy do domu.

Weszli pośpiesznie. Tommy przeszedł do holu i podniósł słuchawkę telefonu.

- Co robisz? - spytała Tuppence.
- Dzwonię na policję - wyjaśnił. - Czegoś takiego nie można puścić płazem. Jeśli natychmiast zadzwonię, może go złapią.
- Chyba powinnam opatrzyć sobie ramię - powiedziała Tuppence. - Krew zrujnuje mój najlepszy sweter.

- To nieważne - stwierdził Tommy.

W tej chwili pojawił się Albert z zestawem pierwszej pomocy.

- No coś takiego! - wykrzyknął. - To znaczy, że jakiś brudny drań strzelał do pani? Co jeszcze zdarzy się w tym kraju?

- Nie sądzisz, że powinnaś pojechać do szpitala?
- Nie - odpowiedziała Tuppence. - Czuję się dobrze, ale chcę, żeby ktoś założył mi olbrzymi bandaż. Choć najpierw poproszę o jakiś olejek.
- Mam jodynę.
- Nie chcę jodyny. Szczypie. Poza tym teraz mówią w szpitalach, że nie wolno smarować nią ran.

- Myślałem, że olejki służą do inhalacji - wtrącił Albert.

- Można i tak - zgodziła się Tuppence. - Ale świetnie nadają się do drobnych skaleczeń lub blizn, albo jeśli dzieci gdzieś się zadrapią. Masz to ciągle przy sobie, Tommy?

- To znaczy co?

- To, co wyciągnęliśmy z Cambridge. To, co wisiało na gwoździu. To może być coś ważnego. Widzieli nas. Więc jeśli próbowali nas zabić i zabrać to, co mamy, to może być naprawdę ważne!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Hannibal wkracza do akcji

Tommy siedział w biurze inspektora. Policjant, inspektor Norris, łagodnie potakiwał głową.

- Mam nadzieję, że przy odrobinie szczęścia rozwiążemy sprawę, panie Beresford - powiedział. - Mówi pan, że doktor Crossfield zajął się pańską żoną.

- Tak. To nic poważnego, o ile wiem. Postrzelono ją i rana krwawiła obficie, ale szybko wyzdrowieje. Doktor Crossfield powiedział, że to nic niebezpiecznego.

- Chociaż pańska żona nie jest już chyba młoda - stwierdził inspektor.

- Ma ponad siedemdziesiąt lat - przyznał Tommy. - Oboje jesteśmy już starzy.

- Tak, tak. Słyszałem o niej sporo, odkąd tu zamieszkaliście. Ludzie bardzo ją polubili. Słyszeliśmy, czym się zajmowała. Tak jak pan.

- O mój Boże.

- Nie można ukryć dawnych postępów, niezależnie czy były dobre, czy złe - zauważył życzliwie inspektor. - Nie może ukryć ich przestępca ani bohater. Zapewniam pana co do jednego: zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by wyjaśnić sprawę. Przypuszczam, że nie może pan opisać napastnika?

- Nie - przyznał Tommy. - Kiedy go zobaczyłem, pędził w dół zbocza z naszym psem na karku. Chyba nie był zbyt stary. Biegł z łatwością.

- To oznacza jakikolwiek wiek począwszy od czternastu lub piętnastu lat.

- Był starszy.

- Nie otrzymali państwo żadnych telefonów lub listów z żądaniem pieniędzy? Albo z radą, by wynieśli się państwo z domu?

- Nie - odparł Tommy - nic takiego.

- A mieszkacie tu... od jak dawna?

Tommy podał mu datę.

- Hm. To niedługo. W ciągu tygodnia jeździ pan do Londynu, czy tak?

- Tak. Jeśli potrzebne są panu szczegóły....

- Nie - zaprzeczył inspektor - nie. Nie potrzebuję szczegółów. Sugerowałbym tylko, żeby... cóż, żeby nie wyjeżdżał pan za często. Gdyby dał pan radę zostać w domu i osobiście zaopiekować się panią Beresford...

- I tak miałem taki zamiar - powiedział Tommy. - To dobra wymówka, żeby nie zawsze stawiać się na spotkania w Londynie.

- Ze swojej strony zrobimy wszystko, by rozwiązać sprawę, a jeśli znajdziemy tego,

kto...

- Czy podejrzewa pan - przerwał Tommy - choć może nie powinienem o to pytać... czy podejrzewa pan, kto to jest? Zna pan jego nazwisko albo przyczynę ataku?

- O niektórych spośród tutejszych mieszkańców wiemy całkiem sporo. Bardzo często więcej, niż mogliby sądzić. Niekiedy nie ujawniamy naszej wiedzy, bo to najlepszy sposób, by dopaść podejrzanych. Można wówczas odkryć, z kim są związani, kto ich opłaca lub czy działają z osobistych pobudek. Sądzę jednak, że to żaden z tutejszych obywateli.

- Dlaczego tak pan uważa? - spytał Tommy.

- No cóż, trochę się słyszy. Dochodzą nas informacje z innych posterunków.

Popatrzyli na siebie. Żaden nie odezwał się przez niemal pięć minut. Po prostu patrzyli.

- Cóż - odezwał się wreszcie Tommy - rozumiem. Tak, chyba rozumiem.

- Jeśli mogę coś powiedzieć... - zaczął inspektor.

- Tak? - spytał Tommy, który wyglądał w tej chwili niezbyt pewnie.

- Ogród państwa. Słyszałem, że potrzebujecie pomocnika.

- Nasz ogrodnik został zabity, jak zapewne pan wie.

- Tak jest. wiem. To był stary Izaak Bodlicott. prawda? Wspaniały człowiek. Opowiadał niesamowite historie o rzeczach, które robił w swoim czasie. Był jednak dobrze znaną postacią i można mu było zaufać.

- Nic rozumiem, dlaczego go zabito? Kto to zrobił? Nikt nie może tego pojąć, ani znaleźć mordercy.

- Chodzi panu o to, że my go jeszcze nie znaleźliśmy? Cóż, takie sprawy muszą potrwać. Rozprawa niczego nie wyjaśnia i koroner orzeka "morderstwo przez osobę lub osoby nieznaną". Czasami to dopiero początek. Chciałem powiedzieć, że prawdopodobnie któregoś dnia ktoś zjawi się u państwa pytając, czy nie potrzebujecie pomocnika, który popracowałby dorywczo w waszym ogrodzie. Powie, że mógłby przychodzić dwa lub trzy razy w tygodniu. A może częściej. Podając swoje referencje powoła się na kilkuletnią pracę u pana Solomona. Zapamięta pan to nazwisko?

- Solomon - powtórzył Tommy.

Przez moment wydawało mu się, że inspektor mrugnął okiem.

- Tak, oczywiście pan Solomon już nie żyje. Lecz naprawdę tu mieszkał i zatrudniał kilku sezonowych ogrodników. Nie jestem pewien, jakie nazwisko poda panu ten człowiek. Powiedzmy, że nie pamiętam. Możliwe, że przedstawi się jako Crispin. Będzie miał między trzydzieści a pięćdziesiąt lat. Powie, że pracował u Solomona. Jeśli zjawi się u państwa ktoś do pracy w ogrodzie i nie wymieni nazwiska pana Solomona, proszę go nie zatrudniać. To tylko ostrzeżenie.

- Rozumiem - powiedział Tommy. - Przynajmniej mam nadzieję, że wiem, o co panu chodzi.

- Właśnie o to. Szybko pan łapie, panie Beresford. Pewnie często bywał pan w akcji.

Czy chciałby pan jeszcze czegoś się dowiedzieć?

- Nie sądzę - odparł Tommy. - Nie wiedziałbym, o co pytać.

- Będziemy prowadzili dochodzenie, niekoniecznie na miejscu. Mogę pojechać do Londynu i dalej. Pomożemy państwu szukać. Ale to pan wie, prawda?

- Chcę spróbować powstrzymać Tuppence... to znaczy moją żonę, przed zbytnim angażowaniem się w tę sprawę, ponieważ... ale to będzie bardzo trudne.

- Zawsze trudno postępować z kobietami - powiedział inspektor Norris.

Tommy powtórzył tę uwagę później, kiedy siedział przy łóżku Tuppence i obserwował, jak zajada grapefruity.

- Naprawdę zjadasz je razem z pestkami?

- Zazwyczaj - odpowiedziała Tuppence. - Przecież tyle czasu zajmuje ich wydłubywanie. Nie są chyba szkodliwe?

- Jeśli nie zaszkodziły ci do tej pory, a zjadasz je przez całe życie, to raczej nie - odparł Tommy.

- Co powiedziała policja?

- Dokładnie to, co zakładaliśmy.

- Czy mają jakiegoś podejrzanego?

- Według nich to nikt miejscowy.

- Z kim się widziałeś? Inspektor nazywa się chyba Watson?

- Nie. To był inspektor Norris.

- Nie znam go. Co jeszcze mówił?

- Powiedział, że bardzo trudno utrzymać w ryzach kobietę.

- Naprawdę? Czy wiedział, że mi to powtórzysz?

- Prawdopodobnie nie - odparł Tommy. Wstał. - Muszę załatwić dwie rozmowy telefoniczne z Londynem. Nie będę tam jeździł przez następny dzień albo i dwa.

- Możesz pojechać. Tu jestem całkiem bezpieczna. Opiekuje się mną Albert i inni. Doktor Crossfield był bardzo miły, zupełnie jak kwoka pilnująca pisklęcia.

- Muszę wyjść, aby zrobić zakupy dla Alberta. Masz na coś ochotę?

- Tak - powiedziała Tuppence. - Mógłbyś mi przynieść melona. Mam ochotę na owoce.

Nic poza tym.

- Dobrze.

- Pułkownik Pikeaway?

- Tak. Słucham? A. to ty. Tomasz Beresford, prawda?

- Rozpoznał pan mój głos. Chciałem powiedzieć, że...

- Chodzi pewnie o Tuppence. Słyszałem o wszystkim - przerwał mu pułkownik. - Bez zbędnych słów. Zostań na miejscu dzień, dwa albo cały tydzień. Nie przyjeżdżaj do Londynu. Składaj mi raport z wszystkiego, co się stanie.

- Powinniśmy panu coś przywieźć.
- Zatrzymajcie to na razie. Powiedz Tuppence, żeby znalazła jakieś miejsce, gdzie można to schować.
- W tym jest dobra. Jak nasz pies. Chowa kości w ogrodzie.
- Słyszałem, że ścigał człowieka, który do was strzelał. Przepędził go z domu...
- Najwyraźniej wie pan o wszystkim.
- My zawsze wiemy o wszystkim - powiedział pułkownik Pikeaway.
- Nasz pies dopadł go i wrócił z kawałkiem jego spodni w zębach.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Oksford, Cambridge i Lohengrin

- Przykro mi, że kazałem ci natychmiast przyjeżdżać, ale uznałem, że będzie lepiej, jeśli się spotkamy - powiedział pułkownik Pikeaway, wydmuchując kłęb dymu.

- Wie pan, jak sądzę, że ostatnio wydarzyło się coś niespodziewanego - powiedział Tommy.

- Dlaczego uważasz, że wiem?

- Ponieważ wy zawsze wszystko wiecie.

Pułkownik roześmiał się.

- Ha! Więc cytujesz mi moje własne słowa? Tak, tak powiedziałem. Wszystko wiemy. Po to tu jesteśmy. Czy jest ciężko ranna? Oczywiście, mówię o twojej żonie.

- Nie, ale rana mogła być poważna. Zna pan większość szczegółów, czy też mam panu wszystko opowiedzieć?

- Możesz pobieżnie przedstawić fakty, jeśli chcesz. Paru rzeczy nie słyszałem - stwierdził pułkownik Pikeaway - na przykład tego o Lohengrinie. Grin-hen-lo. Bystra osóbka z twojej żony. Zrozumiała, o co chodzi. A wydawało się to tak idiotyczne.

- Przywiozłem panu efekty naszej pracy - powiedział Tommy. - Przed spotkaniem z panem schowaliśmy je w puszcze na mąkę. Nie chciałem wysłać ich pocztą.

- Bardzo rozsądnie.

- Wisiały w Lohengrinie w puszcze, trwalszej niż to pudełko. Schowano je w bładoniebieskim Lohengrinie, to znaczy w Cambridge - wiktoriańskim stołku ogrodowym z porcelany.

- Pamiętam je z dawnych czasów. Moja ciotka mieszkająca na wsi miała dwa takie krzeselka.

- Pakunek zachował się dobrze, zawinięto go w brezent. W środku były listy. Trochę wyblakły, ale ekspert...

- Tak, przekazemy je ekspertowi.

- W takim razie, oto one - powiedział Tommy.- Mam też dla pana listę rzeczy, jakie zanotowaliśmy, to znaczy ja i Tuppence. Wszystko, co mówiono nam i przy nas.

- Nazwiska?

- Tak, trzy lub cztery. Wskazówki dotyczące Oksfordu i Cambridge, wzmianka o absolwentach obu uniwersytetów, którzy zatrzymali się w posiadłości, choć nie miała żadnego znaczenia poza tym, że odnosiła się do porcelanowych krzeselek.

- Tak. tak. Widzę tu jeszcze kilka innych interesujących rzeczy.

- Natychmiast zawiadomiłem policję, że do nas strzelano.

- Bardzo dobrze.

- Poproszono mnie, bym następnego dnia przyszedł na posterunek. Widziałem się z inspektorem Norrisem. Wcześniej nie miałem z nim kontaktu. To pewnie nowy oficer.

- Tak. Prawdopodobnie ze specjalnym przydziałem - powiedział pułkownik. Wydmuchał kolejny kłęb dymu.

Tommy zakaszłał.

- Pewnie wie pan o nim wszystko.

- Wiem - przyznał pułkownik. - My wszystko wiemy. Jest w porządku. Prowadzi to dochodzenie. Być może miejscowi zauważyli człowieka, który was śledził. Nie myślisz, Beresford, że byłoby dobrze, gdybyś na jakiś czas wyjechał z domu i zabrał ze sobą żonę?

- Raczej nie mógłbym tego zrobić - odparł Tommy.

- To znaczy, nie zgodziłaby się na wyjazd? - spytał pułkownik.

- Jak zawsze wie pan wszystko, jeśli mogę zauważyć - powiedział Tommy. - Nie sposób odciągnąć Tuppence od tej sprawy. Proszę wziąć pod uwagę, że nie jest ciężko ranna ani chora i doszła do wniosku, że... cóż, że wreszcie na coś trafiliśmy. Nie wiemy jeszcze, co to jest ani co odkryjemy, czy zrobimy.

- Możecie powęszyć - rzucił pułkownik. - To wszystko, co możecie zrobić w sprawie takiej jak ta. - Postukał paznokciem w metalowe pudełko. - Ono nam coś powie, i to coś, co od dawna chcieliśmy wiedzieć. Kto wiele lat temu był zamieszany w uruchomienie pewnych spraw i brudną robotę na tyłach.

- Lecz na pewno...

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Że ktokolwiek to był, już nie żyje. To prawda. Tym niemniej dowiemy się, o co wówczas chodziło, jak powstał cały spisek. kto brał w nim udział, kto go zainspirował, kto przejął sprawę i od tamtych czasów prowadzi działalność tego samego rodzaju. Poznamy ludzi, którzy pozornie nie mają znaczenia, lecz w rzeczywistości liczą się o wiele bardziej niż sądziliśmy. Oraz ludzi, którzy kontaktowali się z tamtą grupą... teraz wszystko, nazywa się grupą... Dziś tworzą ją zupełnie inni ludzie, lecz mają te same poglądy, tak samo wielbią przemoc i zło, współpracują z podobnymi sobie i z innymi grupami. Niektóre z tych grup są w porządku, inne są gorsze dlatego właśnie, że są grupami. To rodzaj techniki. Uczymy jej naszych własnych ludzi, już od pięćdziesięciu, a może nawet stu lat. Uczymy, że jeśli ludzie zbierają się razem i tworzą własne, ścisłe stowarzyszenie, mogą osiągnąć zdumiewające rezultaty i są w stanie zainspirować innych.

- Mogę o coś spytać?

- Pytać może każdy - odparł pułkownik. - Muszę cię ostrzec, że wiemy wszystko, choć nie zawsze wszystko mówimy.

- Czy mówi coś panu nazwisko Solomon?

- Ach, pan Solomon. A skąd go znasz?

- Wspomniał o nim inspektor Norris.

- Rozumiem. Jeśli kierujesz się tym, co powiedział Norris, zmierzasz w dobrą stronę. Tyle mogę powiedzieć. Nie spotkasz Solomona osobiście. Nie żyje.

- Ach tak. Rozumiem.

- Lecz nie do końca. Czasem do niego wracamy. Widzisz, dobrze mieć nazwisko, z którego można czasem skorzystać. Nazwisko prawdziwej osoby, która już nie istnieje, lecz choć martwa, nadal cieszy się szacunkiem w sąsiedztwie. Szansa, byście zamieszkali w Wawrzynach była nikła, i mieliśmy nadzieję, że dzięki waszemu przyjazdowi nam się poszczęści. Nie chcę jednak, by skończyło się to tragicznie dla ciebie lub twojej pani. Podejrzewajcie wszystkich i wszystko. To najlepszy sposób.

- Ufam tylko dwóm osobom - powiedział Tommy. - Jedna to Albert, który pracuje dla nas od lat...

- Tak. pamiętam Alberta. Rudowłosy chłopak, prawda?

- Już nie chłopak.

- A druga osoba?

- To mój pies Hannibal.

- Hm. No tak, może i masz rację. Kto to napisał? Chyba doktor Watts. Hymn, który zaczynał się tak: "Psy lubią szczekać i gryźć, taka już ich natura". Jakiej jest rasy? Owczarek niemiecki?

- Manchesterski terier.

- A, stary angielski podpalany terier. Nie tak duży, jak doberman, ale zna swoje obowiązki.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wizyta panny Mullins

Spacer, jaki Tuppence odbywała wzdłuż ogrodowej ścieżki, przerwał Albert, nadchodząc spieszenie od strony domu.

- Jakaś dama czeka na panią.

- Dama? Och. kto taki?

- Mówi, że nazywa się panna Mullins. Jedną z pań w wiosce poleciła, by zgłosiła się do pani.

- Oczywiście, w sprawie ogrodu?

- Tak, wspominała coś o ogrodzie.

- Lepiej przyprowadź ją tutaj.

- Tak jest, proszę pani - powiedział Albert, wchodząc w rolę doświadczonego lokaja.

Wrócił do domu i w chwilę później zjawił się ponownie. Wiodąc za sobą wysoką kobietę o męskiej urodzie, w tweedowych spodniach i swetrze z Fair Isle.

- Od rana wieje chłodny wiatr - stwierdziła.

Miała głęboki, lekko chrapliwy głos.

- Nazywam się Iris Mullins. Panna Griffin zaproponowała, żebym przyszła do pani. Ponoć potrzebuję pani pomocy w ogrodzie. Czy to prawda?

- Witam panią - powiedziała Tuppence, ściskając jej dłoń. - Bardzo miło mi panią poznać. Tak, rzeczywiście potrzebujemy pomocnika.

- Wprowadziliście się niedawno?

- Wydaje się, że lata temu, bo dopiero ostatnio pozbyliśmy się wreszcie robotników.

- A tak - powiedziała panna Mullins z ochryłym, niskim śmiechem. - Wiem, co to znaczy mieć robotników w domu. Ale dobrze pani zrobiła. pilnując ich osobiście i nie zostawiając wszystkiego na ich głowie. Nic nie jest skończone, póki właściciel się nie wprowadzi, a nawet wtedy trzeba ich zazwyczaj wezwać ponownie, by skończyli to, o czym zapomnieli. Ładny tu macie ogród, ale trochę go zapuszczono, co?

- Tak, obawiam się, że poprzedni właściciele nie bardzo dbali o jego wygląd.

- To byli ludzie nazwiskiem Jones, prawda? Niech pani nie myśli, że ich znam. Mieszkam po drugiej stronie wrzosowiska, za miastem. Chodzę tam regularnie do dwóch domów. Do jednego dwa razy w tygodniu, do drugiego raz. Właściwie jeden dzień nie wystarcza, żeby utrzymać porządek. U pani pracował stary Izaak, prawda? Miły staruszek. Przykre, że wykończył go jakiś nedorobiony bandyta, jeden z tych, co to bez przerwy na kogoś napadają. Rozprawa odbyła się jakiś tydzień temu? Podobno nie wiadomo, kto to zrobił.

Chodzą bandami i atakują niewinnych ludzi. Okropne. Często im są młodszy, tym gorszy. Ma tu pani ładne magnolie. Soulangeana, prawda? Najlepsze do hodowli. Ludzie wolą bardziej egzotyczne odmiany, ale moim zdaniem, jeśli chodzi o magnolie, lepiej trzymać się starych znajomych.

- Właściwie bardziej chodziło nam o warzywa.

- Chcecie założyć dobry ogród warzywny? Dotąd nie przykładano do nich wiele uwagi. Ludzie tracą ducha i myślą, że lepiej kupować warzywa, niż męczyć się, uprawiając je we własnym ogrodzie.

- Chciałam zasadzić ziemniaki i groch - powiedziała Tuppence - i jeszcze może szparagi, bo wtedy można jeść świeżutkie.

- Zgadza się. Mogłaby pani posadzić jeszcze pnący groszek. Większość ogrodników jest z niego tak dumna, że puszczają go na półtojej stopy. Myślą, że groch będzie smaczny. Zawsze zdobywa nagrody na miejscowych konkursach. Ale ma pani rację. Młode jarzyny to coś, co zawsze miło zjeść.

Raptem pojawił się Albert.

- Dzwoni pani Redcliffe, proszę pani - powiedział. - Pyta, czy zje pani z nią lunch jutro.

- Powiedz, że mi przykro, ale obawiam się, że będziemy musieli pojechać do Londynu.

Och, poczekaj chwilę, Albercie. Napiszę tylko parę stów.

Wyjęta z torebki bloczek papieru, napisała coś i podała go Albertowi.

- Przekaż panu Beresfordowi, że przyszła pani Mullins i że jesteśmy w ogrodzie. Zapomniałam zrobić to, o co mnie prosił, podaj mu nazwisko i adres osoby, do której ma napisać. Jest tutaj.

- Oczywiście, proszę pani - powiedział Albert i odszedł.

Tuppence wróciła do dyskusji o warzywach.

- Musi pani być bardzo zajęta - powiedziała - jeśli pracuje pani trzy dni w tygodniu.

- Tak, i jak mówiłam, to po drugiej stronie miasta. Mieszkam tam. Mam mały domek.

W tej chwili nadszedł Tommy. Był z nim Hannibal, który biegał wokół, zataczając duże koła. On pierwszy dotarł do Tuppence. Stał przez chwilę nieruchomo, naprężając łapy, a potem skoczył na pannę Mullins, szczerząc zacięcie. Cofnęła się kilka kroków w przestraszu.

- To nasz okropny pies - wyjaśniła Tuppence. - Nie gryzie naprawdę. A w każdym razie bardzo rzadko. Zazwyczaj lubi ugryźć tylko listonosza.

- Wszystkie psy gryzą listonosza lub przynajmniej próbują - powiedziała panna Mullins.

- To bardzo dobry pies obronny - stwierdziła Tuppence. - Wszystkie manchesterskie teriery są dobrymi stróżami. Chroni nasz dom. Nie dopuści nikogo w pobliże i bardzo mnie pilnuje. Najwyraźniej uważa to za główne zadanie w swoim życiu.

- Cóż, to pewnie dobra rzecz w dzisiejszych czasach.

- Naprawdę. Jest tyle napadów rabunkowych. Okradzione wielu naszych znajomych.

Niektórzy zjawiali się nawet w środku dnia. Przystawiali drabinę do ściany, zdejmowali okiennice albo udawali, że myją okna. Posuwali się do najbardziej bezczelnych sztuczek. Tak więc dobrze powiadomić obcych, że w domu jest groźny pies.

- Pewnie ma pani rację.

- A oto mój mąż. To panna Mullins. Tommy. Pani Griffin była tak miła, że powiedziała jej, iż potrzebujemy kogoś do pracy w ogrodzie.

- A może to za ciężka praca dla pani, panno Mullins?

- Ależ skąd - zaprzeczyła panna Mullins swoim niskim głosem. - Potrafię kopać jak każdy. Trzeba to robić właściwie. Rzecz nie tylko w okopywaniu słodkiego groszku. Wszystko potrzebuje łopaty i nawozu. Trzeba przygotować ziemię. W tym cały sekret.

Hannibal nie przestawał szczeleć.

- Tommy, lepiej będzie, jeśli weźmiesz Hannibala do domu. Od rana jest w wojowniczym nastroju - powiedziała Tuppence.

- Dobrze - odparł Tommy.

- Nie pójdzie pani ze mną do domu - spytała Tuppence pannę Mullins - żeby napić się czegoś? Ranek jest dość upalny i miło byłoby się ochłodzić, prawda? Możemy wspólnie ustalić plany.

Hannibal został zamknięty w kuchni, a panna Mullins przyjęła kieliszek sherry. Poczyniono kilka propozycji. a potem panna Mullins zerknęła na zegarek i stwierdziła, że musi wracać.

- Jestem umówiona - powiedziała. - Nie mogę się spóźnić. - Pożegnała ich dość pośpiesznie i wyszła.

- Wydaje się w porządku - orzekła Tuppence.

- Wiem - zgodził się Tommy - ale nigdy nie można być pewnym...

- Może zapytać? - spytała niepewnie Tuppence.

- Musiało cię zmęczyć chodzenie po ogrodzie. Przełożmy naszą wyprawę na następny dzień. Kazano ci odpoczywać.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kampania ogrodnicza

- Rozumiesz mnie, Albercie? - spytał Tommy.

Stali w kuchni; Albert zmywał tacę po herbacie, którą zaniósł do sypialni Tuppence.

- Tak, proszę pana - powiedział - rozumiem.

- Wiesz, według mnie Hannibal ostrzega.

- Pod pewnymi względami jest dobrym psem - zgodził się Albert. - Nie każdego lubi.

- Nie, nie na tym polega jego życiowe zadanie. Nie należy do psów, które witają włamywacza i machają ogonem na widok złych ludzi. Hannibal zna się na paru rzeczach. Więc wszystko ci wyjaśniłem?

- Tak. Nie wiem tylko, co robić, jeśli pani... to znaczy, czy mam robić to, co powie, czy powiedzieć jej, co pan mówił, czy...

- Chyba będziesz musiał zastosować trochę dyplomacji - stwierdził Tommy. - Dzisiaj każe jej zostać w łóżku. Zostawiam ją pod twoją opieką.

Albert otworzył drzwi przed młodym człowiekiem w tweedowym garniturze.

Spojrzał niepewnie na Tommy'ego. Gość wszedł do środka i podszedł do Tommy'ego z przyjacielskim uśmiechem na twarzy.

- Pan Beresford? Podobno potrzebuje pan pomocnika. Niedawno się pan wprowadził, prawda? Idąc podjazdem zauważyłem, że ogród zarósł. Kilka lat temu pracowałem u pana Solomona. Może pan o nim słyszał?

- Tak. ktoś mi o nim wspominał.

- Nazywam się Crispin, Angus Crispin. Może przyjrzymy się wszystkiemu, co wymaga pracy?

- Najwyższy czas, żeby ktoś zrobił coś z ogrodem - stwierdził pan Crispin, kiedy Tommy oprowadzał go wśród klombów kwiatowych i po ogrodzie warzywnym.

- Wzdłuż tej ścieżki hodowano dawniej szpinak. Z tyłu były inspekty. Rosły tu też melony.

- Sporo pan wie o ogrodzie.

- Słyszałem wiele o jego przeszłości. Starsze panie opowiadały mi o kwiatnych klombach, a Alexander Parkinson mówił swoim kolegom o naparstnicy.

- To musiał być wyjątkowy chłopiec.

- Miał mnóstwo pomysłów i interesował się zbrodnią. W jednej z książek Stevensona - *Czarnej strzale* - zostawił zaszyfowaną wiadomość.

- Dobra książka, prawda? Sam czytałem ją jakieś pięć lat temu. Wcześniej nie

wychodziłem poza *Porwanego za młodu*. To było, kiedy pracowałem dla... - zawahał się.

- Pana Solomona? - podsunął Tommy.

- Tak, tak. Właśnie. Słyszałem trochę od starego Izaaka. O ile wiem, chyba że dotarły do mnie mylne pogłoski, stary Izaak dobijał do setki i trochę dla pana pracował.

- Tak - przyznał Tommy. - Trzymał się świetnie jak na swój wiek. Wiedział sporo wiele nam opowiadał. Nawet o tym, czego sam nie pamiętał.

- To prawda. Lubił plotki ze starych dni. Jego krewni nadal tu mieszkają. Słuchali jego opowieści i czasem sprawdzali, czy są prawdziwe. Pewnie sam pan sporo słyszał.

- Jak dotąd, wszystko kończy się na liście nazwisk - powiedział Tommy. - Z przeszłości, oczywiście, więc dla mnie nic nie znaczą. Jak mogłyby?

- Same plotki?

- Przeważnie. Moja żona wysłuchała wielu historii i kilka zapisała. Nie wiem, czy którakolwiek ma jakieś znaczenie. W moje ręce dotarły dopiero wczoraj.

- Ach tak. A co jest na pańskiej liście?

- Spis ludności - odparł Tommy. - Przeprowadzono go... zapisałem datę i przekażę je panu razem z nazwiskami ludzi, których objął, ponieważ spędzali noc w tym domu. Odbywało się tu wówczas duże przyjęcie z uroczystą kolacją.

- Więc wie pan, kto był tutaj określonego, prawdopodobnie bardzo interesującego dla nas dnia?

- Tak - powiedział Tommy.

- To może okazać się cenne. Może mieć duże znaczenie. Dopiero niedawno się pan tu wprowadził. prawda?

- Tak - potwierdził Tommy. - Ale możliwe, że będziemy chcieli się wyprowadzić.

- Nie podoba się państwu dom? Jest ładny, a ogród... cóż, może stać się piękny. Macie kilka ładnych krzewów. Trzeba je przyciąć. Poza tym są tu niepotrzebne drzewa i krzaki, ozdobne krzewy, które nie kwitły ostatnio i oceniając z wyglądu, mogą już nigdy nie zakwitnąć. Nic rozumiem, dlaczego chcą państwo stąd wyjechać.

- Niezbyt przyjemne są tutejsze związki z przeszłością.

- Przeszłość - powtórzył pan Crispin. - A jak wiąże się ona z teraźniejszością?

- Można pomyśleć, że nie ma znaczenia, skoro jest już za nami. Lecz zawsze coś pozostaje. Nic chodzi mi o to, że nadal coś tu się dzieje, lecz przeszłość ożywa, kiedy ludzie zaczynają o niej opowiadać. Naprawdę jest pan gotów...

- Popracować w ogrodzie? Tak. Interesuję się tym. Ogrodnictwo to moje małe hobby.

- Wczoraj zjawiała się u nas panna Mullins.

- Mullins? Mullins? Czy jest ogrodnikiem?

- Mniej więcej, o ile wiem. Pani... zdaję się, że pani Griffin wspomniała o niej mojej żonie i przysłała ją do nas.

- Umówiliście się z nią?

- Nie definitywnie - odparł Tommy. - Mamy tu dość zawziętego psa obronnego. To manchesterski terier.

- Tak, one uwielbiają bronić swoich właścicieli. Przypuszczam, że uważa pańską żonę za swoje główne zadanie i praktycznie nigdy nie pozwala jej pójść dokądkolwiek samej. Zawsze jest przy niej.

- Dokładnie - przytaknął Tommy. - Gotów jest przegryźć do kości nogę każdego, kto ją dotknie.

- Miłe psy. Bardzo przywiązane, lojalne, samowolne i o ostrych zębach. Lepiej będę na niego uważał.

- W tej chwili jest pan bezpieczny. Został w domu.

- Panna Mullins - powtórzył Crispin z namysłem. - Tak, to ciekawe.

- Dlaczego?

- Ponieważ... oczywiście, nie znam jej z nazwiska. Ma między pięćdziesiąt a sześćdziesiąt lat?

- Tak. Wygląda bardzo prowincjonalnie, cała w tweedach.

- Zgadza się. Ma znajomych na wsi. Izaak mógł panu o niej wspominać. Podobno wróciła, by zamieszkać tu na stałe. Dopiero niedawno. Wszystko układa się w jedną całość.

- Pewnie wie pan o tym miejscu rzeczy, o których ja nie mam pojęcia - powiedział Tommy.

- Nic sędzę. Na pewno Izaak wiele panu opowiedział. Sporo wiedział. To były, jak pan mówi, stare historie, ale on miał dobrą pamięć. O niektórych plotkuje się nadal. Rozprawiają o nich emeryci w swoich klubach. W większości są to historie zmyślane, choć niektóre oparte są na faktach. Tak, to bardzo interesujące. Prawdopodobnie wiedział zbyt wiele.

- To okropne, że go zabito - stwierdził Tommy. - Chciałbym wyrównać rachunki z tym, kto to zrobił. To był miły staruszek, bardzo nam życzliwy i wiele nam pomógł. Cóż, chodźmy się rozejrzeć.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Hannibal wstępuje na służbę czynną u boku pana Crispina

Albert zastukał do drzwi sypialni i w odpowiedzi na "Proszę wejść" Tuppence, wetknął głowę do pokoju.

- Jest tu ta pani, która przyszła wczoraj - oznajmił. - Panna Mullins. Chce z panią chwilkę porozmawiać. Jak rozumiem, ma kilka propozycji w sprawie ogrodu. Powiedziałem, że leży pani w łóżku i nie jestem pewien, czy przyjmuje.

- Ależ ty masz słownictwo. Albercie - powiedziała Tuppence. - Dobrze. Przyjmuje.

- Miałem właśnie podać poranną kawę.

- Możesz przynieść dodatkową filiżankę. Starczy chyba dla dwóch osób?

- O tak, proszę pani.

- Bardzo dobrze. Przynieś ją i postaw na stole, a potem wprowadź pannę Mullins.

- A co z Hannibalem? - spytał Albert. - Zabrać go na dół i zamknąć w kuchni?

- Nie lubi siedzieć w kuchni. Wepchnij go do łazienki i zamknij za nim drzwi.

Hannibalowi nie spodobała się obraza, jaką mu wyrządzono. Opornie pozwolił w końcu Albertowi wepchnąć się do łazienki. Zaszczekał ostro kilka razy.

- Zamknij się - krzyknęła na niego Tuppence. - Zamknij się.

Hannibal godził się z zamknięciem, jeśli mógł dalej sobie poszczekać. Położył się na wyciągniętych łapach i przycisnął nos do szpary pod drzwiami, wydając niskie, pełne sprzeciwu pomruki.

- Och, pani Beresford - zawołała panna Mullins. - Obawiam się, że przeszkadzam, ale pomyślałam, że będzie pani chciała rzucić okiem na książkę o ogrodnictwie, którą przyniosłam. To rady dotyczące hodowli roślin o tej porze roku. W takiej ziemi jak u państwa dobrze rośnie kilka bardzo rzadkich i ciekawych krzewów, choć niektórzy mówią, że... Ależ nie, och, to bardzo miło z pani strony. Tak, z chęcią napiję się kawy. Proszę pozwolić, że sama ją naleję, trudno to zrobić, kiedy leży się w łóżku. Zastanawiałam się, czy... - Panna Mullins popatrzyła na Alberta, który posłusznie podsunął jej krzesło.

- Tak będzie dobrze? - zapytał.

- Tak. bardzo dobrze. O mój Boże, czyżby ktoś dzwonił?

- To zapewne mleczarz - odrzekł Albert. - Albo dostawca ze sklepu spożywczego. Zawsze przychodzi o tej porze. Proszę mi wybaczyć.

Wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Hannibal wydal kolejny pomruk.

- To mój pies - wyjaśniła Tuppence. - Jest bardzo zły, że nic może się do nas przyłączyć, ale robi za wiele hałasu.

- Słodzi pani kawę. pani Beresford?

- Jedną kostkę - odparła Tuppence.

Panna Mullins nalała kawę.

- Czasem piję czarną - dodała Tuppence.

Panna Mullins postawiła filiżankę na stoliku przy łóżku i poszła nalać kawę dla siebie.

Nagle połknęła się, złapała za stolik i z okrzykiem przerażenia upadła na kolana.

- Nie -zraniła się pani? - spytała Tuppence.

- Nie, nie, ale stłukłam wazon. Zahaczyłam o coś stopą. Jestem taka niezręczna.

Rozbiłam pani piękny wazon. Co pani o mnie pomyśli, droga pani Beresford? Zapewniam, że to był wypadek.

- Oczywiście - zgodziła się życzliwie Tuppence. - Niech zobaczę. Cóż, mogło być gorzej. Rozbił się na dwie części, a to znaczy, że damy radę go naprawić. Miejsce sklejenia ledwo będzie widać.

- Mimo to, czuję się okropnie - oświadczyła panna Mullins. - Wiem, że jest pani chora i nie powinnam tu przychodzić, ale tak bardzo chciałam pani powiedzieć...

Hannibal znowu zaczął czekać.

- Och, biedny piesek - powiedziała panna Mullins.

- Mam go wypuścić?

- Lepiej nie - odparła Tuppence. - Czasem nie można mu ufać.

- Och, czyżby znowu ktoś dzwonił na dole?

- Albert odbierze telefon - powiedziała Tuppence. - Jeśli będzie trzeba, może przynieść wiadomość na górę. Jednak to Tommy podniósł słuchawkę.

- Halo? Tak? Ach, rozumiem. Kto? Tak. Och. Wróg, absolutny wróg. Tak. zgadza się. Podjęliśmy środki ostrożności. Tak. Bardzo dziękuję.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na pana Crispina.

- Ostrzeżenie? - spytał pan Crispin.

- Tak - powiedział Tommy. Wciąż patrzył na pana Crispina.

- Czasem trudno rozróżnić, prawda? To znaczy, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem.

- A czasem wiemy to zbyt późno. "Furtka Przeznaczenia, Grota Kłęski" - zacytował Tommy.

Pan Crispin popatrzył na niego z zaskoczeniem.

- Przepraszam - powiedział Tommy. - Niekiedy mamy w zwyczaju recytować w tym domu wiersze.

- To Flecker, prawda? *Bramy Bagdadu* albo *Damaszku*.

- Pójdzie pan ze mną na górę? Tuppence tylko odpoczywa, nie cierpi na żadną chorobę. Nawet nie ma kataru.

- Zaniósłem tam kawę - rzucił Albert, pojawiając się nagle - i dodatkową filiżankę dla panny Mullins, która przysłała z nową książką o ogrodnictwie albo czymś podobnym.

- Rozumiem. Wszystko się dobrze układa. Gdzie Hannibal?
- Zamknąłem go w łazience.
- Dobrze zasunąłeś haczyk? Wiesz, że nie lubi, kiedy się go zamyka.
- Nie, zrobiłem tylko tak, jak pan mówił.

Tommy wszedł na górę. Pan Crispin szedł tuż za nim. Tommy zastukał lekko w drzwi łazienki i wsunął się do pokoju. Hannibal szczechnął buntowniczo, skoczył na klamkę, zasuwka poddała się i pies wpadł do sypialni. Rzucił okiem na pana Crispina. a potem, warcząc zawzięcie, zaatakował pannę Mullins.

- O mój Boże! - wykrzyknęła Tuppence. - O Boże.
- Dobry pies - powiedział Tommy. - Dobry pies. Nie uważa pan? - zwrócił się do pana Crispina.

- Zna swoich wrogów. I pańskich.
- O mój Boże - powtórzyła Tuppence. - Pogryzł panią?
- I to paskudnie - odparła panna Mullins, podnosząc się z kolan i patrząc gniewnie na Hannibala.

- To już drugi raz, prawda? - rzucił Tommy. - Poprzednio wygonił panią z kępy pampasowej trawy.

- Zna się na rzeczy - przytaknął pan Crispin - prawda, droga Dodo? Nie widzieliśmy się od dawna.

Panna Mullins wyprostowała się, spojrzała szybko na Tuppence, Tommy'ego i pana Crispina.

- Mullins - powiedział pan Crispin. - Przykro mi, że nie jestem na czasie. Czy to nazwisko po mężu, czy też po prostu zmieniłaś swoje?

- Zawsze nazywałam się Mullins.
- A ja myślałem, że Dodo. Kiedyś przedstawiłaś mi się jako Dodo. Cóż, moja droga, miło było cię ponownie zobaczyć, ale teraz lepiej wyjdźmy stąd jak najszybciej. Wypij swoją kawę. Chyba jest dobra. Pani Beresford? Cieszę się, że panią poznałem. Radziłbym nie pić tej kawy.

- Och, odniosę ją.

Panna Mullins wysunęła się do przodu. Crispin natychmiast stanął pomiędzy nią a Tuppence.

- Nie, droga Dodo, nie robiłbym tego - powiedział. - Wolałbym sam się nią zająć. Widzisz, ta filiżanka należy do tego domu i oczywiście chcielibyśmy sprawdzić, co jest w niej teraz. Zapewne przyniosłaś ze sobą niewielką dawkę? Całkiem łatwo wsypać ją do filiżanki i podać chorej - czy też domniemanej chorej.

- Zapewniam pana. że niczego takiego nie zrobiłam. Och, proszę zawołać tego psa.

Hannibal zamierzał pobiec za nią po schodach.

- Chce odprowadzić panią do granic posiadłości wyjaśnił Tommy. - Zawsze na to

nalega. Lubi gryźć łydki ludzi, którzy wychodzą frontowymi drzwiami. A, jesteś, Albercie. Myślałem, że czekasz z drugiej strony. Widziałeś może, co się stało?

Albert wystawił głowę zza drzwi przebieralni po przeciwnej stronie pokoju.

- Wszystko widziałem. Obserwowałem ją przez szparę przy framudze. Wsypała coś do filiżanki pani Beresford. Bardzo sprytnie. Zręcznie jak kuglarz.

- Nie wiem, o co panu chodzi - powiedziała panna Mullins. - Och, mój Boże, muszę pędzić. Mam umówione spotkanie. Bardzo ważne.

Wypadła z pokoju i zbiegła po schodach. Hannibal rzucił okiem i pognał za nią. Pan Crispin nie okazywał śladu wrogości, lecz równie pośpiesznie dołączył do pościgu.

- Mam nadzieję, że szybko biega - powiedziała Tuppence - bo jeśli nie, Hannibal ją dogoni. Daję słowo, dobry z niego stróż.

- Tuppence, to był pan Crispin, przysłany przez pana Solomona. Zjawił się w bardzo odpowiedniej chwili, prawda? Myślę, że czekał na swój czas, by zobaczyć, co wyniknie z całej historii. Nie słucz tej filiżanki i nie wylewaj kawy, dopóki nie znajdziemy jakiejś butelki, żeby ją przelać. Zostanie poddana analizie i dowiemy się, co w niej było. Załóż swój najlepszy szlafrok. Tuppence i zjeżdż na dół do salonu. Wypijemy po drinku przed lunchem.

- A teraz, jak sędzę, nigdy nie dowiemy się, co to miało znaczyć ani o co dokładnie chodziło - powiedziała Tuppence.

Potrząsnęła głową, zupełnie przygnębiona. Wstała z krzesła i podeszła do kominka.

- Chcesz dorzucić drewna? - spytał Tommy. - Ja to zrobię. Miałaś się nie ruszać.

- Z moim ramieniem wszystko w porządku - sprzeciwiła się Tuppence. - Każdy sądzi, że je złamałam, a to tylko zadrapanie, zaledwie muśnięcie.

- Masz większy powód do chwały - stwierdził Tommy. - Z całą pewnością otrzymałaś ranę postrzałową. Zostałaś ranna na wojnie.

- Też coś! Co ty wygadujesz!

- Zostawmy to - powiedział Tommy. - Myślę, że świetnie poradziłyśmy sobie z panną Mullins.

- Hannibal doskonale się spisał, prawda?

- O tak - potwierdził Tommy. - Ostrzegł nas, i to wyraźnie. Po prostu skoczył w trawę. Pewnie nos mu podpowiedział. Ma świetny węch.

- Nie mogę powiedzieć, że i mnie ostrzegł mój nos. Uznałam, że panna Mullins zjawiła się w odpowiedzi na nasze modły. Zupełnie zapomniałam, że mieliśmy przyjąć kogoś, kto pracował dla pana Solomona. Czy pan Crispin powiedział ci coś jeszcze? Przypuszczam, że naprawdę wcale się tak nie nazywa.

- Pewnie nie - zgodził się Tommy.

- Przyszedł tu jako detektyw? Trochę nas tu za dużo.

- Nie - odparł Tommy - niezupełnie jako detektyw. Przysłano go raczej ze względów

bezpieczeństwa. Miał pilnować ciebie.

- Mnie - powiedziała Tuppence - i ciebie. Gdzie jest teraz?

- Pewnie rozprawia się z panną Mullins.

- To niesamowite, jak takie podniecenie wzbudza apetyt. Ależ jestem głodna. Wiesz, nie mogłabym wyobrazić sobie nic smaczniejszego od gorących krabów w śmietankowym sosie, z odrobiną curry.

- Więc już wyzdrowiałaś - ocenił Tommy. - Jestem zachwycony, że tak traktujesz jedzenie.

- Nigdy nie byłam chora - sprzeciwiła się Tuppence. - Byłam ranna, a to olbrzymia różnica.

- Kiedy Hannibal oznajmił, że wróg jest tuż koło nas, w kępie trawy, ostrzegł nas przed panną Mullins w męskim przebraniu. To ona strzelała do ciebie z ukrycia.

- Wówczas pomyśleliśmy, że spróbuje ponownie. Zostałam unieruchomiona w łóżku i poczyniliśmy odpowiednie przygotowania.

- Tak jest. Uznałem, że nie będzie czekała za długo i dojdzie do wniosku, że jedna z kul trafiła do celu, a ty leżysz chora.

- Więc przyszła pełna kobiecej troski - dokończyła Tuppence.

- A my byliśmy na to dokładnie przygotowani. Na straży stał Albert, obserwując każdy jej ruch...

- Przyniósł mi tacę z kawą i dodatkową filiżankę dla gościa.

- Czy widziałaś, jak panna Mullins lub Dodo, jak nazwał ją Crispin, wsypuje coś do twojej filiżanki?

- Nie - odparła Tuppence. - Przyznaję, że niczego nie zauważyłam. Widzisz, udała, że potknęła się o coś i przewróciła stoliczek z wazonem, zaczęła przeproszać, a ja oczywiście patrzyłam na flakon oceniając, czy będzie można go skleić. Więc nie zauważyłam, co robi.

- Ale widział to Albert - powiedział Tommy. - Zobaczył przez poszerzoną specjalnie w tym celu szparę koło zawiasów drzwi.

- To był bardzo dobry pomysł: zamknąć Hannibala w łazience, ale zasuwkę zasunąć tylko do połowy. Oboje wiemy, z jaką łatwością Hannibal otwiera drzwi. Oczywiście wtedy, gdy tylko wydają się zamknięte. Robi potężny skok i wpada do pokoju... zupełnie jak bengalski tygrys.

- Świetne porównanie - stwierdził Tommy.

- Do tej pory pan Crispin, czy jak się naprawdę nazywa, zakończył chyba dochodzenie, chociaż co może łączyć pannę Mullins z Mary Jordan albo tak niebezpiecznym człowiekiem jak Jonathan Kane, który zmarł dawno temu...

- Nie sądzę, że zmarł do końca. To znaczy, teraz żyje jego powtórne wcielenie, reinkarnacja, można by rzec. Jest wielu młodych wielbicieli przemocy, i to przemocy za każdą cenę - naiwnych ludzi i neofaszystów żałujących, że dni Hitlera i jego kompanii odeszły w

przeszłość.

- Dopiero co czytałam Hrabiego Hannibala - powiedziała Tuppence. - Stanleya Weymana. To jedna z jego najlepszych powieści. Stała między książkami Alexandra na górze.

- O czym to jest?

- Myślę, że historia lubi się powtarzać. Pewnie zawsze tak było. Te biedne dzieci, które wyruszyły na Dziecięcą Krucjatę pełne radości, zapału i próżnej dumy. Biedactwa. Myślały, że sam Bóg wybrał je, by uwolniły Jeruzalem, że morza rozstąpią się przed nimi jak przed Mojżeszem, by mogły przejść suchą stopą. Dzisiaj przed sądem wciąż stają młodzi chłopcy i śliczne dziewczęta, oskarżeni o pobicie jakiegoś nieszczęsnego emeryta albo starca, który właśnie wybrał trochę oszczędności z banku. A masakra w dzień świętego Bartłomieja? Widzisz. te wszystkie rzeczy dzieją się ponownie. Przedwczoraj mówiono nawet o neofaszystach w odniesieniu do absolutnie szacownego uniwersytetu. Och, pewnie nikt nam niczego nie powie. Czy sądzisz, że pan Crispin naprawdę odkryje schowek, którego nikt dotąd nie odnalazł? Cysterny. No wiesz, mówię o napadach na banki. Często chowają pieniądze w cysternach. Chociaż dla mnie to bardzo wilgotne miejsce na skrytkę. Jak sądzisz, czy kiedy zakończy swoje śledztwo, wróci tu i dalej będzie pilnował mnie... i ciebie, Tommy?

- Ja nie potrzebuję opieki - odparł Tommy.

- To zwykła arogancja z twojej strony.

- Myślę, że przyjdzie się pożegnać.

- O tak, ma przecież dobre maniery, prawda?

- Będzie chciał się upewnić, że z tobą wszystko w porządku.

- Jestem tylko ranna, a ranę zbadał już lekarz.

- Zauważyłem, że naprawdę lubi ogrodnictwo. I rzeczywiście pracował dla przyjaciela. Był nim właśnie pan Solomon. Nie żyje od paru lat, ale to dobra przykrywka, bo teraz Crispin może twierdzić, że dla niego pracował i każdy będzie wiedział, że mówi prawdę. Dzięki temu wydaje się absolutnie bona fide.

- Tak, tacy jak on muszą myśleć o wszystkim - powiedziała Tuppence.

Zadzwoił dzwonek u frontowych drzwi i Hannibal wypadł z pokoju jak tygrys, by zabić każdego intruza, który chciałby wejść na zastrzeżony teren. Tommy wrócił z kopertą w ręku.

- Zaadresowano ją do nas obojga - powiedział.

- Mam otworzyć?

- Śmiało - rzuciła Tuppence.

Tommy rozerwał kopertę.

- Cóż, to otwiera pewne możliwości na przyszłość - zauważył.

- Co to jest?

- Zaproszenie od pana Robinsona. Dla ciebie i dla mnie. Na obiad za dwa tygodnie, kiedy to, jak ma nadzieję, będziesz zupełnie zdrowa i w dawnej formie. W jego wiejskiej

posiadłości. To chyba gdzieś w Sussex.

- Czy myślisz, że coś nam powie? - spytała Tuppence.

- Być może.

- Mam zabrać swoją listę? Teraz znam ją już na pamięć.

Wyrecytowała szybko:

- *Czarna strzala*, Alexander Parkinson, Oksford i Cambridge, czyli wiktoriańskie krzesła z porcelany, Grin-hen-lo, KK, brzuch Matyldy, Kain i Abel, Ukochany...

- Wystarczy - przerwał jej Tommy. - To brzmi jak czyste szaleństwo.

- Bo to jest czyste szaleństwo. Czy myślisz, że u pana Robinsona będzie ktoś jeszcze?

- Możliwe że pułkownik Pikeaway.

- W takim razie lepiej wezmę ze sobą pastylki na kaszel, prawda? Bardzo chcę poznać pana Robinsona. Nie wierzę, że jest aż tak gruby i żółty, jak mówiłeś. Och! Czy za dwa tygodnie Debora nie przywozi do nas dzieci?

- Nie - odparł Tommy. - Przyjeżdżają w przyszłym tygodniu.

- W takim razie wszystko w porządku, dzięki Bogu - powiedziała Tuppence.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Ptaki odlatują na południe

- Czy to był samochód?

Tuppence wyszła na próg domu i spojrzała na zakręt drogi, czekając niecierpliwie na przyjazd swojej córki Debory i trójki jej dzieci.

Z kuchennych drzwi wyłonił się Albert.

- Nie zdążyliby dotrzeć. To był człowiek ze sklepu spożywczego, proszę pani. Nie uwierzy pani: jajka podrożały. Znowu! Nie zagłosuję już na ten rząd. ani myślę. Dam szansę liberałom.

- Mam zrobić krem z rabarbarem i truskawkami na wieczór?

- Już się tym zająłem, proszę pani. Obserwowałem panią często i wiem, jak go pani robi.

- Zanim przejdziesz na emeryturę, Albercie, dostaniesz order szefa kuchni - powiedziała Tuppence. - To ulubiony krem Janet.

- Upiekłem też placek z syropem. Panicz Andrew go uwielbia.

- Pokoje są przygotowane?

- Tak. Pani Shacklebury zdążyła przyjść rano. W łazience panienki Debory położyłem sandałowe mydło Guerlaina. Wiem, że to jej ulubione.

Tuppence westchnęła z ulgą dowiedziawszy się, że wszystko jest gotowe na przyjazd jej rodziny.

Rozległ się klakson, a w chwilę później na podjeździe pojawił się samochód z Tommym za kierownicą. W chwilę potem goście stali na schodach. Prawie czterdziestoletnia Debora nadal była przystojną kobietą. Razem z nią przyjechali: piętnastoletni Andrew, jedenastoletnia Janet i siedmioletnia Rosalie.

- Cześć, babciu - wykrzyknął Andrew.

- Gdzie Hannibal? - zapytała Janet.

- Chcę herbaty - zażądała Rosalie, najwyraźniej bliska łez.

Wymieniono powitania. Albert zajął się wyładowaniem rodzinnych skarbów łącznie z papużką falistą, słojem ze złotą rybką i chomikiem w klatce.

- Więc to jest wasz nowy dom - powiedziała Debora, obejmując matkę. - Podoba mi się. Bardzo mi się podoba.

- Możemy pójść do ogrodu? - spytała Janet.

- Po herbacie - odparł Tommy.

- Chcę herbaty - powtarzała w kółko Rosalie, a jej twarz wyrażała jednoznacznie:

najpierw to, co najważniejsze.

Przeszli do jadalni, gdzie podano herbatę, przyjętą z powszechnym zadowoleniem.

- O co chodzi w tej historii, którą o was słyszałam, mamó? - spytała Debora, kiedy zjedli podwieczorek I wyszli na powietrze. Dzieci biegały wokół, sprawdzając, jakie przyjemności może zaoferować im ogród. Dołączyli do nich Tomasz i Hannibal, który nadbiegł, by wziąć udział w ogólnej zabawie.

Debora, zawsze surowo traktująca wybryki matki, uważając, że wymaga ona dokładnego nadzoru, powtórzyła pytanie:

- Co wyście narobili?

- Och, do tej pory już się zadomowiliśmy - odparła Tuppence.

Debora nie wyglądała na przekonaną.

- Czymś się zajmowaliście. Prawda, tato?

Tommy wracał do nich, trzymając Rosalie na barana: Janet robiła inspekcję nowego terytorium, a Andrew rozglądał się wokół wzrokiem zupełnie dorosłego człowieka.

- Czymś się zajmowaliście - Debora powróciła do ataku. - Znowu bawiliście się w panią Blenkinsop. Kłopot w tym, że nigdy nie można was powstrzymać. Znowu N czy M. Derek dowiedział się i wszystko mi napisał - skinęła głową na wzmiankę o swoim bracie.

- A co Derek może wiedzieć? - spytała Tuppence.

- Derek zawsze potrafi zdobyć potrzebne informacje.

- Ty też, tato - Debora zwróciła się do ojca. - Ty też dałeś wmieszać się w całą sprawę. Myślałam, że przyjechaliście tu, by przejść na emeryturę, żyć spokojnie i cieszyć się sobą.

- Taki był plan - powiedział Tommy - lecz los uznał inaczej.

- "Brama Przeznaczenia - zacytowała Tuppence. - Grota Klęski, Przyczółek Strachu..."

- To Flecker - Andrew z miejsca zareagował jak na erudyte przystało. Uwielbiał wiersze i miał nadzieję, że pewnego dnia sam zostanie poetą. Wyrecytował cały fragment:

Cztery bramy ma miasto Damaszek...

Furtkę Przeznaczenia, Wrota Opuszczenia....

Nie przechodź nimi.

Karawano, nie przechodź ze śpiewem.

Czy słyszałaś

Tę ciszę, gdy ptaki umilkły, a jednak coś

kwili jak ptak?

Nagle, z wyjątkowym wyczuciem chwili, z dachu nad ich głowami sfrunęło stadko ptaków.

- Co to za ptaki, babciu? - spytała Janet.

- Jaskółki. Odlatują na południe - odparła Tuppence.

- Czy nigdy tu nie wróca?
- Ależ tak, wróca przyszłego lata.
- I przejdą przez Furtkę Przeznaczenia! - dorzucił Andrew z ogromną satysfakcją. i
- Ten dom nazywał się kiedyś Jaskółczym Gniazdem - powiedziała Tuppence.
- Ale nie będziecie tu mieszkać? - spytała Debora. - Tato pisał, że szukacie nowego domu.
- Dlaczego? - spytała Janet, Rosa Dartle tej rodziny. - Ten mi się podoba.
- Podam ci kilka powodów - odparł Tommy, wyciągając z kieszeni kartkę papieru.

Odczytał na głos:

- *Czarna strzała*

Alexander Parkinson

Oksford i Cambridge, wiktoriańskie porcelanowe krzesła ogrodowe

Grin-hen-lo

KK

brzuch Matyldy

Kain i Abel

wspaniały Ukochany.

- Zamknij się, Tommy. To moja lista. Nie ma nic wspólnego z tobą - powiedziała Tuppence.

- Ale co to znaczy? - spytała Janet, kontynuując przesłuchanie.
- To brzmiało jak lista wskazówek z powieści detektywistycznej - zauważył Andrew. W mniej poetycznych chwilach cenił sobie ten rodzaj literatury.
- To jest lista wskazówek - potwierdził Tommy.
- I powód, dla którego szukamy innego domu.
- Ale mnie ten się podoba - upierała się Janet. - Jest śliczny.
- Śliczny domek - zgodziła się Rosalie. - Jak czekoladowe ciasteczka - dodała, wspominając spożyty niedawno podwieczorek.
- Mnie też się podoba - stwierdził Andrew, przemawiając tak, jak czynił to zapewne wszechwładny car Rosji.
- Dlaczego ty go nie lubisz, babciu? - spytała Janet.
- Ależ lubię - go - odparła Tuppence z nagłym, nieoczekiwanym entuzjazmem. - Chcę tu mieszkać. - Chcę tu dalej mieszkać.
- Furtka Przeznaczenia - powiedział Andrew. - To wspaniała nazwa.
- Kiedyś dom nazywał się Jaskółcze Gniazdo - powtórzyła Tuppence. - Możemy znów go tak nazwać...
- Te wszystkie wskazówki - ciągnął Andrew. - Można by z nich zrobić wspaniałą historię. Napisać książkę.
- Za dużo nazwisk i wszystko jest zbyt skomplikowane - oceniła Debora. - Kto by to

przeczytał?

Tommy i Tuppence wymienili spojrzenia.

- Będę mógł dostać jutro trochę farby? - spytał Andrew. - Może Albert ją kupi i pomoże mi. Namalujemy na bramie nową nazwę.

- A wtedy jaskółki będą wiedziały, że mogą wrócić następnego lata - powiedziała Janet.

Spojrzała na matkę.

- Niezły pomysł - oceniła Debora.

- *La Reine le veult* - rzucił Tommy i skinął głową przed córką, która uważała zawsze, że królewskie atencje, częste w tej rodzinie, stanowiły jej dodatkową zaletę.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Ostatnie wyjaśnienia: obiad u pana Robinsona

- Wspaniały posiłek - powiedziała Tuppence. Spojrzała wokół na zebraną kompanię. Wstali od stołu w jadalni i obecnie siedzieli przy stoliku do kawy w bibliotece.

Pan Robinson, tak żółty i jeszcze grubszy, niż Tuppence sobie wyobrażała, uśmiechał się zza wielkiego, pięknego dzbanka do kawy z czasów Jerzego II. Obok siedział pan Crispin, teraz podający się za Horshama. Pułkownik Pikeaway zajął miejsce obok Tommy'ego, który dość niepewnie zaproponował mu własne papierosy.

Pułkownik ze zdumieniem powiedział:

- Ja nigdy nie palę po obiedzie. Panna Colodon, którą Tuppence uznała za dość niebezpieczną, rzuciła:

- Doprawdy, pułkowniku?

Potem zwróciła się do Tuppence:

- Ma pani bardzo dobrze wychowanego psa, pani Beresford.

Hannibal leżał pod stołem z łbem opartym na stopie Tuppence. Spojrzał w górę z wprowadzającym w błąd anielskim wyrazem pyska i lekko poruszył ogonem.

- A ja myślałem, że to bardzo groźny pies - powiedział pan Robinson, rzucając Tuppence rozbawione spojrzenie.

- Powinien pan zobaczyć go w akcji - wtrącił pan Crispin *alias* Horsham.

- Zaproszony na obiad, nabiera towarzyskich manier - wyjaśniła Tuppence. - Uwielbia to i czuje, że w kontakcie z najlepszym towarzystwem zyskuje większy prestiż.

Zwróciła się do pana Robinsona:

- To było naprawdę bardzo, bardzo miłe z pana strony, że przystał pan specjalne zaproszenie dla niego i przygotował talerz wątróbki. Uwielbia wątróbkę.

- Wszystkie psy ją uwielbiają - powiedział pan Robinson. - Jak rozumiem - popatrzył na pana Crispina-Horshama - gdybym złożył wizytę państwu Beresford w ich domu. mógłbym zostać rozdarty na strzępy.

- Hannibal poważnie traktuje swoje obowiązki - potwierdził pan Crispin. - To dobrze wytresowany pies obronny i nigdy o tym nie zapomina.

- Ty, jako oficer służby bezpieczeństwa, dobrze rozumiesz jego uczucia - stwierdził pan Robinson.

- I mrugnął.

- Oboje państwo wykonaliście wspaniałą robotę - powiedział. - Mamy wobec was dług.

Pułkownik Pikeaway przekazał mi, że to pani była inicjatorką.

- Tylko przez przypadek - odparła zakłopotana Tuppence. - Zaciekawiałam się. Chciałam dowiedzieć się więcej o... pewnych sprawach.

- Tak, tak to zrozumiałem. Teraz, być może, czuje pani równe, zaciekawienie, o co w tym wszystkim chodziło?

Tuppence zmieszała się jeszcze bardziej i jej odpowiedź nie była zbyt spójna:

- Och... och, oczywiście... to znaczy... rozumiem, że wszystko to jest tajne... ściśle tajne i że nie powinniśmy zadawać pytań, bo nie może pan na nie odpowiedzieć. Całkowicie to rozumiem.

- Wprost przeciwnie: to ja chcę o coś zapytać. Jeśli udzieli mi pani informacji, będzie mi ogromnie miło.

Tuppence spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Nie wyobrażam sobie... - urwała.

- Ma pani listę, tak przynajmniej powiedział mi pani mąż. Nie wyjaśnił, co to za lista. Miał rację. To pani tajemnica. Lecz ja też wiem, co znaczy cierpieć męki ciekawości.

Znów mrugnął okiem. Tuppence nagle zdała sobie sprawę, że bardzo lubi pana Robinsona.

Milczała przez chwilę, a potem zakasłała i zaczęła szperać w swojej wieczorowej torebce.

- To okropnie głupie - powiedziała. - Właściwie nawet bardziej niż głupie. To czyste szaleństwo.

Pan Robinson zareagował nieoczekiwanie:

- Szaleństwo, szaleństwo, cały świat jest szalony. Tak mówił Hans Sachs, siedząc pod czarnym bzem w "Meistersanger", mojej ulubionej operze. Miał absolutną rację!

Przyjął podaną przez Tuppence kartkę papieru.

- Proszę przeczytać to na głos, jeśli pan chce - powiedziała Tuppence. - Nie mam nic przeciwko temu.

Pan Robinson spojrzał na listę, a potem przekazał ją panu Crispinowi.

- Angus, masz lepszy głos ode mnie.

Pan Crispin wziął kartkę i przeczytał ją miłym tenorem z dobrą dykcją:

- Czarna strzała

Alexander Parkinson

"Mary Jordan nie zmarła naturalną śmiercią"

porcelanowe wiktoriańskie krzeselka Oksford i Cambridge

Grin-Hen-Lo

KK

brzuch Matyldy

Kain i Abel

Ukochany.

Umilkł, spojrział na gospodarza przyjęcia, który zwrócił się do Tuppence.

- Proszę pozwolić, że pogratuluję pani, moja droga. Musi pani mieć niezwykle umysł.

To naprawdę godne uwagi, żeby z tej listy wskazówek dotrzeć do ostatecznego rozwiązania.

- Tommy także nad tym pracował - zauważyła Tuppence.

- Zmusiłaś mnie - powiedział Tommy.

- Przeprowadził doskonale badania - ocenił z uznaniem pułkownik Pikeaway.

- Wiele podpowiedziała mi data spisu ludności.

- Tworzycie utalentowaną parę - powiedział pan Robinson. Ponownie spojrział na Tuppence i uśmiechnął się. - Nadal uważam, że choć nie okazuje pani ciekawości, chce pani dowiedzieć się, o co naprawdę chodziło.

- Och! - wykrzyknęła Tuppence. - Naprawdę coś nam pan powie? Cudownie!

- Częściowo zaczęło się to od Parkinsonów, jak sami państwo odkryli - zaczął pan Robinson. - W bardzo odległej przeszłości. Moja prababka nazywała się Parkinson. Pewnych rzeczy dowiedziałem się od niej. Dziewczyna znana jako Mary Jordan była naszą agentką. Miała powiązania z marynarką. Jej matka pochodziła z Austrii, więc Mary mówiła płynnie po niemiecku. Jak pani może wie, a pani mąż wie to już na pewno, istnieją pewne dokumenty, które wkrótce opublikujemy. Obecnie w polityce uważa się, że zachowanie tajemnic państwowych, konieczne w pewnych przypadkach, nie może ciągnąć się w nieskończoność. Niektóre akta należy ujawnić jako część historycznej przeszłości naszego kraju. Trzy lub cztery tomy zostaną wydane w ciągu kilku najbliższych lat, wraz z potwierdzającym ich autentyczność materiałem dowodowym. Na pewno znajdzie się tam również to; co działo się w okolicy Jaskółczego Gniazda, jak nazywał się wówczas wasz obecny dom. Doszło do przecieków, jak zawsze w czasie wojny lub tuż przed jej wybuchem. Pewni politycy cieszyli się prestiżem i bardzo pochlebną opinią. Kilku czołowych dziennikarzy miało ogromne wpływy, z których niemądrze korzystali. Nawet przed pierwszą wojną światową istnieli ludzie działający przeciwko swojej ojczyźnie. Po wojnie młodzi absolwenci uniwersytetów stawali się gorącymi wyznawcami i często aktywnymi członkami partii komunistycznej, choć nikt o tym nie wiedział. Faszyzm zyskiwał zwolenników, co było jeszcze groźniejsze, planowano unię z Hitlerem udającym miłośnika pokoju. Miało to doprowadzić do szybkiego zakończenia wojny. Nieprzerwany obraz zakulisowych działań. Działo się tak już wcześniej. Bez wątpienia będzie się powtarzać w przyszłości. Piąta Kolumna, aktywna i niebezpieczna, prowadzona przez tych, którzy w nią wierzą, a także przez tych, którzy szukają finansowych zysków i władzy, jaka z czasem może trafić w ich ręce. To będzie interesująca lektura. Jak często wypowiedano w dobrej wierze to samo zdanie: Stary B zdrajcą? Bzdura. To ostatni człowiek na świecie! Absolutnie godny zaufania! Stary trik, ten sam od lat. Powtarzany w świecie handlu, w wywiadzie, w polityce. Zawsze chodzi o człowieka z uczciwą twarzą, którego nie sposób nie lubić i nie darzyć zaufaniem. Poza wszelkim podejrzeniem. "Ostatni człowiek na świecie." I tak

dalej. Wręcz urodzony do tej pracy, jak oszust sprzedający sztabki złota przed Ritzem.

- Pani wioska, pani Beresford - zwrócił się do Tuppence - tuż przed pierwszą wojną światową stała się kwaterą główną pewnej grupy. To była miła, staroświecka wioska, mieszkali w niej sympatyczni ludzie, sami patrioci, zajęci pracą na rzecz kraju. W pobliżu był port, więc wioskę odwiedzał przystojny młody kapitan z dobrej rodziny, jego ojciec był admirałem. Swoją praktykę miał tam świetny lekarz, kochany przez swoich pacjentów. Lubili zwierzać mu się ze swoich kłopotów. Był internistą i nikt nie wiedział, że specjalizował się w broni bakteriologicznej, w gazach trujących. Potem, przed drugą wojną, pojawił się pan Kane, zamieszkał w ślicznej chatce ze słomianym dachem tuż koło portu. Miał własne polityczne credo. Nie był faszystą, o nie! Tylko pokój może zbawić świat. To przekonanie błyskawicznie zyskało zwolenników na kontynencie i w wielu krajach poza Europą. Nie tego właściwie chciała się pani dowiedzieć, ale najpierw musi pani poznać tło, starannie zaplanowane tło wydarzeń. Tam właśnie wysłano Mary Jordan, by odkryła, jeśli zdoła, co dokładnie się dzieje. Urodziła się, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie. Gdy poznałem jej historię, byłem pełen podziwu dla pracy, jaką dla nas wykonała. Żałuję, że nie znałem jej osobiście. Musiała mieć charakter i osobowość. Rzeczywiście nazywała się Mary, choć mówiono do niej Molly. Wykonała dobrą pracę. Jej śmierć w tak młodym wieku była prawdziwą tragedią.

Tuppence patrzyła na obraz na ścianie, który wydał jej się znajomy. Był to szkic chłopięcej głowy.

- Czy to...

- Tak - przyznał pan Robinson. - To Alexander Parkinson. Miał wtedy zaledwie jedenaście lat. Był wnukiem mojej ciotecznej babki. W ten sposób Molly weszła do rodziny Parkinsonów jako guwernantka. Wydawało się, że to świetna pozycja dla obserwatora. Nikt nie pomyślał... - urwał na chwilę, a potem dokończył: - jak to się skończy.

- Nie zabił jej chyba... któryś z Parkinsonów? - spytała Tuppence.

- Och nie, moja droga. O ile wiem, oni w ogóle nie byli w to zamieszani. Tamtej nocy w domu zatrzymali się ich goście i przyjaciele. Pani mąż odkrył, że wspomnianego wieczoru przeprowadzono spis ludności. Oprócz mieszkańców wciągnięto do akt nazwiska wszystkich, którzy spali pod ich dachem. Jedno z tych nazwisk łączyło się ze sprawą. Córka miejscowego lekarza, o którym pani wspomniałem, odwiedziła, jak miała w zwyczaju, swego ojca, i poprosiła Parkinsonów, by ją przenocowali, ponieważ przywiozła ze sobą dwójkę przyjaciół. Oni okazali się w porządku, lecz później odkryto, że jej ojciec był mocno zaangażowany w to, co działo się w tej części kraju. Ona sama kilka tygodni wcześniej pomagała Parkinsonom w ogrodzie i odpowiadała za to, że szpinak i naparstnicę posadzono tuż obok siebie. To ona zabrała obie rośliny do kuchni tamtego krytycznego dnia. Chorobę wszystkich przyjęto jako nieszczęśliwą pomyłkę, która czasem się zdarza. Lekarz stwierdził, że sam zna takie przypadki. Złożone przez niego na rozprawie zeznanie zakończyło się werdyktem: nieszczęśliwy wypadek. Fakt, że tej samej nocy ktoś strącił ze stolika i rozbił szklanekę po koktajlu nie zwrócił

niczyjej uwagi.

- Być może zacieka panią - ciągnął pan Robinson - że historia może się powtórzyć. - Strzelano do pani, kępy pampasowej trawy, a potem osoba podająca się za pannę Mullins usiłowała dodać truciznę do pani kawy. Jak wiem, jest wnuczką albo bratanicą owego lekarza, a przed drugą wojną była uczennicą Jonathana Kane. Stąd znał ją Crispin. Z miejsca nie spodobała się pani psu, który podjął błyskawiczną akcję. Teraz wiemy, że to panna Mullins zabiła starego Izaaka. Pora jednak na jeszcze bardziej złowieszczą postać. Sympatycznego doktora idealizował każdy w wiosce, lecz w świetle późniejszych dowodów wydaje się, że najprawdopodobniej to on odpowiada za śmierć Mary Jordan. Wówczas nikt by w to nie uwierzył. Miał szerokie zainteresowania naukowe, był ekspertem w dziedzinie trucizn i pionierem w bakteriologii. Minęło sześćdziesiąt lat, zanim ustalono fakty. Tylko Alexander Parkinson, uczeń, domyślił się prawdy.

- "Mary Jordan nie zmarła naturalną śmiercią - zacytowała Tuppence. - To było jedno z nas". Czy to doktor odkrył, czym naprawdę zajmowała się Mary? - spytała.

- Nie. On niczego nie podejrzewał. To był ktoś inny. Do tamtej pory Mary odniosła zupełny sukces. Kapitan marynarki współpracował z nią, jak zaplanowano. Przekazywała mu prawdziwe informacje, a on nie uświadomił sobie, że nie miały większego znaczenia. Preparowano je tak, by wydawały się istotne. Plany okrętów i tajemnice wojskowe, które jej przekazywał, dostarczała natychmiast do Londynu, zgodnie z instrukcjami określającymi datę i miejsce spotkania. Jednym były Ogrody Królowej Marii w Regens Park, drugim posąg Piotrusia Pana w Kensington Gardens. Z tych spotkań i od niższych urzędników pewnych ambasad dowiedzieliśmy się całkiem sporo. Wszystko to jednak dawno minęło, pani Beresford.

Pułkownik Pikeaway zakaszlał i przejął prowadzenie.

- Jednak historia lubi się powtarzać. Każdy prędzej czy później musi się tego nauczyć. Niedawno w Hollowquay znów powstała kwatera główna. Pewni ludzie ponownie uruchomili działalność. Może dlatego wróciła panna Mullins. Wykorzystano dawne skrytki. Powtórzyły się tajne spotkania. Jeszcze raz pieniądze stały się ważne: skąd pochodzą i gdzie wędrują. Wezwano pana Robinsona. A potem zjawił się nasz stary przyjaciel Beresford i przekazał mi nadzwyczaj interesujące informacje. Pasowały do naszych wcześniejszych podejrzeń. Przygotowywano odpowiednie zaplecze w oczekiwaniu mających nastąpić wydarzeń. Przyszłość miała być kontrolowana przez pewnego polityka, człowieka o dużym znaczeniu, który z każdym dniem zdobywał naśladowców i zwolenników. Ponownie zastosowano stary trik z zaufaniem. Osoba do gruntu uczciwa, miłośnik pokoju. Nie faszysta, broń Boże! Tylko przypominał faszystę. Pokój dla wszystkich i materialna nagroda dla współpracowników.

- To znaczy, że to dzieje się nadal? - Tuppence otworzyła szeroko oczy.

- Teraz wiemy już mniej więcej wszystko, co chcieliśmy wiedzieć. Po części dzięki temu, co wy dwoje zrobiliście: mówię o chirurgicznej operacji przeprowadzonej na koniu na

biegunach, która przyniosła nam mnóstwo informacji.

- Matylda! - wykrzyknęła Tuppence. - Cieszę się! Choć ledwie mogę w to uwierzyć.
Brzuch Matyldy!

- Konie to cudowne stworzenia - zauważył pułkownik Pikeaway. - Nigdy nie wiadomo, co zrobią. Już od czasów Konia Trojańskiego.

- Mam nadzieję, że i Ukochany pomógł - powiedziała Tuppence. - Ale jeśli to trwa nadal... boję się o dzieci.

- Nie - odezwał się pan Crispin. - Nie musi się pani martwić. Ta część Anglii jest już czysta. Gniazdo os zostało zniszczone. Można tam znów żyć spokojnie. Mamy powody wierzyć, że działania przeniesiono w okolice Bury St Edmunds. Nadal będziemy pani pilnować, więc nie ma powodu do obaw. Tuppence odetchnęła z ulgą.

- Dziękuję, że mi pan o tym powiedział. Moja córka Debora przyjeżdża do nas od czasu do czasu i przywozi trójkę dzieci.

- Nie musi się pani martwić - zapewnił pan Robinson. - A przy okazji, czy po sprawie N czy M nie zaadoptowali państwo dziecka związanego z tamtymi wydarzeniami? Tego z książką z rymowankami. Gąską i pozostałymi?

- Betty? - powiedziała Tuppence. - Tak. Była świetną studentką, a teraz wyjechała do Afryki badać życie tamtejszych plemion. Interesuje się tym wielu młodych ludzi. Jest wspaniała i bardzo szczęśliwa.

Pan Robinson odchrząknął i wstał z krzesła.

- Chciałbym wznieść toast. Za pana i panią Beresford, w uznaniu pracy, jaką wykonali dla tego kraju.

Spełniono go entuzjastycznie.

- Chciałbym wznieść jeszcze jeden toast - ciągnął pan Robinson. - Za Hannibala.

- Słuchaj, Hannibal - powiedziała Tuppence, głaszcząc psa po łbie - pijemy twoje zdrowie. To niemal tak, jakbyś dostał tytuł szlachecki albo medal. Parę dni temu czytałam Hrabiego Hannibala Stanieya Weymana.

- Pamiętam, czytałem go jako chłopiec - odezwał się pan Robinson. - "Kto tyka mego brata, tyka Tavanne'a", jeśli dobrze pamiętam. Jak myślisz, Pikeaway? Hannibal, czy wolno mi poklepać cię po grzbiecie?

Hannibal podszedł do niego, przyjął klepięcie i lekko pomerdał ogonem.

- Mianuję cię rycerzem tego królestwa.

- Hrabia Hannibal. Czy to nie cudowne? - powiedziała Tuppence. - Powinieneś być z siebie dumny!